

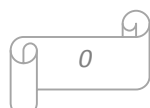


*Cheryl Emerson*



***ZDRADLIWE  
WZGÓRZA***

---



Gdybym tylko miała dobrze w głowie nie ważyłabym się nigdy na podobną historię. Gdy wspominam teraz różne wydarzenia, nadziwić się nie mogę, skąd wzięłam tyle odwagi. Z natury jestem ostrożna i nigdy nie kuszę niepotrzebnie losu. Nie daję się w głupi sposób unosić porywom chwili.

„To rozsądna dziewczyna”, mawiała o mnie z czułością moja mama. „O Annabelle nie trzeba się bać, na pewno nigdy nie wpadnie w żadne tarapaty. Nie lubi ryzyka”. Mama miała rację. Nigdy jeszcze, jak żyję, nie igrałam z losem. Aż do czasu tych wydarzeń w Rahuncie.

Ale nawet wtedy, gdy już ważyłam się na tak wiele, cofnęłam się przed podjęciem ostatecznego ryzykownego kroku, choć nie należało tego robić. Nie mogłam się zmusić do postawienia wszystkiego na jedną kartę, do czego namawiało mnie serce, a czego rozum bronił. Za swą głupotę omal nie zapłaciłam życiem.

Tak naprawdę nie jestem głupia, lecz opanowana i rozsądna; niektórzy uważają nawet, że jestem inteligentna. W depresję wpadłam dopiero wtedy, gdy w przeciągu pół roku straciłam brata, męża i matkę.

Wtedy zaczęły mnie nawiedzać senne koszmary. One właśnie, te senne koszmary, w których mój brat Alan przychodził do mnie z ręką wyciągniętą w niemym błaganiu, one to sprawiły, że zdobyłam się na podobnie desperacki krok. Mój psychiatra sądzi, iż zrodziło je poczucie winy. Nie mogłam pojechać z mamą, żeby zabrać ciało

Alana i przywieźć je do domu, nie mogłam nawet być na pogrzebie. Gdy szesnaście miesięcy temu przyszła wiadomość o śmierci Alana, byłam w Illinois, gdzie mój mąż przechodził operację usunięcia jednego całego płuca i części drugiego.

Mama zadzwoniła właśnie tego popołudnia.

- Twój brat nie żyje - powiedziała opanowanym głosem. - To był napad rabunkowy. Postrzelili go, spadł do tego straszego wąwozu i tam umarł. Boże, po co w ogóle tam jechał?

Siedziałam jak ogłuszona, wpatrując się w beżowe ściany pokoju, w którym czekałam na wiadomość o stanie męża.

Wiedziałyśmy obydwie, że nie mogę opuścić Boba ani na chwilę. Mama nawet mi przykazała, żebym nie przyjeżdżała do domu.

Może jednak czułam się winna. I może to poczucie winy zaczęło dawać o sobie znać, gdy tylko byłam w stanie myśleć o śmierci Alana. W półtora roku po jego odejściu rozmyślałam o nim przez większość dnia, w nocy zaś pojawiał się w makabrycznych snach, to zaś, że przychodził stale, nie zmniejszało wcale mojego bólu. Zastanawiałam się czasem, czy te senne koszmary kiedykolwiek się skończą.

- Czy nie sądzi pani, że duch Alana chce nawiązać z panią kontakt? - spytał doktor Brunweld, gdy pojawiłam się na kolejnym spotkaniu.

Wiązanki kwiatów, które stały zwykle na jego biurku, przypominały mi szpitalne sale i cmentarne kaplice, psując nastrój, jaki wywierał swym spokojem i opanowaniem. Jaskrawe chryzantemy, na które patrzyłam tego dnia, sprawiały wrażenie

barwnych kopii tych koszmarnych białych chryzantem, które ozdabiają zwykle groby. Zrobiło mi się niedobrze od ich zapachu.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziałam.

Doktor Brunweld chrząknął w odpowiedzi, a potem zaczął mnie sondować:

- Czy Alan był ulubieńcem matki? Czy może czuje się pani winna, że to on umarł, a nie pani? Może, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, czuje pani do niego nienawiść?

Głośno się wtedy roześmiałam. Alan, młodszy ode mnie o sześć lat, był moim ukochanym braciszkiem, był wreszcie przyjacielem. W moich myślach o Alanie nie było miejsca na żale czy urazy, królowała jedynie miłość naznaczona smutkiem.

Nie miałam pojęcia, dlaczego śnił mi się on właśnie, a nie mama czy mój biedny Bob. Ale tak było. Wszystkie sny były takie same i Alan był w nich nieodmiennie najważniejszą postacią. Patrzył zawsze wprost na mnie z napięciem, które nie licowało ze zwykłym mu, promiennym wyrazem twarzy. Próbował mi coś powiedzieć, próbował mi przekazać coś ważnego. A mój umysł był przyćmiony, jak to zwykle we snach bywa i nigdy nie mogłam pojąć, o co mu chodziło. „Annabelle, ty jedna powinnaś mnie przecież zrozumieć”, słyszałam co noc, przewracając się z boku na bok. Wyciągał przy tym rękę w proszącym geście, czego nigdy w życiu nie robił. „Anno, musisz mi pomóc. Tylko ty to potrafisz”.

Ostatniej nocy, zanim moje życie zmieniło się na zawsze, sen powrócił. W chwili, gdy Alan wyciągnął do mnie rękę w swym błagalnym geście, miast prośby przemówiła przez niego rozpacz.

„Nigdy mnie do tej pory nie zawiodłaś. Nie wiem, co zrobię, jeśli mi nie pomożesz”.

Usiadłam na łóżku, z oczu popłynęły mi łzy. Mimo że bardzo się starałam, nie mogłam zrozumieć, czego ode mnie chce, a moja bezsilność napełniała mnie gwałtownymi wyrzutami sumienia. Alan, gdybym tylko mogła, pomogłabym ci na pewno! Na pewno bym ci pomogła. Sam przecież wiesz.

Wstałam i wytarłam oczy. Cienie, jakie rzucało światło przed świtem, zmieniły zupełnie nasz przytulny dom, który tak bardzo z Bobem kochaliśmy. Schody i jasne, wesole tapety skąpane w szarym świetle robiły odpychające i przykre wrażenie. Przemknęłam jak widmo znajomymi schodami, które były teraz obce i wrogie, i poprzez wymarłe pokoje wpadłam do kuchni. Przestraszyło mnie światło przejeżdżającego samochodu, zanim jeszcze huk silnika zakłócił ciszę uśpionej okolicy.

Zamarłam w miejscu, dopóki moje serce nie zaczęło bić normalnie. Co się ze mną dzieje? Przecież to tylko samochód.

Moja dzielnica w północnej Atlancie była spokojna. Nie było tu przelotowych ulic, a gęste krzaki na obszernych podwórzach zasłaniały posesje przed wzrokiem sąsiadów. Już samo otoczenie tchnęło spokojem. Zupełnie nie rozumiałam, dlaczego tak mi się trzęsły ręce.

Zrobiłam sobie kawę, odsłoniłam zasłony. W piżamie, z bosymi nogami, patrzyłam przez okno na wspaniałe wrześnie słońce, pojawiające się nad krzewami derenia. Wszystkie koszmary senne powinny teraz zniknąć lub przynajmniej utracić swą moc.

- Alan, powiedz mi, czego ty naprawdę chcesz? - wyszeptałam wpatrzona w różany świt. W świt, który rozpoczynał dzień, mający odmienić na zawsze moje życie. Zapamiętałam zapach parującej kawy, ciepło filiżanki, którą trzymałam w ręce, szkarłatne odbicie promieni słonecznych w basenie kąpielowym, ślady gorących łez spływających po moich policzkach i słony ich smak na wargach.

Ale nade wszystko zapamiętałam swoje poczucie bezradności. Alan umierał znowu, a ja tym razem byłam z nim pośród pięknych zdradzieckich wzgórz, nie będąc w stanie do niego dotrzeć. Leżał bezbronny, konając na dnie przepastnego wąwozu.

- Powiedz mi w końcu, czego ode mnie chcesz? - zawołałam na cały głos.

Odwróciłam się, a mój pełen rozpaczony wzrok padł na książki Alana, które mama dała mi tuż przed swoją śmiercią.

- Były w jego pokoju, w tamtym domu - powiedziała. Jej oczy zdradzały napięcie i zmęczenie ostatnich miesięcy. Alan był jej ukochanym dzieckiem, jedynym synem, a ponieważ zabrały go wzgórza północnej Georgii, nie potrafiła o nich mówić bez nienawiści.

- Lubisz przecież czytać...

Teraz już nie. Książki Alana leżały w paczce aż do wczoraj, kiedy to ogarnął mnie szal porządków. Wyciągnęłam je wtedy ze schowka i wrzuciłam na półki.

Wyciągnęłam jedną z nich szukając ukojenia, jakiegoś znaku, że duch Alana spoczywa w spokoju i że wszystkie te koszmarne sny zrodziły się w mojej głowie. Przerzucając kartki natrafiłam na jakiś

stary bilet, rachunek ze sklepu, pocztówkę z widokiem wąwozu i zdjęcie wielkości portfela.

Ze zdjęcia patrzyła dziewczyna. Głowę miała lekko zwróconą w bok. Brodę oparła na rękach, które spoczywały na oparciu bambusowego krzesła. Gęste, rudozłociste włosy okalały okrągłą twarz, spadały na zielone oczy, które wpatrzone były z uśmiechem w obiektyw.

Znałam ją z gazet i z opowiadań mamy. Gdy odwróciłam zdjęcie, znalazłam imię, którego się spodziewałam.

Tiffany Underwood, jak tyle już kobiet przed nią, zakochała się bez pamięci w Alanie, mimo że od dawna była zaręczona z Jasonem Forresterem. Lecz tym razem, jak mówiła mama, Alan poważnie się zaangażował. Zawsze miał słabość do pięknych kobiet, a one kochały go za jego jasne włosy, błękitne oczy, pociągającą twarz i męską, wysportowaną sylwetkę. Pokpiwałyśmy sobie zawsze z niego, że nigdy się jednak nie ustatkuje, ale okazało się, że chyba nie miałyśmy racji.

Biedna dziewczyna.

Biedny Alan.

Ze smutkiem schowałam do książki zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny.

Na dywan sfrunął kawałek złożonego, żółtego papieru. Kartka z bloczku. Alan notował na takich kartkach to, co chciał załatwić i co miał kupić, gdzie miał pójść i z kim zamierzał się spotkać. Trzymał zawsze taką kartkę przy łóżku i gdy tylko się budził, notował na niej skrupulatnie wszystko, co zamierzał zrobić danego dnia.

Widok jego pisma sprawił mi ból, ale wywołał też bezwiedny uśmiech na mojej twarzy. Ileż to razy widziałam, jak wyciąga z kieszeni zmiętoszoną żółtą kartkę, aby wykreślić z niej to, co już zrobił. Ileż to razy śmiałam się z tej manii zapisywania sobie wszystkiego.

- Zupełnie jak stara panna - pokpiwałam.

- Po prostu mi zazdrościsz, zazdrościsz mi, bo wszystko umiem dobrze zorganizować, a ty nie - odpowiadał zadowolony z siebie, pewien, że właśnie jego sposób bycia jest najlepszym z możliwych.

Alan, ile bym dała, by móc jeszcze choć raz pośmiać się z ciebie.

Otarłam łzy i spojrzałam na kartkę:

10.00 - Sprawdzian z angielskiego

12.00 - Obiad z radnym. WŁOŻYĆ KRAWAT

15.00 - Wykład z lokalnej historii, przynieść książkę

Kupić steki, bułki, sałatę, kartofle

Odwieźć pranie

18.00-T. na kolacji

22.30 - Spotkanie na skrzyżowaniu

Pod spodem było kilka podpunktów:

Poznać prawdę i przyjąć odpowiedzialność.

**PODKREŚLIĆ PRAWOŚĆ I UCZCIWOŚĆ F.**

Trzeba tę sprawę załatwić razem.

Wszystko to brzmiało dziwnie, a ostatnie punkty były zagadkowe. T. oznaczało zapewne Tiffany. Jeżeli miał się z nią zobaczyć o szóstej, z kim zamierzał się spotkać później? Zerknęłam na datę umieszczoną na górze kartki i włosy stanęły mi na głowie.



Alan robił te notatki tego samego dnia, którego spadł na dno wąwozu. Litery zaczęły mi skakać przed oczami. Gdy zadzwonił telefon, zerwałam się na równe nogi.

Dzwonił Charles Raite, pełnomocnik spółki.

- Dzień dobry, Annabelle. Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale chciałem cię zastać. Musisz podpisać kilka papierów, żeby chłopcy Boba mieli wreszcie upoważnienie. Będziesz się już wtedy mogła wycofać z czystym sumieniem.

Miałam nadzieję, że poprawi to trochę samopoczucie synów Boba, starszych przecież ode mnie. Byli zdumieni i poirytowani, gdy Bob przekazał mi pięćdziesiąt jeden procent udziałów firmy. Ponieważ po śmierci Boba Wytwórnia Lodów w Atlancie przestała mnie interesować, uznałam, że dobrze będzie, jeśli oni zajmą się jej prowadzeniem.

- Czy mogłabyś zaraz wpaść? - zapytał Charles.

- Tak, ale dopiero wpół do dwunastej. Czy to ci odpowiada?

- Oczywiście. A może poszłabyś ze mną na lunch?

- Lunch? - powtórzyłam z wahaniem. - No, nie wiem... -

Musiałabym się wtedy ładnie ubrać, umalować. Obejrzałam się w lustrze, które wisiało w korytarzu. Odrzucone niedbale do tyłu kasztanowe włosy, wymizerowana twarz, sińce pod oczami pozbawionymi wyrazu. Obraz nędzy i rozpaczy. Nawet moja wytworna jedwabna piżama wisiała na mnie jak worek i można by pomyśleć, że kupiłam ją gdzieś na wyprzedazy.

- Może ja powoli tracę zmysły? - spytałam doktora Brunwelda w czasie mojej ostatniej wizyty.

- Co też pani opowiada - odpowiedział od razu uspokajająco. - Gdyby nie te sny, można by powiedzieć, że udało się pani wyjść z tego wszystkiego obronną ręką. Kiedy się pani jakoś oswoi z przeszłością, te sny przestaną panią nękać. A na razie proszę normalnie żyć. Proszę gdzieś wyjechać albo zacząć pracować, albo niech pani wróci do szkoły...

Widząc w lustrze żalostną kobietą postać i pamiętając o radach mojego psychiatry, podjęłam decyzję i odpowiedziałam zdecydowanie:

- Bardzo chętnie, Charles.

- Świetnie, czekam na ciebie około wpół do dwunastej.

Odłożyłam słuchawkę i popatrzyłam znów na żółtą kartkę. Ile bym dała, żeby nie wypadła z tej książki. Zwłaszcza po koszmarach ostatniej nocy. To musi być coś więcej niż zwykły przypadek.

Spotkanie na skrzyżowaniu... uczciwość F... Co by to mogło znaczyć? Czy ta notatka może mieć cokolwiek wspólnego z Forresterami? Z Jasonem Forresterem?

To niemożliwe, żeby Alan miał się spotkać tamtego wieczoru z narzeczoną Tiffany. Tyle innych nazwisk zaczyna się na F. Frank, Fred, Fleming, Fullerman. I... Forrester.

Przypomniała mi się niespodziewanie gazetowa fotografia Jasona Forrestera i jego matki. Wydatny nos, duże słoneczne okulary, ciemny wąsik skrywający pozbawione uśmiechu usta. Z całej sylwetki biła niechęć do stojących wokół reporterów. Starsza kobieta, którą osłaniał opiekuńczo ramieniem, wydawała się przy nim niewielka. Nieświadoma była gniewu promieniującego z jej syna.

Jason Forrester. Wulkan, który mógł wybuchnąć w każdej chwili. To on znalazł mojego brata. To jego Tiffany Underwood oskarżała o zabicie Alana. Tak mówiła przynajmniej moja matka.

Jako oficjalną przyczynę śmierci podano wstrząs na skutek upadku na dno skalistego wąwozu Rahunta - jaru mierzącego setki metrów, który przedzielał północną Georgię, a którego piękno ściągało co roku tłumy turystów.

Nie wyjaśniona pozostała obecność kuli w jego prawym ramieniu. Niewielkie ślady prochu na rękach i ubraniu sugerowały samobójstwo, ale broni nie znaleziono. Zniknął portfel i cenne drobiazgi, przypuszczano więc, że broń wystrzeliła w czasie bójki z rabusiem. Kosztowności nigdy nie odnaleziono, a sprawa nie została wyjaśniona.

Morderstwa dokonał nieznany sprawca lub nieznani sprawcy. Tiffany Underwood powiedziała jednak mamie, że było to morderstwo. No i duch Alana nawiedzał mnie we dnie i w nocy.

Gdy wychodziłam z domu na lunch, nadal niewiele rozumiałam z tych tajemniczych notatek. Ciekawość jednak została rozbudzona. Przez półtora roku moje podejrzania pozostawały w uśpieniu, teraz ożyły pod wpływem nocnych koszmarów.

Zaczęło się od znalezienia tych notatek Alana, ale dopiero po lunchu z Charlesem Raitem, gdy wsiadałam do samochodu, wszystko wydało mi się jasne. Jestem wolna. Mogę się zastosować do rad doktora Brunwelda. Nic mi nie każe obijać się po moim wielkim, pustym domu. Mogę pojechać na wakacje. Mogę wyjechać gdzieś na

tydzień, na miesiąc czy na rok. Nad morze, do Meksyku czy do Kanady.

Mogę też pojechać do Rahunty.

Myślałam już o tym, ale ciągle coś mnie powstrzymywało. Musiałam załatwić interesy Boba, a potem mamy. Ale teraz mogłam już być posłuszna głosom, które mnie przynaglały. Słuchałam ich bez sprzeciwu, zaciskając ręce na kierownicy mojego małego samochodu. Przez okno wpadały promienie jesiennego słońca. Kapałam się w nich, ale najbardziej rozgrzewała mnie myśl o mojej decyzji.

Jechałam tam, gdzie blisko półtora roku temu umarł Alan. Może duch jego zazna trochę spokoju.

Udawałam, że przywiodła mnie do Rahunty ciekawość, że ona właśnie kazała mi włączyć się ulicami miasteczka, jakbym była zwykłą turystką, która przyjechała po to, aby obejrzeć wzgórze. Udawałam, że zwiedzę tylko miasto, obejrzę wąwóz i wrócę do domu, a duch Alana zazna wreszcie spokoju.

Kiedy tak wędrowałam głównymi ulicami, pełna nadziei, że skończą się już teraz moje koszmarne sny, nie mogłam przecież wiedzieć, co mnie jeszcze czeka. Skąd miałam wiedzieć, iż opatrność, jak to często bywa, pokieruje moimi krokami.

Nie mogłam o tym wiedzieć i nie domyślałam się niczego nawet wtedy, gdy minąwszy plac skierowałam się w kierunku Biura Planowania Przestrzennego Forresterów.

Ten niewielki budynek znajdował się tuż przy ulicy. Z boku i od frontu był parking. Pick-up stojący przy wejściu zajmował chodnik. Aby go ominąć, musiałam zejść na jezdnię. Gdy z powrotem weszłam

na chodnik, zauważyłam ogłoszenie w oknie, pisane, jak to zwykle bywa, czarnymi literami na białym tle: Przyjmę do pracy sekretarkę. Wiadomość na miejscu.

Do dziś dnia nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego spojrzałam na ogłoszenie, zatrzymałam się i weszłam do środka. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Tak jak gdybym przestała myśleć, jak gdybym nie miała własnej woli. Ogłoszenie przywołało mnie, a ja odpowiedziałam na to wezwanie nie myśląc, co będzie dalej.

Stałam twarzą w twarz z przeznaczeniem, losem lub karmą, jak mówią inni, i nie byłam w stanie mu się oprzeć, podobnie jak nie byłam w stanie okiełznać sennych koszmarów, które nachodziły mnie co noc.

- Nazywam się Anna Levee - przedstawiłam się kobiecie w starszym wieku, która wstała zza biurka. - Przyszłam w sprawie pracy.

Spod gęstych, siwych włosów spojrzały na mnie badawczo niebieskie oczy. Kobieta była niska i krępa. Ludzie czują się na ogół dobrze w obecności podobnych kobiet. Patrzyła życzliwie, lecz z pewną dozą sceptycyzmu.

- Myśleliśmy o kimś starszym i odpowiedzialnym, z doświadczeniem także w księgowości, o kimś, kto by potrafił poradzić sobie w każdej sytuacji.

- Ależ ja jestem odpowiedzialna i jestem starsza niż na to wyglądam. W czerwcu skończyłam trzydzieści lat. - Poczułam, jak bardzo mi zależy na tej pracy. - Z kim mogłabym porozmawiać? - zapytałam.

- Ze mną. Nazywam się Forrester. Obawiam się, że pani się nie nadaje. - Kobieta nie mówiła tego niegrzecznie.

- Ależ proszę pani, nie daje mi pani żadnej szansy! - Te pełne desperacji słowa wyrwały mi się zupełnie niespodziewanie. Zawsze byłam przecież opanowana. - Przekona się pani, że mam bardzo dobre kwalifikacje.

Odniosła się do tego sceptycznie.

- Czy na pewno?

- Ależ tak, mam duże doświadczenie. - Teraz już mówiłam jak katarynka: - Dwanaście lat temu rozpoczęłam pracę w biurze Wytwórni Lodów w Atlancie. Wiem doskonale, jak się obchodzić z ludźmi. Opłaci się pani mieć takiego pracownika jak ja.

Bojąc się, czy przypadkiem nie przeholowałam, zamilkłam, by zbadać jej reakcję.

Nie zdawała się urażona moim tonem. Zauważyłam nawet w jej oczach błysk zainteresowania.

- Czy ma pani podanie i życiorys? - spytała. Nie straciłam pewności siebie.

- Zostawiłam w pokoju - odpowiedziałam. Kłamałam, jakby to był mój chleb powszedni, ja, której przez całe życie nie zdarzyło się jeszcze powiedzieć nieprawdy. Wolałam nie myśleć, co by powiedziała na to moja mama.

- W pokoju?

- Zatrzymałam się w Hotelu pod Różą.

- Aha, na czas szukania pracy?

Wyczulam ironię w jej głosie. Był to z pewnością za drogi hotel dla człowieka starającego się o pracę.

- Ależ nie. Tak naprawdę nie szukałam specjalnie pracy. Zobaczyłam ogłoszenie... - Zdecydowałam się uciec do próśb. - Proszę pani, jestem zakochana w północnej Georgii. Mój mąż zmarł rok temu i właśnie udało mi się pozalać jego sprawy. Przyjechałam tu, żeby... żeby odpocząć. Właśnie sobie myślałam, co to za piękne miejsce i jak bym chciała tu mieszkać, kiedy zobaczyłam to ogłoszenie. To był znak. Dlaczego nie chce mi pani dać szansy? Proszę mi pozwolić popracować przez miesiąc, a jestem pewna, że potem mnie pani zatrzyma.

Zawahała się.

Przyjęłam najbardziej błagalny wyraz twarzy, na jaki umiałam się zdobyć.

- Dobrze. - Uśmiech, który czał się w jej oczach, rozlał się na całej twarzy- Zaryzykujemy. Ale tylko na dwa tygodnie - dodała surowo. - A potem... potem zobaczymy. Czy to pani odpowiada?

- Tak - zgodziłam się skwapliwie.

- Pracujemy od ósmej trzydzieści do piątej, pięć dni w tygodniu. Czy orientuje się pani, czym się zajmujemy?

Wiedziałam doskonale, czym się zajmuje Biuro Planowania Przestrzennego Forresterów. Wiedziałam nawet, że Letycja Forrester prowadzi firmę, a jej synowie Brent i Jason zajmują się sporządzaniem, sprzedażą i promocją komercyjnych projektów na terenie całego kraju.

Nie znalazłam się tam przypadkowo. Wyruszyłam w ten piękny wrześniowy dzień na spacer w kierunku biura Forresterów mając nadzieję, że chociaż w przelocie ujrzę Jasona. Czułam, że powinnam zobaczyć tego człowieka i zorientować się, jaki jest.

Pani Forrester oczekiwała na odpowiedź.

- Och, nie mam pojęcia - zaszczebiotałam takim tonem, od którego mnie samej zrobiło się niedobrze, ponieważ bardzo przypominał mi głos siostry mojej matki, która obracała się w najlepszym towarzystwie. - Proszę mi opowiedzieć.

RS



- Matt, to Anna Levee. Chciałaby obejrzeć ten wolny domek. - Z tymi słowy dyrektor szkoły wyszedł, zostawiając mnie z kierownikiem administracyjnym.

Letycja doradziła mi, bym tu przyszła, gdy zapytałam ją o mieszkanie blisko miasteczka.

- Szkoła w Rahuncie ma różne domy i czasem je wynajmuje.

Serce zamarło mi na dźwięk tego słowa. Czy to przypadek sprawił, że skierowała mnie do szkoły, w której uczył Alan?

- Szkoła podstawowa w Rahuncie - wykrzyknął Alan, gdy tylko przyjęty został do pracy. - Fajnie, nie?

- Och, Alan - powiedziała mama bez przekonania. -Z twoim wykształceniem!

Roześmiał się.

- Będę miał dosyć czasu na zajmowanie się językiem, kiedy dostanę gromadę dzieciaków do uczenia! - Złapał mnie niespodziewanie za rękę, pociągnął i zakreślił się ze mną w kółko. - Nie powiem ci nic więcej! Nie powiem ci nic więcej! Nie powiem ci nic więcej! - zaśpiewał na melodię „Jimmy Crack Corn”, tańcząc ze mną dookoła. Upadliśmy chichocząc, a mama z trudem próbowała zachować surową minę.

Ileż bym dała, żeby nigdy tam nie pojechał!

Z zamyślenia wyrwało mnie spojrzenie kierownika. Patrzył na mnie trochę bez przekonania. Wyciągnęłam do niego na powitanie rękę.

- Rzeczywiście mamy teraz wolny domek - przyznał Matthew Graven niechętnie - ale nie wiem, czy się pani spodoba.

Nie powiedział nic więcej, podjęłam więc sama rozmowę.

- Ogromnie bym chciała go zobaczyć - powiedziałam.

- Aha. - Zerknął na mnie zza swych grubych okularów.

Wyglądał w nich jak stara, mądra sowa. - Aha, no dobrze. Zaraz, gdzie są...

Poszperał na biurku, wreszcie znalazł klucze.

Przebyliśmy wolniutko ponad kilometr, zanim zjechaliśmy z głównej szosy. Kręta, wysadzana drzewami droga prowadziła do domku położonego kilkanaście metrów od krawędzi wąwozu.

Podeszłam do niskiego murku na skraju przepaści.

Zapomniałam natychmiast o ostatnich strasznych szesnastu miesiącach, o swej radości z powodu otrzymania pracy w firmie Forresterów. Zapomniałam nawet o snach, które co noc mnie dręczyły.

Rozpościerał się przede mną niezwykły widok. Krzaki, paprocie, drzewa i dzikie kwiaty wyścielały skaliste ściany jaru, a na samym dole wiła się wśród głazów rzeka Rahunta. Wobec podobnego piękna wszelkie problemy przestawały się liczyć.

- Pięknie tu, prawda? - Uśmiech Matta Gravena pozwolił mi zapomnieć o jego usianej piegami twarzy.

- Prześlicznie! A co to jest, tam dalej? - Dopiero teraz dostrzegłam w jarze dom, niezwykle pomysłowo wkomponowany w skały i drzewa. Drewniany ganek okalał supernowoczesną konstrukcję, osadzoną na samej krawędzi wąwozu. Jedno ze skrzydeł było niskie i długie, podłużne otwory zastępowały okna. Drugie skrzydło stanowiła szara kula zatopiona zupełnie w tle.

Wydawało mi się, że Matt zmienił się nieco na twarzy.

- Ten dom należy do Brenta Forrestera. To znany architekt. Zajmuje się też planowaniem przestrzeni.

Wiedziałam, kim jest Brent. Synem Letycji i młodszym bratem Jasona.

- To chyba niezbyt bezpieczne. Bałabym się mieszkać zawieszona w ten sposób nad przepaścią.

Matt wyciągnął rękę w przeciwnym kierunku.

- A ten biały dom na górze jest własnością jego matki.

Odwróciłam się w stronę, którą pokazywał, i zobaczyłam piętrowy, drewniany budynek z biegnącym dokoła gankiem. Duży, rozbudowany chaotycznie w różnych kierunkach, przypominał dom z westernu.

- Forresterom musi się świetnie powodzić.

- O, tak. To grube ryby. Mają pół okręgu i większą część tego wąwozu.

- Wąwozu? - zdumiałam się. - Chce pan przez to powiedzieć, że wąwóz nie jest własnością publiczną?

Rozśmieszyła go moja naiwność.

- Nie. Oczywiście, że nie jest. Należy do nich cały ten obszar, a także tamten, niemal aż do tego miejsca. Część oddali w dzierżawę szkole, a okręg ma na własność maleńki kawałeczek tam, na samym końcu.

- Myślałam, że to własność publiczna.

- Większość ludzi tak myśli. Chce pani już obejrzeć domek?

Domek mi się podobał.

Prostokątna bryła dobrze wyglądała na stoku. Żółte zasłony w kratkę i poduszki z tego samego materiału rozjaśniały wnętrze - meble i drewnianą podłogę.

Podłoga była czysta, zamieciona, ściany świeżo pomalowane, szuflady i szafy wyłożone nowym papierem. Nie było zmywarki do naczyń ani młynka do mielenia odpadów w zlewie, ale za drzwiami widać było pralkę i suszarkę. W łazience był nowy prysznic. Biała umywalka i żółte kafelki lśniły czystością.

- Biorę go.

- Ale... nie chce się pani jeszcze trochę namyśleć? -W głosie Matta brzmiała niepewność.

- Nie ma potrzeby. Strasznie mi się ten domek podoba. Mogę już podpisać umowę.

Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nie chciał go wynająć.

Wróciliśmy na obszerną werandę od frontu, w połowie oszkloną, w połowie zasłoniętą markizą. Wychodziła na zachód, można by więc tu siedzieć i obserwować zachody słońca. Można by też patrzeć na wąwóz, którego zalesione zbocza pięły się ku niebu, obezwładniając

swym pięknem. Znowu zaczęłam się bać, świadoma tego, jak bardzo kruchą istotą jest człowiek.

- Chodzi o to, że... Ach, i tak się przecież pani o wszystkim dowie - ciągnął Matt, wrywając mnie z zadumy. - No więc w tym domu, nie to żeby straszło...

Słuchałam wiedząc, co chce powiedzieć. Byłam przekonana, że zostało to wszystko gdzieś zaplanowane: moja obecność tutaj, otrzymanie pracy u Forresterów, i wreszcie mój kontakt ze szkołą, w której kiedyś pracował Alan.

- No więc widzi pani, mieszkał tu jeden z naszych nauczycieli, którego potem zamordowano - dodał Matt pośpiesznie. - No i od tej pory nikomu jeszcze tego domu nie wynajmowaliśmy.

Niewykluczone, że wszystko to kryło się gdzieś w mojej podświadomości.

- Ach tak, pamiętam. - Podziwiałam swój opanowany głos. - Nauczyciel, którego znaleziono w wąwozie. Znał go pan?

- Nie, to się wydarzyło chyba wiosną zeszłego roku, a ja zacząłem tu pracować dopiero we wrześniu. Ale przecież tak naprawdę nie wiadomo, co się stało.

- Chyba go postrzelono?

Wzdrygnął się.

- Tak, dlatego właśnie proponowałem, żeby się pani jeszcze zastanowiła. Niektórzy ludzie nie chcą mieszkać w domu, w którym ktoś umarł gwałtowną śmiercią.

Spojrzałam na zalesione zbocza wąwozu i zaczerpnęłam powietrza. W północnej Georgii było pogodniej i chłodniej niż w

Atlancie. Liście zaczynały tu już zmieniać kolory, a w mieście, które opuściłam zaledwie dwa dni temu, była jeszcze bujna zieleń.

- Nie boję się duchów - oznajmiłam Mattowi Gravenowi.

W każdym razie nie tego ducha. Obcowałam już z nim przecież dostatecznie długo.

Gdy wróciliśmy nad brzeg przepaści, by raz jeszcze rzucić okiem na wąwóz, który zrobił na mnie takie wrażenie, przeszedł mnie dreszcz. Jakby obserwował nas jakiś zły duch. Dostałam gęziej skórki i z trudem oddychałam. Skuliłam się i naciągnęłam sweter.

Alan, pomyślałam. Alan, nie drocz się ze mną w ten sposób, zupełnie mi się to nie podoba.

Nie było powodu do niepokoju. Ciszę i spokój przerywał tylko świergot ptaków. Dałam się ponieść wyobraźni.

- Czy dużo ludzi odwiedza ten wąwóz? - spytałam Matta. Chciałam lepiej poznać miejsce, w którym zginął mój brat.

- O, tak. Na górze jest droga prowadząca przez las, ale Forresterowie nie lubią, kiedy tamtędy ktoś chodzi. Potrzebne jest ich pozwolenie.

W wyobraźni zobaczyłam gniewną twarz, słoneczne okulary i usta o wąskich wargach, które otworzyły się tylko po to, by zabronić mi wejścia do swych posiadłości.

- Można przecież spróbować od drugiej strony - zasugerowałam.

- Niemożliwe! Trzeba się trzymać głównej ścieżki. - Pokazał mi drogę biegnącą wzdłuż krawędzi wąwozu, którą zauważyłam już przedtem. - Biegnie ona dalej koło domu Letycji Forrester i jest zupełnie bezpieczna. Łączą się z nią jeszcze inne ścieżki, ale są

niebezpieczne. Nie powinno się tam chodzić bez kogoś, kto dobrze zna teren.

- Uprawiałam trochę turystykę.

- Ale nie tutaj. Tu jest naprawdę niebezpiecznie.

- Niebezpiecznie? Myśli pan o węzach czy niedźwiedziach?

Roześmiał się.

- Nie, myślę o spadnięciu do wąwozu.

- Ale to wcale nie wygląda tak groźnie.

- Wygląd o niczym jeszcze nie świadczy. Nie ma roku, żeby ktoś tu nie postradał życia. - Pokazał miejsce za moimi plecami. - W zeszłym miesiącu uratowano tam dwoje ludzi. Ześliznęli się i spadli.

Spojrzałam w kierunku, który pokazywał. Niewinnie wyglądająca wstęga wody spadała na półkę skalną, a potem na dno wąwozu.

- Mieli szczęście. Tylko złamana noga, połamane ręce i trochę stłuczeń. Od lat uprawiam turystykę i wspinaczkę górską, ale niektóre miejsca w tej okolicy nawet mnie odstraszą. Wspinaczka w tym wąwozie zdecydowanie nie nadaje się dla amatorów. Niech pani nigdy nie chodzi tam bez przewodnika. - Ostatnie słowa wymówił surowym głosem.

- Może wybierze się pan kiedyś ze mną?

- Może-mruknął.

Mój wzrok przyciągnęła jaskrawa, karmazynowa plama za jego plecami i serce podeszło mi do gardła. Przeczucie mnie nie myliło: ktoś nas obserwował. Ktoś z tej części domu, która przypominała kulę.

Matt spojrział w tym samym kierunku.

- To Simone - wyjaśnił. Gdy uniósł rękę, by pomachać, jego nieładna twarz rozjaśniła się. W tej chwili wydawał się całkiem pociągający. - Simone Forrester. Ona tam mieszka.

- To żona Brenta?

- Tak - rzekł krótko, a uśmiech zniknął mu z twarzy. Kobieta pomachała w odpowiedzi ręką. Wiatr rozrzucił jej jasne włosy. Matt był w nią wpatrzony przez cały czas.

- Czy to moi najbliżsi sąsiedzi? - zapytałam.

- Nie, mieszkam tuż za panią, zaraz za wzgórzem, bliżej szkoły. - Machnął ręką w tamtym kierunku. - A Letycja Forrester mieszka ze swym synem Jasonem tam na górze.

- Nie wygląda to na siedzibę rodzinną - skonstatowałam patrząc na biały piętrowy budynek i nowoczesną szarą kulę położoną niżej. - Daleko jedni od drugich. Matt zwrócił się znowu do mnie.

- Nie sądzę, żeby stali się szczęśliwsi mieszkając bliżej siebie. W każdym razie nie Si... W każdym razie nie wszyscy.

- Zdaje się, że ich pan nie lubi. Pokiwał głową z zaciśniętymi wargami.

- I tak się pani dowie. Ten nauczyciel, o którym już rozmawialiśmy, mieszkał właśnie w tym domku. Nazywał się Alan McKenzie. Niektórzy sądzą, że zabił go Jason Forrester.

- Czy pan też tak myśli? - spytałam go tak obojętnym tonem, iż przez chwilę wydawało mi się, że pyta kto inny.

- Sądzę, że Jason Forrester byłby w stanie kogoś zabić - powiedział wolno. - Ale tak naprawdę nie znam nikogo z nich. Oprócz



Simone. To zdumiewająca osoba, piękna i wrażliwa. Szkoda, że... -  
Urwał raptownie.

- Szkoda, że co? Wzruszył ramionami.

- Szkoda, że jest taka nieszczęśliwa. Ma z nimi ciężkie życie.

- Jeden z Forresterów jest jej mężem.

- Tak, ale rodzina nigdy tego małżeństwa nie aprobowała. A on jej nie docenia. Ktoś taki jak Simone potrzebuje wiele uczucia i zainteresowania.

Pomyślałam, że trzeba mu wszystko powiedzieć.

- Hmm, zaciekawia mnie pan. W poniedziałek zaczynam pracować u Forresterów.

Spojrzał na mnie przestraszony.

- Nie powiedział pan nic niewłaściwego - dodałam pośpiesznie. -  
I będę panu wdzięczna, jeśli mi pan doradzi, jak wobec nich się zachowywać.

Potrząsnął głową.

- Nie mogę dać pani żadnych rad. Ale powiem pani jedno. Wszystkim rządzi w tej okolicy Jason albo Letycja Forrester. Są właścicielami większości ziemi, posiadają też większość przedsiębiorstw i nie mają zbyt wielu skrupułów, żeby postawić na swoim.

- Jeśli chodzi o tuszowanie różnych spraw?

- Tak, właśnie wtedy - powtórzył patrząc na mnie z namysłem.

- W małych miasteczkach często spotyka się rodziny, które decydują o wszystkim - zauważyłam bojąc się, czy nie mówię za dużo. - To nie należy do rzadkości.

- Tak, Forresterowie są taką właśnie rodziną. Tyle zdążyłem się już dowiedzieć przez ten rok, który tutaj jestem. - Zwrócił wzrok w kierunku domu nad wąwozem. Postać w karmazynowej sukni zniknęła. - A Jasonowi i Letycji nie należy wchodzić w drogę.

Miałam ochotę popytać go jeszcze o różne rzeczy, ale zmienił temat.

Po podpisaniu umowy wróciłam, by popatrzeć na domek. Tak jak poprzednio, majestatyczny spokój, jaki panował w wąwozie, sprawiał niesamowite wrażenie. Ale Matt miał rację, ten spokój był pozorny. Ginęli tu przecież ludzie. Alan był jednym z nich. Kula, która utkwiała w jego barku, czyniła tę śmierć straszniejszą, ale był przecież tylko jedną z wielu ofiar.

Spojrzałam w dół na jeziorko, które tworzyły spadające wody rzeki Rahunty, schwywane pomiędzy głazy. Gdzieś tam, na dole, leżało kiedyś z maltretowane i zmasakrowane ciało mojego brata.

Widziałam kopię protokołu sekcji zwłok.

Wiedziałam wszystko.

Czy cierpiał? Jak długo tam leżał, zanim Jason Forrester zawiadomił o znalezieniu ciała? Czy był przytomny? Jeżeli tak, to co odczuwał, gdy życie z niego ulatywało? Gniew? Strach? Czy może smutek?

Odpowiedzieć na te pytania mógłby mi tylko on, ten człowiek, który nie dawał mi spokoju i którego kochałam tak bardzo. Duch, nie człowiek, poprawiłam się w myślach. Może uda mi się teraz odtworzyć jego życie w Rahuncie, może spotkam kogoś, kto mi o nim

opowie. Może Tiffany, gdy przyjedzie z college'u do domu. Albo ktoś inny... Zamajaczyła mi przez chwilę postać Jasona Forrestera.

Może teraz duch Alana zostawi mnie w spokoju. Może teraz znajdę spokój.

Cieszyłam się, że tu jestem. Czulałam, jak ogarnia mnie radość, taka trochę na wyrost.

RS

Gdy skończyłam się rozpakowywać, czerwona słoneczna kula niknęła właśnie za górami. Siedząc na werandzie patrzyłam, jak purpurowe niebo staje się różowe.

Znowu miałam uczucie, jakby ktoś na mnie patrzył. Przeniknął mnie dreszcz i schroniłam się w oszklonej części werandy.

Spojrzałam w stronę kulistego domu. Simone Forrester nie było już na ganku. Dom Letycji na wzgórzu był też pusty i wymarły.

Nie widziałam nikogo.

Może to duch Alana witał mnie w swoim starym domu. Zawsze się go trzymały żarty.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy spałam tej nocy dobrze. Sny wprawdzie wróciły, ale nie były to koszmary. Alan nie prosił już o nic.

- Tak się cieszę, że tu jesteś, Annabelle. Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz - mówił.

- Niech cię diabli porwą, Alan - rzuciłam we śnie. -Wiesz przecież, że zawsze możesz liczyć na swoją starszą siostrę. Czy szanowny pan bierze jednak pod uwagę, że któregoś dnia sobie stąd wyjadę? I co wtedy będzie?

- Powiem mamie. - Uśmiechnął się figlarnie, a w brodzie pokazał mu się dołeczek. Miał potargane włosy, a jego niebieskie oczy śmiały się do mnie jak zawsze. Śmiałam się w tym śnie razem z moim przystojnym bratem.

Obudziłam się uśmiechnięta. Pustka ostatnich miesięcy zamieniła się w łagodną nostalgię. Byłam gotowa na spotkanie z Forresterami.

Okulary zasłaniały moje szare oczy. Pomagały też ukryć nieco zadarty nos, który sterczał zuchwale, odbierając mi dostojny wygląd. Włosy zaczesalam skromnie do tyłu, co może nie było modne, ale w biurze wyglądało bardzo na miejscu. Usta pomalowałam tak, by nie wydawały się zbyt pełne. Gdy tylko pamiętałam, że mam je zaciskać, znakomicie pasowały do całości.

Kiedy wysiadłam z samochodu, wygładziłam kołnierz szarego płaszcza i poprawiłam pod szyją brązową chusteczkę we wzorek. Odbicie w zaciemnionym oknie upewniło mnie, że prezentuję się dokładnie tak, jak powinna wyglądać prawdziwa sekretarka. Skromnie i bez zarzutu.

Ponieważ dyrektor od spraw personalnych w Wytwórni Lodów w Atlancie doradził mi, co powiedzieć Letycji, nie denerwowałam się zupełnie. Byłam spokojna, pewna siebie i przygotowana do rozmowy.

Nabrawszy głęboko tchu, otworzyłam drzwi i weszłam do małego holu urządzonego jak pokój biurowy.

- Dzień dobry - odezwał się mężczyzna mniej więcej w moim wieku, który stał przy głównym biurku nad otwartą szufladą i czegoś w niej szukał. Był niezwykle przystojny i miał bardzo jasne włosy.

- Pani Anna Levee?

Zaniemówiłam. Nie spodziewałam się, że pierwszą osobą, jaką spotkam, będzie Brent Forrester.

- Ja... tak - wykrztusiłam. Zaskoczył mnie jego wygląd.

Na fotografiach w gazetach nie wyglądał najkorzystniej. Jego jasne włosy i błękitne oczy na tych nieciekawych biało-czarnych zdjęciach nabierały jednostajnej szarej barwy. Zmarszczka na czole, zdradzająca zdenerwowanie, którą zawsze uwieczniano, czyniła go starszym niż był w istocie.

Człowiek, który wyszedł mi na powitanie z wyciągniętą ręką, był wysokim mężczyzną o sportowej sylwetce biegacza. Usta miał szerokie, wyzywające, jak Letycja.

- Nazywam się Brent Forrester. Moja matka rozmawia teraz przez telefon, ale za chwilę tu będzie.

- Dzień dobry - powiedziałam podając mu rękę. Jedyne w głębi jego oczu czaiło się coś, co przypominało owego człowieka z reportaży prasowych.

Zaprosił mnie, bym usiadła.

- Mama chce porozmawiać z panią sama. Czy napije się pani kawy?

- Dziękuję, nie - odpowiedziałam siadając.

- Świeżo parzona. - Był bardzo bezpośredni. - Jest jeszcze szynka i bułeczki. Przygotowane przez najlepszego kucharza w Rahuncie.

- Przez pana matkę czy żonę? - Staralam się rozmawiać równie swobodnie jak on.

- Ależ skąd! Byłoby to straszliwe w skutkach. - Za-krztusił się ze śmiechu. - Miałem na myśli Maggie Mahone, gosposię mamy. Muszę pani powiedzieć, że nawet stare chłopcy rozpaczają, jeśli zdarzy im się spóźnić na jej bułeczki i szynkę.

- No, to chyba muszę spróbować - ustąpiłam poddając się jego urokowi. - Przekonał mnie pan. Czy mogę prosić o czarną kawę, bułeczkę i porcję szynki?

Okazało się, że wbrew własnej woli polubiłam Brenta Forrestera.

O nim nie mówiono, że jest mordercą, usprawiedliwiałam się sama przed sobą.

Do sekretariatu weszła młoda dziewczyna, robiąca wrażenie cichej i nieśmiałej. Nazywała się Lois Bradford i miała pracować razem ze mną.

- Dobrze, że pani przyszła - powitała mnie. - Tyle mamy roboty, że jedna osoba nie daje sobie rady. A pani Forrester tak często ostatnio wyjeżdżała.

- I mam nadzieję, że będzie jeszcze częściej wyjeżdżać - wtrąciła Letycja Forrester, wychodząc ze swego gabinetu. Włosy miała tak samo rozwichrzone jak poprzedniego dnia. - Oczywiście, jeśli pani Levee da sobie radę.

Uśmiechnęłam się z trudem. Postanowiłam, że zrobię wszystko, byle się udał mój podstęp.

- Na pewno świetnie sobie ze wszystkimi poradzi - powiedział Brent łagodnym tonem.

- Zobaczymy. - Letycja spojrzała na mnie badawczo. Miała nie tylko takie same usta jak Brent, ale również identyczne, szczerze, błękitne oczy. - Przecież pani Anna z pewnością nie miała do czynienia z ludźmi, jakich tu codziennie spotykamy.

- Ależ mam. - Brent pokręcił głową z dezaprobatą. -Przychodzą tu w większości ludzie ze wsi - wytłumaczył mi.

- Jak to się mówi, takie różne kmiotki. To prawda, że niektórzy zachowują się gburowato, ale w gruncie rzeczy to uczciwi, przyzwoici ludzie, którzy ciężko pracują. Jeśli tylko odpowiednio się ich potraktuje, można sobie z nimi poradzić.

Letycja prychnęła.

- Nie upiększaj tego wszystkiego, Brent! Nie chciałabym, żeby pani Anna uciekła stąd z płaczem już za pierwszym razem, gdy taki prostak zaryczy swoje: „A co mi tam pani gada!”

Obruszyłam się i próbowałam coś powiedzieć na swoją obronę, ale w tym właśnie momencie wszedł jeden z okazów, jakie Brent opisywał. Miał rozczochraną brodę, rozwichrzone włosy, ubrany był w kombinezon i znoszoną flanelową koszulę.

- Psze pani, to co mamy zrobić z tymi kotwiami?

- Wytrzyjcie nogi - zareagowała ostro Letycja. -Tompkins, wiecie przecież, że mamy nowy dywan!

Zamruczał coś, ale posłusznie spełnił polecenie, zanim wszedł do kuchni po bułeczkę.

W taki sposób Letycja rozmawiała ze wszystkimi robotnikami wchodzącymi i wychodzącymi z biura. Żaden się nie obraził i wszyscy posłusznie wycierali buty.

Postanowiłam sobie postępować równie stanowczo.

Tego jednak dnia nie miałam okazji. Resztę ranka spędziłam na zaznajamianiu się z moimi obowiązkami. Uczyłam się odbierać



telefony, obsługiwać komputer i poznawałam tajniki działania drukarki. Zwyczajna biurowa rutyna.

Brent zamknął się u siebie, a koło południa wyszedł i oznajmił:

- Jadę do domu na lunch. Simone chce obciąć włosy. Przywiozę ją potem, żeby poznała Annę.

Letycja nie odezwała się, ale Lois radosnym głosem zawołała:

- Świetnie!

Ja zaś przypominałam sobie drobną postać w szkarłatnej sukni, machającą ręką z domu na krawędzi wąwozu.

W porze lunchu Lois oprowadziła mnie po miasteczku. Pokazała mi jedyny elegantszy sklep z odzieżą, stację benzynową, aptekę, sklep, w którym odbywały się stale wyprzedaże, oraz Salon Piękności Jane.

- Kay i Tina są zupełnie dobre, ale Jane na dodatek słucha tego, co się do niej mówi. Zna się na modzie, bo stale jeździ na pokazy do Atlanty i Chattanooga.

Przejechałam palcami po moich prostych włosach.

- Dziękuję, zapamiętam to sobie. Będę się musiała ostrzyć.

Nie mogłyśmy się zdecydować, gdzie zjeść lunch. Wybór był pomiędzy hamburgerem, pizzą albo obiadem domowym. Wybrałyśmy w końcu obiad domowy i zabrałyśmy z sobą porcję dla Letycji.

Wkrótce potem drzwi biura gwałtownie się otworzyły i do sekretariatu wpadła tanecznym krokiem młoda kobieta.

- Zobaczcie tylko, co ja tu mam!

Na włosach jasnych jak poświata księżycyca miała krzywo nałożony beret. Nad policzkami zaróżowionymi od jesiennego

powietrza iskrzyły się niebieskie oczy. Miała małe, zgrabny nos i proste zęby, które lśniły bielą, gdy jej pełne usta rozwierały się w uśmiechu. Krótki żakiet i spodnie w szkocką kratę zdradzały wspaniałą figurę.

Simone Forrester była zachwycająca.

Letycja była zaskoczona.

- Co takiego?

Simone wyciągnęła rękę, by pokazać ametystowy pierścienek otoczony brylancikami.

- Zobaczyłam go w Chattanoodze w zeszłym tygodniu, a wiesz przecież, jak uwielbiam purpurę!

Letycja ukradkiem spojrzała na syna pytającym wzrokiem. Brent, także ukradkiem, odpowiedział wzruszeniem ramion.

Słuchając Simone, myślałam o tej ich niemej rozmowie. Simone miała głos równie czarujący jak postać. Niekiedy w melodyjnych tonach przebijał w nim ślad akcentu przypominający zagraniczne, erotyczne filmy.

- Tak dawno nie kupiłam sobie nic nowego... Musiałam trochę oszczędzać, ale wreszcie go mam. Rozumiesz, Lois?

Podbiegła do Lois, w wyciągniętej ręce trzymając pierścienek, który należało podziwiać. Jakby zmuszona do bezustannego ruchu, potrząsnęła długimi, jasnymi włosami. I zauważyła mnie.

- To pani jest ta nowa? - Podeszła, by mnie obejrzeć. Uczyniła to w podobnie zachwycający sposób, w jaki dziecko ogląda obcego. - Ależ Letycjo, myślałam, że chcesz kogoś starego i uczciwego!

- Sumiennego - poprawił ją mąż. Wyglądał na trochę znękanego.  
- Mama mówiła, że szuka sumiennej pracownicy.

- Uczciwego czy sumiennego, co ja mogę o tym wiedzieć.

Simone roześmiała się, biorąc jedną z moich rąk w swoje drobne dłonie i porywając mnie swoim entuzjazmem.

- Nie jest pani wcale taka stara, tak się cieszę. Bałam się, że może pani być zgorzkniała i słabowita. - Zmarszczyła swój śliczny nosek ze wstrętem. - Ale dzięki Bogu, myliłam się. Czuję, że się zaprzyjaźnimy.

Trudno mi było nie uśmiechnąć się do niej.

- Na litość boską, Simone, jeśli nie przestaniesz się zachowywać w podobnie zwariowany sposób, Anna nie zechce mieć z nami wszystkimi nic wspólnego. - Słowa Letycji brzmiały groźniej niż ton jej głosu.

- Anno, z pewnością się pani domyśla, że to moja żona.

- Brent uśmiechnął się smutnie. - Simone, to jest Anna Levee.

W głębi jego oczu krył się jakiś dziwny niepokój.

Zastanawiałam się, czy niepokój ów kiedykolwiek zniknął.

- Anna. - Simone artykułowała poszczególne litery mojego imienia, wymawiając je raczej jak Ana, nie Anna.

- Wspaniale! Nie znamy jeszcze żadnej Anny, prawda, Letycjo?

- Nikogo poza starą panią Wilkes - odpowiedziała Letycja sucho.

- Ale nie przypuszczam, żebyś ty ją znała.

- Dostałem wstępne plany od Trentona - zwrócił się Brent do matki. - Wezmę sobie wolne do końca dnia.

Letycja leciutko zacisnęła wargi, a może mi się tylko tak wydawało.

- Dobrze - odparła. A gdy Brent i Simone zaczęli szykować się do wyjścia, zawołała: - Zapomniałam ci powiedzieć, że dzwonił Jason. - Przez chwilę zdawała się tak samo zakłopotana jak jej syn. - Dojechał do Newady, ale chce, żebyśmy sprawdzili fundamenty pod stajnie. Możesz to zrobić?

- Tak. - Brent poklepał z czułością żonę po policzku.

- Chodźmy, kochanie.

Nic w tej scenie nie wydarzyło się takiego, co by wykraczało poza normalne stosunki pomiędzy mężem, teściową i żoną. Raczej nie, dyskutowałam sama z sobą, przypominając sobie spojrzenia, jakie wymieniła Letycja z Brentem. Ale to z pewnością nie wystarczało, by sądzić, że w rodzinie Forresterów działo się coś złego.

Dlaczego Matt Graven przypuszcza, że Brent nie docenia swojej żony? I że Forresterowie nie troszczą się o Simone?

Może mówił o Jasonie Forresterze. Może to Jason nie lubi Simone?

Przeszedł mnie dreszcz na myśl, że wkrótce stanę twarzą w twarz z człowiekiem posądzonym o zabójstwo Alana. Zastanawiałam się, jak temu sprostam.

Wszystkie rachunki zgadzały się. Jak zwykle popatrzyłam z przyjemnością na starannie pododawane kolumny cyfr i wyprowadzone saldo. Zamknęłam księgę główną i podeszłam do komputera.

Bang!

Gazeciarz nie wcelował w nasze drzwi i gazeta znowu uderzyła o ścianę budynku. Przez dziesięć dni zdążyłam się już przyzwyczać do jego zwyczajów. Tłumiąc westchnienie wyszłam, aby podnieść gazetę z trawy, w której zawsze lądowała.

Biuro Forresterów było ładne i funkcjonalne, ale skromne. Nikt by nie przypuszczał, że jesteśmy najbardziej znaną firmą planowania przestrzennego w południowo-wschodniej części Stanów Zjednoczonych.

Moje biurko stało naprzeciwko wejścia, tak bym mogła powitać wszystkich, którzy tu przychodzili. Lois siedziała za mną. Tuż za nią była kuchnia i toaleta.

Biura obydwu braci zajmowały dwie trzecie budynku. Brent urzędował po prawej stronie, a Jason po lewej. Biura były obszerne, z dużymi oknami. Wypełnione były biurkami, stołami kreślarskimi, komputerami, podręcznikami, planami i kartotekami. Brent spędzał u siebie długie godziny, kreśląc teraz projekty dworca. Rzadko prosił Lois czy mnie o cokolwiek. Robił wrażenie zupełnie samowystarczalnego i pochłoniętego bez reszty pracą.

Gabinet Letycji znajdował się obok kuchni, ale starsza pani rzadko tam zachodziła. Ciągłe była w ruchu. Doglądała robotników, załatwiała różne inne sprawy i nie patrzyła nam na ręce.

Bardzo mi to odpowiadało. Miałam nadzieję, że powoli zyskuje jej zaufanie. Pracowałam i na próżno oczekiwałam, że usłyszę coś o Alanie.

Ten z Forresterów, którego szczególnie chciałam spotkać, nie pojawił się jeszcze. Podobno był nadal w Newadzie, gdzie pojechał kupować krowy, ale Lois powiedziała mi, że któregoś dnia dzwonił do biura, a dźwięki, które dochodziły ze słuchawki, nie bardzo przypominały odgłosy towarzyszące licytacji bydła.

- No, chyba że krowy nauczyły się śpiewać kabaretowe piosenki - skomentowała Lois chichocząc. Prędko zauważyłam, że starszy z Forresterów bardzo ją pociąga. - Nie ma wielu takich jak Jace - dodała.

Czekając na jego powrót, w mozole zdobywałam wiedzę, jak obsługiwać komputer, prowadzić rachunki i obchodzić się z gburowatymi często klientami i robotnikami.

Tego właśnie dnia byłam sama na stanowisku. Lois była chora, a Letycja miała spotkanie w Chattanoodze z producentem dachówek.

- Nie będzie mnie cały dzień - oznajmiła rano. - Czy poradzisz sobie sama?

- Oczywiście - potwierdziłam pewnym głosem. - Jest przecież Brent.

Nie bardzo ją przekonałam, ale jednak pojechała. Przez cały czas przychodzili i wychodzili najrozmaitsi ludzie: przedsiębiorcy

budowlani, dostawcy, kupcy. Telefon dzwonił bez przerwy. Pod koniec dnia byłam zmęczona i myślałam, że dostanę hysia. Gazeciarz dopełnił jeszcze miarki.

Gdy wróciłam z gazetą, usiadłam przy komputerze, aby wprowadzić do niego płatności z zeszłego miesiąca. Była to już ostatnia czynność tego dnia. Potem miałam pójść do domu i ułożyć się z nogami do góry.

Nagle zamarłam. Coś ruszało się pod moją bluzką. W rękawie!

Szarpnęłam za bluzkę wyobrażając sobie, że znajdę jakiegoś obrzydliwego pająka, wstrętnego karalucha, a może i małą myszkę. Guziki były małe, okrągłe, z masy perłowej, i trudno je było rozpiąć. Myślałam, że je wszystkie powyrywam, gdy tak szukałam w pośpiechu mego prześladowcy.

- Cholera!

Patrzył na mnie największy i najczarniejszy świerszcz, jakiego w życiu widziałam. Skóra cierpła na widok jego długich, wrzecionowatych odnóży. Musiał wskoczyć przez jedną z dziurek ozdabiających mój rękaw, gdy podnosiłam gazetę z trawy.

Przeklinałam gazeciarza, zamierzając się na świerszcza.

- Uciekaj, obrzydliwcze jeden! - Zniknął, gdy tylko zdjęłam pantofel, by go unicestwić. Po paru minutach przerwałam bezowocną pogoń.

- Spokojnie - mruknęłam sama do siebie. - To tylko świerszcz.

Niedługo zacznie pewnie znowu cykać, wtedy go znajdę i zabiję. A teraz muszę pracować.

Włożyłam pantofel i zabrałam się do pracy, mając uszy i oczy otwarte w oczekiwaniu na świerszcza. Był na tyle roztropny, że zachowywał się cicho i wkrótce zapomniałam o nim, zajęta komputerem.

Skoczyłam na równe nogi, gdy zadzwonił dzwonek.

Ręce mi opadły, gdy zobaczyłam jednego z tych brodatych, nie uczesanych mężczyzn, do których zdażyłam się już przyzwyczać.

Teraz, tuż przed piątą! Siedzieli zawsze godzinami, zanim wszystko załatwili.

Zatrzymał swojego poobijanego pick-upa tuż przed wejściowymi drzwiami. Tego jeszcze brakowało! Rozważni kierowcy parkowali nieco z tyłu, aby można było dostać się do biura bez okrążania samochodu i wychodzenia na jezdnię.

Miał na sobie dzinsy i sznurowane, robocze buty. Ciemne włosy wystawały spod miękkiego filcowego kapelusza, który musiał mieć przynajmniej ze trzydzieści lat. Stroju dopełniała żółta kurtka z kapturem. W życiu jeszcze nie widziałam podobnie jaskrawego koloru.

Po sposobie, w jaki zatrzaskał za sobą drzwi, domyśliłam się, że to człowiek agresywny, z gatunku tych, których tak bardzo nie lubiłam. Zebrałam się więc w sobie.

Stanął jak wryty i gapił się na mnie, jakby nigdy jeszcze w życiu nie widział kobiety.

- Gdzie jest Letycja? - Jego szorstki głos szedł w parze z wyglądem. Oczy miał ciemne i bez wyrazu.



- Wyjechała do Chattanooga. - Mój wzrok powędrował z jego jaskrawej kurtki na buty oblepione czerwoną gliną.

- Proszę wytrzeć nogi, zanim pan wejdzie dalej - rozkazałam.

Wpatrywał się we mnie nadal, zanim raczył dostrzec swe zabłocone buty i bez przekonania stanąć na wycieraczce.

- Wpadłem, żeby zabrać plany.

- Niech pan wytrze buty! - Doprawdy ci ludzie z budowy są jak małe dzieci. W kółko trzeba im powtarzać to samo i dopiero, gdy zrozumieją, że nie mają innego wyjścia, zaczynają słuchać, choć burczą przy tym pod nosem. Trzeba ich po prostu nauczyć, kto tu jest panem. - Widzi pan przecież, że tu jest jasny dywan.

Walczył z sobą. Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie widziałam, ale on z pewnością starał się zapanować nad sobą. Ten kawałek twarzy, który wystawał spod kapelusza, wraz z brodą i gęstymi brwiami, przypominał chmurę gradową.

- Ależ wytarłem buty, proszę pani.

- Wcale nie. Gdyby pan wytarł, nie zostawiłby pan na dywanie kawałków gliny, które ktoś teraz będzie musiał po panu sprzątnąć.

Trudno mu było z tym dyskutować, wrócił więc zły na wycieraczkę i ostentacyjnie wycierał po kolei każdą nogę.

- Czy mogę już wziąć te plany? - spytał taksując mnie wzrokiem.

Nie podobał mi się jego sposób bycia i powiedziałam mu o tym.

- Niech pan tak na mnie nie patrzy. Jakich planów pan szuka?

Czy Brent Forrester wie, że ich pan potrzebuje?

Zdał sobie sprawę, że ze mną nie wygra. Zdjął kapelusz i przejechał dużymi, mocnymi palcami po kręconych ciemnych

włosach, które spadały mu na kołnierz. Przydałby mu się fryzjer i golenie.

- Nie, proszę pani, nie sędzę.

Przestał się we mnie wpatrywać, lecz tylko zerkał co chwilę.

Niemal czytałam w jego myślach. Wyraźnie miał nadzieję, że dowiem się, gdzie jest moje miejsce i że on będzie tego świadkiem. Oczu nie miał tak ciemnych, jak myślałam. Miały lekki odcień brązu, prawie starego złota.

Zmienił trochę ton. Mówił teraz łagodnie, przekonywająco.

- Daję pani słowo, Brent z pewnością nie miałby nic przeciwko temu, żebym zabrał te plany.

Miałam już do czynienia z podobnymi ludźmi i nie miałam zamiaru pozwolić mu, by robił ze mną co chce. W każdym razie nie wtedy, gdy próbował to osiągnąć grubiańskim zachowaniem lub sztuczną kurtuazją.

- Nazwisko? - spytałam.

- To chodzi o budowę stajni dla kawalerii, tę, która ma stanąć tuż za granicą stanu Tennessee. One są w tym biurze. - Wskazał na biuro Jasona Forrestera.

- Pytałam o pana nazwisko. - Otworzył usta, by odpowiedzieć, ale uniosłam rękę przerywając mu. - To właściwie nie ma znaczenia. Jason Forrester wyjechał, a ja nie wiem, gdzie szukać tych planów - oznajmiłam szorstko. - Proszę przyjść jutro. Powinien być w biurze.

Zamrugnął oczami. Dwa razy, powoli i złowieszczo.

- Nie, proszę pani. Potrzebuję ich teraz.

Nie podobał mi się sposób, w jaki na mnie patrzył. Jeszcze mniej podobało mi się to, że uczynił krok w kierunku drzwi Jasona.

- Niech pan tam nie wchodzi! - Zerwałam się i pognałam w tamtą stronę, gotowa zagrozić mu drogę swoim mocnym kobiecym ciałem. Mam w końcu metr sześćdziesiąt pięć wzrostu.

Boże mój, nie zdawałam sobie sprawy, jaki był wielki!

Musiałam przechylić głowę do tyłu, żeby ujrzeć jego twarz.

- Jeśli się pan upiera, zobaczę, czy Brent nie zechce z panem porozmawiać. Ale tu pan nie wejdzie.

Wszystko wskazywało na to, że chce mnie ominąć, kiedy jednak z determinacją robiłam krok to w tę, to w tamtą stronę, aby odciąć mu drogę, zatrzymał się.

- Kobieto, słuchaj - powiedział. - Nie mam ochoty tańczyć. Chcę tylko dostać te plany.

- Powiedziałam już panu - odrzekłam zimno - żeby przyszedł pan jutro. Poproszę Brenta Forreстера, jeżeli pan...

- Świetnie! - przerwał mi, nie próbując ukryć poirytowania. - Fajnie. Doprawdy ekstra! Niech go pani tu zawoła i do diabła ciężkiego bierzmy się do szukania tych cholernych planów, dobrze?

- Nie musi pan używać podobnego języka. Z prawdziwą przyjemnością zawołam pana Forreстера. - Mówiłam to dobitnie, mimo że brakowało mi trochę tchu po ostatniej potyczce. - Gdyby zechciał pan łaskawie cofnąć się trochę, to zaraz go poproszę. I mówię do pana po raz ostatni, niech pan przestanie tak na mnie patrzeć!

Otworzył usta i zaraz je zamknął. Jego dziwne oczy zwięzły się i odniosłam wrażenie, że powie coś obraźliwego, ale wykrzywił tylko

usta. Potem zdjął swoją ekscentryczną kurtkę, włożył ją pod ramię, odwrócił się i z wielką godnością powędrował do drzwi wejściowych.

Był szczupły w biodrach, szeroki w barach, i mimo że miał na nogach robocze buty, poruszał się z gracją dzikiego zwierzęcia. Szkoda, że podobnie piękna budowa ciała niewiele ma wspólnego z wykształceniem, a jeszcze mniej z inteligencją, pomyślałam sobie.

Czułam się zwycięzcą i wspaniałomyślnie zaoferowałam mu do przejrzania tygodniki, po czym z łaskawym uśmiechem ruszyłam w kierunku biura Brenta.

- Proszę pani - dobiegł mnie z tyłu podejrzanie słodki głos.

Z lodowatą, nieprzystępną miną odwróciłam głowę. Zasiadał właśnie z tygodnikiem w ręce.

- Słucham?

Skrzyżował swoje potężne uda i machał w powietrzu ciężkim butem. Nie patrzył na mnie. Wzrok miał utkwiony na stronach gazety, którą leniwie przerzucał. Znowu wykrzywił usta.

- Ma pani rozpiętą bluzkę. - W jego słodkim tonie pobrzmiwało zadowolenie.

Spojrzałam w dół i okazało się, że miał rację. Czując, że robię się purpurowa, odwróciłam się i szybko zapięłam guziki.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziałam chłodno. - Świerszcz wpadł mi pod bluzkę. - Mówiłam coraz ciszej, a on patrzył na mnie porozumiewawczym wzrokiem.

- Trzeba uważać na świerszcze. Bardzo lubią wykorzystywać kobiety - dobiegł mnie ten sam podejrzanie słodki głos. Facet nie

próbował ukryć swego lubieżnego wzroku. - Bardzo mi było miło. Cała przyjemność po mojej stronie. Polecam się na przyszłość.

Upokorzona i czerwona weszłam do biura Brenta. Brent oglądał jakieś plany na stole kreślarskim, ale powitał mnie nieobecny uśmiechem. Należał do ludzi, którzy są mili zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Trudno było nie lubić go i zarazem pamiętać, że jego brat uchodził za zabójcę mojego brata.

- Jakiś robotnik budowlany przyszedł po plany. Plany jakiejś stajni. Mówi, że są w biurze Jasona. Czy mógłbyś z nim porozmawiać? Szczerze mówiąc, trochę się go boję.

- Stajni? - Pochłonięty swoją pracą Brent usiłował zrozumieć, o czym mówię. - Stajni dla kawalerii? Nie wiem, kto mógłby potrzebować tych planów. - Wstał. - Zaraz zobaczymy, kto to jest. O ile wiem, są tu tylko plany Jasona.

Wyszedł z pokoju, a ujrawszy olbrzyma siedzącego grzecznie na brzeżku krzesła przeznaczonego dla klientów, stanął jak wryty.

- Oo? - powiedział opierając ręce na biodrach. - Wróciłeś? Jak mogłeś tak wystraszyć naszą nową sekretarkę?

- Aha, wszystko już wiesz, chłopie, co? - Wyprostował swoją wysoką postać i wstał, patrząc na nas z rozbawieniem. - Mówię ci, bałem się ruszyć, tak mnie zatrajkotała.

Najwyraźniej się znali. Zaczęłam się spodziewać najgorszego.

Brent podszedł, by poklepać przybysza po ramieniu. -

Wyglądasz, jakbyś pił przez dwa tygodnie. Jak było w Newadzie?

- Jak zwykle. Wszystko przychodzi tam łatwo i szybko. Bary szybkiej obsługi. Łatwe pieniądze. Łatwe kobiety. A piłem tylko przez dwa dni.

- Tak, tak, gadaj zdrów. - Brent odwrócił się do mnie. Po raz pierwszy, odkąd go znałam, zniknął z jego twarzy ten dziwny wyraz niepokoju. - Oto nasza czarna owca. Jason, to Anna Levee, nasza nowa pracownica. Anno, pozwól, że ci przedstawię mojego marnotrawnego brata Jasona.

- Dzień dobry - wymamrotałam onieśmielona. Odwaga mnie zupełnie opuściła, bo pamiętałam o jego spojrzeniach. Gdy zauważyłam, że trzymam rękę nad piersiami, jakbym je osłaniała, zebrałam się w sobie i podałam ją, nie okazując żadnej niechęci.

Nasze powitanie nie bardzo się udało. Jason Forrester wykorzystał okazję, by obejrzeć moje ślubne obrączki i w rezultacie przytrzymał moją rękę w swoim ogromnym łapsku dłużej, niż to było konieczne. Wyrwałam rękę i przeszłam do ataku.

- Powinien był pan się przedstawić. Po co było robić to całe zamieszanie?

- Nie dała mi pani okazji. Wpadłem tylko zabrać plany, a pani mnie wpakowała w prawdziwą kabałę. Ten świerszcz - uniósł brwi w znaczący sposób - a przedtem awantura, że nie wytarłem butów.

Gdzież panią Letycja znalazła? W wojsku?

Otworzyłam usta, by coś odpowiedzieć, ale Brent pierwszy ruszył mi na odsiecz.

- Daj spokój, Jason. Staraj się nie wypłoszyć Anny, gdy zaczynamy się już do niej przyzwyczajać. Powiedz, po co ci te plany?

- zapytał odwracając ode mnie uwagę brata. -Chyba do wczoraj nie zaczęli jeszcze fundamentów.

- Ale dzisiaj tak. Ci kretyni wylali je na odwrót! - Przestał się uśmiechać, a jego oczy zaczęły rzucać gniewne błyski. - Zatrzymałem się tam w drodze z lotniska. Aha, zupełnie zapomniałem. Kupiłem Lochinvara za jedną stówę i dwie krowy za pięćdziesiąt.

Brent uniósł w zadowoleniu brwi, jakby rozumiał, o co chodzi.

- No więc przejeżdżałem tamtędy, żeby zerknąć na plac budowy i niech mnie diabli porwą, jeśli im się nie pokręciło i nie zaczęli przodem do tyłu. Brent otworzył szeroko oczy.

- Niemożliwe. Musiałeś źle widzieć.

- Ależ. skąd, dobrze widziałem, dlatego właśnie przyszedłem po plany, żeby to sprawdzić.

Bracia poszli w kierunku biura Jasona, spierając się po drodze, czy Jason się pomylił czy nie.

Usiadłam przy komputerze, ręce mi się trzęsły. Nie ze strachu, jak wtedy, gdy odkryłam w rękawie świerszcza, ale z upokorzenia połączonego z irytacją.

A więc to jest Jason Forrester.

Zupełnie inaczej go sobie wyobrażałam. Spodziewałam się człowieka mniej gwałtownego, człowieka, który wzbudza lęk. Choć przecież z tą gęstą brodą i długimi włosami przypominał nieco kryminalistę.

Po tym, jak patrzył na moją rozpiętą bluzkę, czułam, że mogę się spodziewać najgorszego. Niedobrze mi się robiło, gdy przypominałam sobie jego wzrok.

Ale przecież każdy mężczyzna przyglądałby się kobiecie, która ma rozpiętą bluzkę.

Nie, nie każdy, pomyślałam przypominając sobie Boba, który był niezwykle delikatny. Nie każdy, ale wielu mężczyzn przyglądałoby się jednak.

Rozumując w ten sposób, można by uznać wielu tutejszych mężczyzn za podejrzanych osobników, bo wszyscy mają poplamione ubrania i skudłone włosy. Gdybym myślała w ten sposób, można by uznać, że Rahuntę zamieszkują sami kryminaliści.

Robotnicy budowlani nie słyną z elegancji. Sądzę, że kiedy trzeba być na dworze bez względu na pogodę i otoczenie, człowiek powoli obojętnieje na takie sprawy jak wygląd. Poświęca się go dla wygody.

W każdym razie czynił tak Jason Forrester.

Dziwne, ale naprawdę zupełnie inaczej go sobie wyobrażałam. Kiedy ostatni raz rozmawiałam z Alanem, nazwał Jasona Forreстера głupcem. Lecz Alan był już wtedy beznadziejnie zakochany w Tiffany Underwood, nie mógł być więc bezstronny wobec jej narzeczonego.

Mój obraz Jasona Forreстера stworzyły gazety. Pokazywały go w garniturze i krawacie, ze starannie przystrzyżonymi włosami, gładko wygolonymi policzkami i brodą. Duże okulary słoneczne skrywały zwykle całą niemal twarz, pozostawiając na widoku jedynie wyrazisty nos i zaciśnięte stanowczo usta.

Postawę miał pełną rezerwy, spoglądał, jak się zdawało, z niechęcią. Wyglądał na niebezpiecznego człowieka.



Byłam równie nie przygotowana na gwiazdorski wdzięk Brenta, jak i na przyziemność Jasona.

Bracia wyszli po chwili przekonani, że fundamenty zostały wykopane niewłaściwie.

Gdy Brent zwijał plany, Jason podszedł do mojego biurka. Musnął wzrokiem moje piersi. - Witam w naszym biurze. No i co, jaką podjęła pani decyzję? Będzie nas pani lubić czy nie? - Zatrzymał wzrok na moich oczach i w prowokujący sposób wytrzymał moje spojrzenie.

Jego oczy były brązowe. Chwilami przybierały złocistą barwę, gdyż były w nich maleńkie, żółte plamki. Usta miał szerokie, podobnie jak jego matka i brat, a zmysłowa dolna warga rozchyłała się łatwo w uśmiechu. Aż dziw brał, że na zdjęciach wargi miał wąskie i surowo zaciśnięte.

Nie opuściła mnie moja zwykła pewność siebie.

- Jeszcze nie wiem, ale chyba tak. Niektóre osoby są tu bardzo miłe.

Kąciki oczu przysłoniętych gęstymi rzęsami zwężyły mu się w uśmiechu. Musiałam przyznać, że jest inteligentny. Po chwili zastanowienia pomyślałam, że z pewnością nie należy do osób, które mogłyby czegoś nie zauważyć spośród wydarzeń rozgrywających się wokół.

Nie mogłam zrozumieć, jak mógł nie wiedzieć, że jego narzeczona związana była z moim bratem przez cały miesiąc aż do jego śmierci.

- Mam nadzieję, że dojdzie pani do przekonania, że większość z nas jest bardzo miła. - Kiwnął głową w moją stronę w znaczący sposób. - Do zobaczenia, Brent. Przyjdź dziś wieczorem zobaczyć byka. To najpiękniejszy czort w całej okolicy. Założę się, że krowy wpadną w ekstazę, jak zaczną się za nimi uganiać.

Zesztywniałam. Spojrzałam na niego z kamiennym wyrazem twarzy. Odwrócił oczy.

- Pani jest także mile widziana.

Jeżeli w taki właśnie sposób gawędził ze wszystkimi, trudno się dziwić, że Tiffany wybrała Alana.

- Mam już inne plany - odpowiedziałam oschle. A potem nie wytrzymałam i dodałam: - Pytał pan, jak mi się tu podoba. Nie jestem przyzwyczajona do takiej otwartości, jaka panuje wśród ludzi w Rahuncie. Niektórzy są po prostu źle wychowani.

Wyciągnął rękę, by leciutko poklepać moje palce.

- Mówi pani pewnie o mnie. Wyrażę skruczę, jeżeli sobie pani tego życzy.

Całą siłą woli pohamowałam się, by nie wyszarpnąć swojej ręki. Trzęsłam się ze zdenerwowania.

- Bardzo mi przykro, że nie poznałam pana od razu. Gdyby się pan przedstawił, uniknęlibyśmy tego całego zamieszania.

Oczy rozszerzyły mu się zadowoleniem. Wyraźnie kpił ze mnie.

- Proszę pani - powiedział namaszczonego tonem. - Oddałbym wszystko, żeby przeżyć to jeszcze raz.

Wyszedł razem z Brentem. Było mi wszystko jedno. Byłam tak wzburzona i tak rozjuszona, że nie mogłam znieść dłużej jego obecności.

Jason Forrester był zupełnie inny, niż się spodziewałam.

RS

Przeczytałam gdzieś kiedyś, że po pierwszych dziesięciu minutach spotkania ludzie wiedzą na ogół, czy będą się lubić, czy nie.

Brzmiało to przekonywająco i nie widziałam powodu, by podważać podobne stwierdzenie. Dopóki nie spotkałam Jasona Forrestera.

Od chwili, gdy dowiedziałam się, kim mój gość naprawdę jest, nie umiałabym określić, co do niego czuję. Irytował mnie jego nonszalancki śmiech. I miałam już po części wyrobione o nim zdanie, nie najlepsze przecież, z powodu Alana.

Tego wieczora, gdy odpoczywałam w drewnianym fotelu na biegunach i patrzyłam na zachód słońca nad wąwozem, nie potrafiłam myśleć o niczym innym. Czysto fizyczne doznania, które we mnie wzniecił, niepokoiły mnie, a jednocześnie podniecały. Po raz pierwszy nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć.

Pochłonięta myślami zapomniałam, że żyłam przecież ostatnio stale pod wrażeniem, iż ktoś mnie śledzi. Po chwili jednak znowu zaczęłam doznawać tego uczucia.

Kupiłam sobie dobrą lornetkę, by obserwować życie zwierząt i roślin w wąwozie. Przyłożyłam ją teraz do oczu, badając zbocza i krawędź.

Jak zwykle nie było tam nikogo, żadnego człowieka ani żadnego ducha.

Czy to tylko moje nerwy, czy jednak naprawdę ktoś mnie obserwuje?

Gdy tak kołysałam się w tył i w przód, starając się skoncentrować uwagę na widoku, który rozpościerał się przede mną, od strony zalesionej krawędzi wąwozu wyłoniła się znajoma postać. Stało się już zwyczajem, że Matt Graven odwiedzał mnie na werandzie. Zapomniałam więc na chwilę o niewidzialnym szpiegu.

Usiadł w fotelu obok mnie.

- Cudowną wycieczkę zrobiliśmy w zeszłym tygodniu.

Pomyślałam sobie, że w sobotę moglibyśmy pójść trochę dalej.

Zgodziłam się. Nie znał wprawdzie Alana, ale znał dobrze wąwóz.

Gawędziliśmy beztrzesko, aż słońce zupełnie zaszło. Matt zapytał mnie o pracę.

- Nadal ci się tam podoba?

- Tak - odpowiedziałam. Była to prawda. Lubiłam pracować z Letycją, Lois i Brentem, i powoli zaczynałam cenić i szanować miejscowych ludzi, którzy odwiedzali biuro.

Mimo że bardzo chciałam uniknąć rozmowy o bracie Brenta, Matt zaczął mówić na ten temat.

- Podobno Jason Forrester wrócił? Spotkałaś go już?

- Tak. - Byłam zadowolona, że Matt nie patrzył na mnie. -

Przyszedł wczoraj do biura.

- Jak ci się podobał? Wzruszyłam ramionami.

- Widziałam go tylko ten jeden raz - odpowiedziałam.

- Nie pozwól mu się szarogęsić. Może i jesteś tu obca, ale masz przyjaciół.

Wzruszyłam się. Matt mówił to naprawdę serio.

- Dziękuję, Matt. Naprawdę, bardzo ci dziękuję. - Pochyliłam się, by uścisnąć mu rękę. - Ale mnie naprawdę nie jest łatwo rozstawać po kątach. A zresztą myślę, że Letycja nie pozwoliłaby mną pomiatać.

Oczy Matta, skryte za grubymi szklami, patrzyły gniewnie.

- Jason jest do wszystkiego zdolny.

- Ja wcale nie muszę mieć tej pracy - zapewniłam go. - Mogę ją w każdej chwili porzucić.

- To dobrze - powiedział. I w doskonałej zgodzie patrzyliśmy, jak słońce zamienia się w pomarańczowy pasek.

Zadzwonił telefon. Ku mojemu zdumieniu usłyszałam miły głosik Simone Forrester, zapraszający mnie na lunch w sobotę.

- Wszystkie te kobiety w naszym wieku są tutaj takie nudne. Marzę, żeby porozmawiać o czymś innym niż wekowanie, szydełkowanie czy chowanie dzieci.

Musiałam jej odmówić, choć o niczym bardziej nie marzyłam, niż móc poplotkować sobie z bratową Jasona Forrestera.

- Ogromnie mi przykro, ale wybieram się w sobotę na wycieczkę do wąwozu.

- Z Mattem Gravenem?

- Aha.

- Tak też myślałam. Widziałam go przy twoim domu. Przyjdźcie więc razem.

- Oj, nie mogę - powiedział Matt z żalem, gdy przekazałam mu zaproszenie. - W sobotę po południu przyjeżdża do mnie przyjaciel z Charlotte. Ale możemy tak zrobić, żebyś dotarła do Simone w południe i zjadła z nią lunch, a ona cię potem odwiezie do domu. Simone nie posiadała się z radości.

- Tak się cieszę! Brent i Jason wyjeżdżają. Zanudziłabym się sama na śmierć.

Wymruczałam coś, starając się być miłą. Miałam nadzieję, że czegoś się jeszcze od niej dowiem. Ponieważ nic nie mówiła, musiałam sama zapytać:

- Brent będzie w poniedziałek w pracy?

- O tak. Wraca już w sobotę. Jadą tylko do Tennessee. Coś tam trzeba poprawić.

- Stajnie kawaleryjskie. Fundamenty wykopane tyłem do przodu. Widziałam niemal, jak Simone wzrusza lekko ramionami.

- Znasz się na tym lepiej ode mnie. Dla mnie to za trudne.

Czekam więc na ciebie w sobotę koło południa.

Gdy Matt wyszedł, patrzyłam przed siebie i rozmyślałam o Jasonie Forresterze. Chłodny powiew zmusił mnie do sięgnięcia po sweter.

Muszę go zobaczyć, mówiłam sobie, z powodu mojego brata. Chciałam go wy badać, dowiedzieć się, co wydarzyło się między nim a Alanem.

Było w nim coś występnego, nie na tyle jednak, jak sądziłam, by mogło go popchnąć do zbrodni. Miał na sumieniu z pewnością takie grzeszki jak jazda z nadmierną prędkością po bocznych drogach,

drobne pijaństwa czy potajemne spotkania z kobietami w tajemnicy przed tą, z którą był związany...

Nie, nie. To nie tak. To przecież Tiffany porzuciła Jasona, a nie na odwrót. I pomimo oczu w kolorze starego złota i uwodzicielskiego głosu był tylko zwalistym chłopem, o niewielkim zapewne mózdzku.

Zastanawiałam się, jak może wyglądać Tiffany. Czy ma podobnie nonszalancki sposób bycia co Jason? Próbowałam wyobrazić ich sobie razem. Niezwykłą kobietę, którą znałam z fotografii, z brodatym prostakiem, którego dziś poznałam. Nie bardzo mi to jednak wychodziło.

Po krótkiej przerwie moje sny tej nocy wróciły. Alan nie był w nich już jednak główną postacią. Widmo jakieś, daleko we mgle, dawało mi znaki i nie mogłam się oprzeć jego wezwaniu. Gdy się do niego zbliżyłam, zauważyłam brata. Stał na stronie uderzając zapamiętale, jakby w niewidzialną ścianę. Widziałam, jak jego usta wymawiają moje imię i jakieś zdania bez związku, których jednak nie słyszałam. Nie byłam w stanie zatrzymać się, by zrozumieć, co pragnie mi przekazać. Szłam bezwolnie za srebrzystą postacią, która mnie zwabiła, poprzez cieniste lasy i sterczące skały, w kierunku posepnej budowli przypominającej zamek.

Nie zależało mi już tak strasznie, jak w poprzednich snach, by dowiedzieć się, czego Alan ode mnie chce.

Bałam się. Podjęłam jednak decyzję.

Na progu ponurego zamczyska zatrzymałam się. Czułam, że zgine, jeżeli tam wejdę. Obudziłam się z bijącym sercem, wtedy



właśnie, gdy upiorna zjawia, która mi była przewodnikiem, namawiała mnie, bym otworzyła drzwi.

Czy strach ów zrodziło spotkanie z Jasonem Forresterem?

Gdy przyszedłam do pracy w piątek, Jason i Brent siedzieli w kuchni. Nie zauważyli mojego wejścia. Brent zdawał się przygnębiony. Jason mówił do niego cicho i obejmował ramieniem, jakby chciał go podnieść na duchu.

- Wszystko prawie jest załatwione. Ten interes z cukrem w Luizjanie przyniesie poważne wpływy. Wszystko wtedy będzie w porządku. Zobaczysz.

Zauważyli mnie. Jasonowi opadła ręka. Znow przybrał nonszalancką pozę, którą już znałam.

Nie wyglądał lepiej niż poprzednim razem. Gdy wstał, poruszał się lekko i płynnie.

- Dzień dobry, pani Anno. - Nigdy jeszcze nikt nie wymawiał mojego imienia w podobnie uwodzicielski sposób. Intonacja jego głosu mówiła mi, że pamiętał dokładnie, jak wyglądałam w rozpiętej bluzce, z bielizną na wierzchu.

- Dzień dobry - odpowiedziałam. Kuchenka była tak mała, że musiałam przechodzić bokiem, aby go nie dotknąć, gdy szłam nalać sobie kawy i wziąć ciasteczko roboty Maggie Mahone.

- Bez okularów wygląda pani zupełnie inaczej - powiedział z uznaniem.

- Już mi to mówiono. - Mój ton głosu powiedział mu, że to stary numer, który nie robi na mnie żadnego wrażenia.

- Skoczmy teraz z Jasonem do Birmingham, żeby obejrzeć konstrukcję stalową. - Brent nie zauważył zupełnie spięcia, które przed chwilą miało miejsce między nami.

- Mama niedługo przyjdzie, ale Lois nie będzie.

- Ciagle jest chora? - Jason zapomniał o mnie na chwilę.

- Infekcja gardła. Wiesz, jaka jest wrażliwa.

- Biedna Lois. - Znowu zwrócił się do mnie. Oczy miał łagodne i wesołe. - Trochę trudno zostawiać tak panią Levee, żeby sama prowadziła całe biuro.

- Dam sobie radę. - Zastanawiałam się, czy patrzy w ten sposób na wszystkie kobiety.

- Z pewnością. Mama dobrze zrobiła przyjmując Annę do pracy.

- Brent uśmiechnął się do mnie. - Cieszę się, że odwiedzisz jutro Simone. Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnicie. Nie ma tu zbyt wielu ludzi, z którymi czułaby się dobrze. Ona jest taka... samotna.

Jason odwrócił się gwałtownie i wyszedł. Dostrzegłam jeszcze tylko jego ironicznie skrzywione usta.

Matt miał rację. Jason Forrester nie przepadał za Simone.

Kuchnia sprawiała wrażenie dwa razy większej, gdy wyszedł.

W sobotę rano czekałam na Matta ubrana w wygodny lekki kombinezon i nowe sportowe buty z firmy L.L. Bean. Sylwetka ekscentrycznego domu Simone spowita była w porannej mgle, a jego baloniasty dach był ciemny i tajemniczy. Serpentyną w dół zjechał pick-up. Widziałam, jak parkuje za domem, a po paru minutach wjeżdża serpentyną do góry i znika za szczytem wzniesienia.

Jason i Brent wyjechali do Tennessee.

Równy o wpół do dziewiątej pojawił się Matt.

- Jesteś gotowa?

Zeszłej soboty poprowadził mnie krawędzią wąwozu.

Wyruszyliśmy w stronę domu Letycji, jakbyśmy mieli pójść tą samą drogą.

- Już tu byliśmy - zaprotestowałam. - Myślałam, że zejdziemy do wąwozu.

- Ależ tak, zejdziemy - powiedział nie przerywając marszu. - Zejdziemy w dół starą przecinką leśną. Na dole odpoczniemy, a potem podejdziemy w górę do Simone. Jeżeli nie będziesz się za bardzo wlokła - dodał, rzucając na mnie przez ramię surowe spojrzenie - dojdziemy tam w samo południe.

- Prowadź więc, wodzu.

W dziesięć minut później pokazał mi ścieżkę, która przecinała nasz szlak.

- Ta ścieżka schodzi w dół, a potem idzie z powrotem w górę do mojego domu. Tędy właśnie szedłem. Jest bezpieczna, jeśli się tylko z niej nie zboczy. Możesz nią pójść, gdy kiedyś się do mnie wybierzesz.

Trochę dalej, zanim jeszcze minęliśmy dom Letycji, ścieżka rozgałęziła się znowu przy wielkim dębie.

- Ta droga prowadzi prosto do Simone - powiedział Matt. - Nie chodź jednak tam nigdy sama.

- Czy tędy pójdziemy?

- Nie, miejscami byłoby ci za trudno. To nie jest droga dla początkujących. Poza tym byłibyśmy u niej za pół godziny. Trochę za wcześnie na lunch.

Przechodziliśmy kilka metrów od domu Letycji, nie widziałam jednak żadnych śladów ludzkiej obecności, choć jej samochód stał w garażu. Ciekawa byłam, jak wyglądało dzieciństwo Brenta i Jasona na szczycie tej straszliwej rozpadliny. Łatwo mogłam sobie wyobrazić tego gburę Jasona jako małego chłopca, który się wymykał z domu i badał okolicę, a potem dostawał burę, może nawet klapsa.

Brent zachowywał się na pewno inaczej. Śmiać mi się chciało na myśl, że Brent mógłby zrobić coś, czego mu nie było wolno. Brent przypominał mnie. Był tak rozważny, świadomy, czego się po nim oczekiwało. Założyć się mogłam, że jeśli kiedykolwiek go ukarano, to tylko z powodu brata.

Dlaczego nie mogłam przestać myśleć o Jasonie?

Rozchylając gałęzie dzikiej róży, podążałam za moim nieustraszonym przewodnikiem. Łudziłam się, choć nie robiłam sobie nadziei, że grube skarpety zapobiegą pęcherzom na nogach.

- Stąd możesz zobaczyć wodospady na Rahuncie - powiedział Matt, gdy dotarłam na górę. Czekał cierpliwie, wsparty o swój kij wędrowny. - Czy to nie wspaniały widok?

Przytaknęłam.

Rzeka Rahunta spadała rozhukanymi wodospadami, by przeistoczyć się na dole w strumyki pośród głazów. Zbocze wydawało się łagodne, wiedziałam jednak, że prowadząca nim ścieżka była miejscami stroma i zdradziecka.

- Letycja mówiła, że tam właśnie parę osób spadło do przepaści.

- Jedno takie niebezpieczne miejsce jest na ścieżce prowadzącej do Simone. O tam - pokazał laską - gdzie te skały.

- Ale jest tam tak ślicznie - wyrwało mi się.

- Jest ślicznie, ale cholernie niebezpiecznie - odpowiedział marszcząc brwi. - Nie próbuj się tam zbliżyć.

- Na pewno nie będę.

Widziałam mój domek stojący na wprost miejsca, gdzie zginął mój brat. Czułam, jak Alan ponagla mnie, jak mówi mi, bym coś zrobiła, aby dowiedzieć się, co wydarzyło się tamtej strasznej nocy.

Nie czułam za to, by ktoś mnie w tej chwili obserwował, i to mi sprawiało ulgę.

- Główna droga jest niedaleko stąd, tam dalej - powiedział Matt - ale chciałem, żebyś zobaczyła wąwóz z tego miejsca.

- Możemy już schodzić?

- Możemy.

Po przejściu około dziesięciu metrów pojawił się ostry zakręt. Zawahałam się, zakręciło mi się w głowie na widok kilkusetmetrowej przepaści.

Matt odwrócił się.

- Co ci jest? - zapytał.

- Nie ma żadnej poręczy.

- Nie ma, ale jeżeli będziesz się trzymać wewnętrznej strony ścieżki, wszystko będzie dobrze. - Musiał dostrzec niepewność na mojej twarzy, bo uśmiechnął się szeroko.

- Uwierz mi, to jedna z naprawdę bezpiecznych dróg. Jeździły tędy samochody. Nadal zresztą jeżdżą.

- Miło mi to słyszeć. Czuję się teraz znacznie lepiej - wymamrotałam cicho. Dawno już odkryłam, że Matt nie miał

poczucia humoru i zupełnie nie rozumiał uszczypliwych uwag. I siebie samego, i całe swoje otoczenie, traktował ze śmiertelną powagą.

Gdy wyszliśmy na stary trakt, droga stała się łatwiejsza. Późnym rankiem znaleźliśmy się na dole. Ściany wąwozu otaczające nas z obydwu stron nie dopuszczały prawie słońca.

Poszliśmy wśród cienistych zarośli i zatrzymaliśmy się na odpoczynek przy dużym omszałym głazie chroniącym od promieni słonecznych, w pobliżu źródelka o kryształowej wodzie. Z trudem znalazło się tam miejsce dla dwóch osób. Usiedliśmy blisko siebie, dotykając się ramionami. Matt wyciągnął butelkę z wodą i przez chwilę piliśmy w przyjaznym milczeniu.

- Zupełnie tu chyba inaczej niż w Atlancie? Zgodziłam się.

- Tak. Tutaj nie trzeba walczyć z tłokiem na ulicach, słuchać kłótni sąsiadów ani natykać się na wozy policyjne jeżdżące w tę i z powrotem. Tylko ptaki, drzewa i szmer strumyka.

Chmura przykryła słońce i w tej samej chwili nawiedziło mnie ponownie przeświadczenie, że ktoś lub coś nas obserwuje. I to nie tylko obserwuje. W nieznanym mi oczach czułam niechęć. Uczucie to było na tyle silne, że ogarnął mnie niepokój. Wstałam i rozejrzałam się dokoła, lecz nie zobaczyłam nikogo.

Nic o tym nie powiedziałam Mattowi. Nie chciałam, by sobie pomyślał, że jestem szalona, choć zaczynałam w to wierzyć. Ponad drzewami ukazał się duży szary obłok, odwracając moją uwagę. Pokazałam go Mattowi.

- Dym? - zapytałam.

- Tak - odpowiedział. - To z komina Underwoodów. Mają za tymi drzewami cztery hektary ziemi. - Zamilkł. Zmienił mu się ton głosu. - Słyszałaś już pewnie, że Tiffany Underwood była zaręczona z Jasonem Forresterem.

- Wiem, ale teraz, kiedy już go poznałam, nie mogę zrozumieć, jak mogła go chcieć.

Roześmiał się.

- Jest bardzo młoda. Kończy college dopiero na wiosnę, a on ma już trzydzieści dwa czy trzy lata.

- Słyszałam, że go porzuciła. - Odwrócił wzrok. Najwyraźniej był zakłopotany. - Jak to było? Opowiedz mi wszystko, Matt - zaczęłam się przymilać.

- No więc... wiem to wszystko oczywiście tylko ze słyszenia. - Matt ściszył głos, a ja w ciągu kilku minut wyciągnęłam z niego wszystko, co wiedział o Jasonie, Tiffany i Alanie.

Jason i Tiffany zaręczyli się podczas Bożego Narodzenia, blisko dwa lata temu. Wiosną, gdy Tiffany przyjechała do domu na ferie, spotkała po raz pierwszy Alana. Plotka głosiła, że nawiązali ze sobą namiętny, potajemny romans. Odkrył to Jason i zastrzelił mojego brata w szale zazdrości. Potem zabrał Alanowi portfel, by upozorować napad rabunkowy.

- A potem wyrzucił go do wąwozu. Ale niczego nie udowodniono - dodał Matt pospiesznie. - Broni też nie znaleziono. A bez tego nic nie można było Jasonowi udowodnić.

- Więc Tiffany zerwała zaręczyny.

- No tak, nie uwierzyła w jego wersję wydarzeń.

- Ani ona, ani większość ludzi, zdaje się. - Ciągle myślałam o jego łagodnych, brązowo-złocistych oczach. Czy tak mogą wyglądać oczy mordercy?

- Większość ludzi uważa, że miał po prostu powód - powiedział Matt. - To szczególny region kraju. Ludzie mają tu swój własny kodeks moralny. Często myślą innymi kategoriami niż ty czy ja.

- Czy myślisz, że Jason go zabił? - Przeszedł mnie dreszcz i przysunęłam się troszkę bliżej do Matta, jakby jego obecność była w stanie odpędzić czającą się postać.

- Nie wiem. Ale poznałem Tiffany tego lata i mówiła mi, że Jason omal już kiedyś nie zabił człowieka, kiedy był zaręczony z inną dziewczyną. Dziesięć czy dwanaście lat temu. - Nachylił się, by podkreślić znaczenie swych słów: - A wiesz dlaczego? Bo ten facet zalecał się do jego narzeczonej!

O tym jeszcze nie słyszałam. Z wrażenia niemal zapomniałam o niechętnych oczach, które nas śledziły.

- Naprawdę? Czy policja wiedziała o tym, kiedy szukała... kiedy szukała mordercy tego nauczyciela?

Głowy nasze były tak blisko siebie, że poprzez szkła okularów dostrzegłam w jego oczach niezadowolenie.

- Tiffany mówiła im o tym. Ona twierdzi, że to nie miało żadnego znaczenia, bo całą policję kontrolują tu Forresterowie, i że nie ma najmniejszego sensu nawet próbować ich o coś obwinić.

Mruknęłam coś, przestraszona powrotem obserwującej nas tajemniczej postaci. Dlaczego mnie zadreżczała tylko wtedy, gdy



byłam blisko wąwozu? I dlaczego wydawała się być dzisiaj taka...  
taka zagniewana?

Podniosłam z ziemi kamień. Dotykając jego gładkiej powierzchni zastanawiałam się, czy pojawiające się niespodziewanie mary nie były sygnałem, że powinnam wrócić do doktora Brunwelda. Czy to rzeczywiście był dobry pomysł, aby tu przyjeżdżać?

- Nie powiesz oczywiście nikomu tego, co ci teraz mówiłem? -  
Matt po niewczasie przypomniał sobie, że znajdowałam się przecież w obozie wroga i chciał zrzucić z siebie ciężar. - Forresterowie finansują szkołę i bardzo bym nie chciał im podpaść. Choć przecież wszyscy to wiedzą.

Rzuciłam kamień na gładką powierzchnię wody.

- Będę milczała jak grób, chociaż o wszystkim prawie słyszałam już przedtem. - Nie wiedziałam tylko, że Jason Forrester już raz omal nie zabił człowieka. Człowieka, który mu ukradł narzeczoną.

Oparłam się o skałę, podniosłam głowę i wystawiłam twarz na jesienne słońce. W zasięgu mojego wzroku nie było nic, co mogłoby budzić strach.

- Masz rację - powiedziałam. - Ludzie tutaj trzymają stronę Jasona. Fryzjerka, która mnie wczoraj strzygła, zapewniała, że on na pewno nikogo nie zabił. Powiedziała też, że zawsze będzie bardziej wierzyła Jasonowi niż Tiffany Underwood.

Jane twierdziła, że Tiffany to smarkata, która ma przewrócone w głowie, i że zasłużyła sobie na wszystko, co ją spotkało, skoro wtedy, gdy interesował się nią Jason, zaczęła łowić innego.

- Jason zmusił ją, żeby oddała mu zaręczynowy pierścionek. Tak, zmusił ją do tego, kiedy zerwała zaręczyny - opowiadała Jane z uśmiechem zadowolenia. - Obmawiała Jasona, ale nie chciała mu zwrócić tego wielkiego, cennego brylantu, który miał po babce. Ale nie z Jasonem takie sztuczki. Poszedł do niej i zdjął jej pierścionek z ręki.

- Słyszałam, że była całkiem golusieńka - wtrąciła starsza kobieta, której układano koło mnie włosy. - Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia, mogłaby równie dobrze mieć na sobie habit zakonny. Poszedł prosto do jej sypialni, ściągnął jej ten pierścionek z palca i nie zwrócił najmniejszej uwagi na krzyki i płacze.

Jane szybko strzygła moje włosy, a na jej ustach pojawił się tajemniczy, wszystkowiedzący uśmiech, który wyrażał podziw.

- Cały Jason, jakbym go widziała. Kiedy postanawia, że coś trzeba zrobić, robi to. Choćby się waliło i paliło. Można na nim polegać.

Czy także wtedy, gdyby się zdecydował zabić człowieka? Uwagi Jane zirytowały Matta.

- Tiffany nikogo by nie skrzywdziła. To dobra dziewczyna. Jest ładna i zgrabna, więc trudno się dziwić, że ludzie jej zazdroszczą. Tak jak zazdroszczą Simone, bo wyszła za mąż za Forrestera. -I dodał z goryczą: - Jason Forrester myśli sobie, że może robić co mu się podoba.

Czy Matt zareagował tak szybko w obronie Tiffany, bo nie lubił Jasona?

Po chwili podniósł się i spytał:

- Pójdziemy już?

Podał mi rękę. Wstałam i otrzepałam spodnie zastanawiając się, co takiego Jason zrobił, by zasłużyć sobie na niechęć Matta. Matt nie wyglądał na kogoś, kto ma z kimś na pieńku bez żadnego powodu.

W miarę jak się wspinaliśmy, ulatniała się także świadomość przebywania razem z tym czymś nieokreślonym, co nie dawało mi spokoju. Simone mieszkała niedaleko stąd, kawałek drogi w górze, ale droga była kręta i nierówna. Zrobiło się południe, gdy wynurzyliśmy się z lasu koło jej domu.

Spojrząwszy na niego przeżyłam chwilę zgrozy, tak silną, że zwolniłam kroku, podczas gdy Matt kroczył rażno przed siebie. Moja reakcja zdumiała mnie początkowo, aż zrozumiałam, że dom, który miałam przed sobą, podobny był do zamku z moich snów. Tyle tylko, że w snach jawił się jako ponura, złowieszcza budowla zawieszona nad wąwozem. W rzeczywistości był to bardzo nowoczesny dom przykryty z jednej strony szarą kopułą, a z drugiej płaskim dachem, który uwydatniał proste betonowe ściany.

Być może włączyłam podświadomie ten dom do mych snów, gdy go ujrzałam.

A może Alan zaczął znów robić swoje stare sztuczki.

- Dzień dobry, Jenny - pozdrowił Matt młodą kobietę w dzinsach i koszulce z napisem „Atlanta Falcons”. Otworzyła nam drzwi bez uśmiechu i wprowadziła do salonu.

Robił on duże wrażenie. Nad nim właśnie zaczynała się kopuła. Pod szklanym sklepieniem, na wschodnim dywanie, siedziała ze skrzyżowanymi nogami żona Brenta i przeglądała jakiś magazyn. Na plecy wspinało się jej małe dziecko. Simone robiła wrażenie dwunastoletniej dziewczynki. Wyglądała naturalnie, prawie nie była umalowana, a jej jasne włosy ściągnięte były do tyłu. Można było odnieść wrażenie, że opiekuje się młodszym bratem.

Matt wpadł na mnie, gdy zatrzymałam się w połowie kroku, aby wykrzyknąć:

- Co za śliczny obrazek! Cudownie razem wyglądacie.

- W tych starych portkach? - Pomimo tej lekceważącej uwagi pod swoim adresem wydawało się, że mój podziw sprawił Simone przyjemność. - Są okropne, ale nie mogę się inaczej ubrać przy Christopherze, bo albo pluje na moje ubranie, albo robi siusiu. - Zobaczyła za mną Matta i twarz jej się rozjaśniła. - Matt, jak się cieszę, że przyszedłeś.

Dziecko wydzierało kartki magazynu, ale Simone wstała nie zwracając na to uwagi.

- Ja też się bardzo cieszę - odpowiedział Matt serdecznie. - Miło spędziliśmy z Anną czas na wycieczce.

Potwierdziłam.

- Było wspaniale, dziękuję, Matt.

Simone podeszła bliżej i położyła Mattowi rękę na ramieniu.

- Czy na pewno nie możesz zostać z nami na lunchu? Byli najwyraźniej dobrymi przyjaciółmi, ale coś w tej scenie mi się nie podobało. - Dziękuję, naprawdę bardzo bym chciał, ale nie mogę.

- Matt uniósł rękę, by dotknąć jej dłoni. - Lewis przyjeżdża, żeby obejrzeć wąwóz, i muszę już wracać. - Spojrzał na zegarek. - Będzie u mnie lada chwila. Muszę już iść.

- Najwyraźniej z żalem zdjął jej rękę ze swego ramienia i pomachał do mnie. - Do zobaczenia, Anno.

Simone zaczęła się dąsać.

- Wolisz jeść lunch z jakimś starym, nudnym nauczycielem, niż z Anną i ze mną?

Wydawał się bardziej zdenerwowany, niż można było oczekiwać w podobnej sytuacji.

- Ależ naprawdę nie, przysięgam ci, że nie. Gdybym tylko nie powiedział Lewisowi...

Wzięła go pod rękę.

- Odprowadzę cię do drzwi. Anno, zaraz wracam - zawołała do mnie przez ramię. - Christopher dotrzyma ci towarzystwa.

Gdy wyszli, usłyszałam, jak dogadywała Mattowi przymilnym głosem, a on śmiał się w odpowiedzi.

Odnosiło się wrażenie, że znają się doskonale. Więcej nawet - Simone trzymała go pod ramię w poufały sposób.

Otrząsnęłam się ze swych podejrzeń. Pomyślałam, że jestem taka sama jak ci wszyscy ludzie w mieście, na których Matt się uskarżał. Simone jest piękną kobietą i lubi flirtować. Wiele pięknych kobiet tak się zachowuje.

Wszystko i wszyscy naokoło zaczęli nabierać ukrytych, groźnych znaczeń. Te przeklęte sny rujnowały moje życie, a teraz zawładnęły nie tylko moimi nocami, ale nawet dniami.

Niech je lichy porwie. Niech lichy porwie Alana za to wszystko.

Spojrzałam na dziecko, które nadal zajmowało się wydzieraniem kartek. Uklękałam przy nim, a ono machało rączką pełną papieru.

- Co za uczone dzieło czytasz, małeńki?

- "Vogue", ale on tylko zjada obrazki. - Nie słyszałam, jak Simone weszła i stanęła za moimi plecami. Zdawało mi się, że nie może złapać tchu, jakby ją ktoś przed chwilą całował.

Próbowałam opanować moją wyobraźnię.

- Popatrz Anno. Podobają mu się tylko te naprawdę ładne. - Simone zachichotała, gdy Christopher jak na zawołanie włożył do buzi stronę o jaskrawych kolorach.

- Udławi się - powiedziałam. Opiekowałam się dziećmi jako nastolatka, a Bob miał kilkoro małych wnucząt. Przytrzymałam malca za brodę z dołeczkiem i wyjęłam papier z buzi. Chłopczyk spojrzał na mnie z wyrzutem jasnymi, błękitnymi oczami swojej matki.

- Zaraz zacnie płakać - powiedziała Simone z naganą w głosie. Gdy to mówiła, buzia małego zaczęła się ściągać w podkówkę. - Sama widzisz.

- Lepiej niech chwilkę popłacze, niż żeby miał się udławić.

Może dać mu grzechotkę? - Podniosłam zabawkę z dywanu i pomogłam małemu zagrzechotać.

- Niczym nie chce się bawić dłużej niż parę minut.

- Simone wzruszyła ramionami. - No, ale czas na spanie. Jenny!  
Jenny!

Kobieta, która otwierała nam drzwi, musiała czekać w pobliżu, bo pojawiła się jak na zawołanie.

- Jenny, zabierz Christophera i połóż go spać - poprosiła Simone z czarującym uśmiechem. - Chcę pokazać Annie dom. Lunch zjemy, jak mały zaśnie.

Jenny podniosła chłopca z widoczną wprawą.

- Idziemy, malutki. Założę się, że jesteś głodny.

- Wspaniały dzieciak - powiedziałam z przekonaniem.

- I widać, jak cię kocha.

Simone skromnie zamachała ręką.

- Ach, wcale nie. I bardziej podobny jest do ojca. Wszyscy tak mówią.

- Wydaje mi się, że do ciebie. Roześmiała się perlistym śmiechem.

- Na litość boską, przestańmy mówić o dzieciach. Niedobrze mi się od tego robi. Opowiedz, proszę, coś o sobie. Podoba ci się tu?

- O, tak. Bardzo. - Pomyślałam o Jasonie Forresterze i odwróciłam oczy, bojąc się, by Simone nie wyczytała w nich wahania.

- Prawie wszystko mi się podoba. - Rozejrzałam się uważnie wokół.

Teraz dopiero w pełni doceniłam umeblowanie, którego doboru nie

powstydziliby się żaden dekorator wnętrz. - Simone, ten dom jest wspaniały - zawołałam.

Tam, gdzie się znajdowałyśmy, stała tradycyjna kanapa i fotele ustawione niedbale dokoła kominka. Przy nich, w wygodnej odległości, ustawione były stoliki. Po lewej stronie stało biurko. Wisiała nad nim oszklona gablotka ze strzelbami i rewolwerami. Na przeciwległej ścianie widniało olśniewające malowidło ściennie. Namalowane na nim drzewa i niebo skomponowane były tak, by wtopić się w górze i zlać z widokiem roztaczającym się za przezroczystą kopułą.

Za nami wiła się ścieżka pośród potężnych palm, bananowców i innych roślin tworzących wewnętrzny ogród. Pośrodku stał posąg jakiejś muzy, a mniejsze rzeźby chowały się w zakamarkach ogrodu.

Potężna kopuła, osiagająca w swym najwyższym punkcie w ogrodzie blisko dziesięć metrów, brała swój początek w środku części mieszkalnej, tuż nad nami.

Małeńki wodospad, widoczny poprzez liście palm, spadał kaskadą na głazy w sadzawce, które miały pozorować pierwotną przyrodę. Spoza zieleni i kwiatów prześwitywało ozdobna, wykuta w żelazie balustrada i furtka, które zamykały przestrzeń.

- Kiedy dziecko się urodziło, musieliśmy zbudować ogrodzenie - powiedziała Simone, idąc za moim spojrzeniem. - Nie jest to ładne, ale Brent bał się, że mały wpadnie do wody.

Zaniepokoiła się nagle.



- Powinnam była ci powiedzieć, żebyś przyniosła ze sobą kostium kąpielowy. Ale mogę ci coś pożyczyć. Masz ochotę popływać?

Odpowiedziałam, że uwielbiam pływanie.

- Ale nie dzisiaj. Następnym razem się przygotuję. Czy możemy obejrzeć resztę domu?

Momentalnie poweselała.

- Idziemy więc na zwiedzanie. Wszyscy się zachwycają naszym domem. - Radość, jaką jej to sprawiało, była tak szczera, że nie sposób się było doszukać w jej słowach przechwałek. - Szkoła robi tu zdjęcia na zakończenie roku, pokazują go w magazynach o urządzeniu wnętrza. Klub ogrodników też o nas nie zapomina.

- Z pewnością to nie jest tylko kwestia samego domu - powiedziałam z przekonaniem. - Ty i Brent musicie być bardzo gościnni.

Simone była tak samo urocza jak za pierwszym razem, gdy ją poznałam. Przypominała księżniczkę, o jakich czyta się tylko w bajkach. Patrząc na jej jedwabiste włosy, opadające na kształtne ramiona, miało się wrażenie, że właśnie opuściła świat baśni Grimma.

Zaprowadziła mnie do kuchni, pokazując po drodze wszystkie urządzenia i akcesoria i paplając przez cały czas.

- Chciałam, żeby wszystko było nowoczesne. Nie znoszę tych imitacji staroświecczyny.

Ledwie zdążyłam rzucić okiem na wykładane kafelkami blaty w kolorze ametystu i politurowane szafki w kolorze lawendy, a już spieszyliśmy dalej długim korytarzem. Zajrzałyśmy do pokoju

dziecinnego utrzymanego w kolorze lawendy i bładoniebieskim, gdzie Jenny karmiła małego z butelki. Na nasz widok zmarszczyła czoło.

Simone podniosła palec do ust i spojrzała na mnie wzrokiem konspiratora.

- Idzie spać - szepnęła zupełnie niepotrzebnie i poszliśmy dalej.

Zatrzymałam się nagle, gdyż moją uwagę zwróciły otwarte drzwi. Promienie słoneczne, które wpadały do pokoju, odbijały się od nieskazitelnie białych ścian i politurowanego drewna. Ujrzałam stopy obrazów, niespodziewaną orgię barw. Niektóre obrazy wisiały, inne oparte były o ściany, reszta zwalona na ziemi, jeden na drugim.

Simone skrzywiła się widząc, co przykuło moją uwagę.

- To pracownia Brenta. Boimy się tam sprzątać, nie pozwala niczego dotknąć.

Weszłam do środka i spojrzałam na pierwszy z brzegu obraz.

- Nie wiedziałam, że Brent maluje.

- To jego hobby. - Zdumiał mnie wyraz pogardy na twarzy Simone. Dostrzegła w moim spojrzeniu pytanie i wydeła wargi. - Maluje teraz mniej niż po ślubie. Zwłaszcza od chwili, gdy urodził się mały.

W jej sposobie bycia dostrzegłam coś dziwnego. Nie była to jednak uraza. Obejrzałam płótna.

Wszystkie obrazy Brenta zdradzały talent, a seria portretów żony była szczególnie udana. Simone przy toalecie w koszuli nocnej, jak w jakimś filmie. Simone w obszarpanych dżinsach i obcisłej bluzce. Simone na dworze, w puszystym swetrze i narciarskich spodniach.

Simone koło basenu, nagie ramiona i nogi złocistego koloru, skape bikini.

Najbardziej urzekający był nie dokończony pastel na sztalugach. Sprawiał wrażenie, jakby dawno już nikt się nim nie interesował.

Simone, w widocznej ciąży, ubrana na nim była w strój wieczorowy, jak na przyjęcie w ogrodzie. Kształtne ramiona wynurzały się z sukni pozbawionej rękawów. Szyję otaczał naszyjnik z pereł. Kapelusz z szerokim rondem przepasany purpurową wstążką przysłaniał czoło.

Brent przedstawił swą żonę z wyдутymi grymaśnie wargami, oczy jej patrzyły bez wyrazu. Podobieństwo było duże, rysy twarzy uchwycone znakomicie, ale było w tym obrazie coś niepokojącego. Tak jakby artysta sięgnął do wnętrza i wyciągnął na zewnątrz zakończenia nerwowe. Obnażone końcówki nerwów. Simone zerknęła mi przez ramię.

- Okropne. Nie znoszę tego obrazu. Dobrze, że Brent nigdy go nie skończył. Byłam wtedy taka gruba i brzydka.

Simone zabrała mnie stamtąd i poprowadziła obok nieskazitelnie czystego pokoju gościnnego aż do apartamentu państwa domu, zatłoczonego meblami. Znajdowała się tam garderoba, kącik do czytania, maleńka kuchenka i basen w osobnej ogrodowej altanie.

Wydawałam okrzyki zachwyty wszędzie tam, gdzie należało, a Simone wynagradzała mnie czarującym uśmiechem.

- Sama to zaprojektowałam - powiedziała wskazując z dumą ciężkie aksamitne zasłony i koronkowe ozdoby, wszystko utrzymane w różnych odcieniach purpury. -Uwielbiam ten kolor - dodała.

Patrzyłam na kafelki koloru lawendy i urządzenia w łazience państwa domu, kiście winogron i kwiaty wistarii na starannie dobranej tapecie, wyszukane lampy o barwach błękitu nad lustrem, i starałam się jak mogłam wywołać w sobie entuzjazm.

- Cudowne. Cóż za niezwykła tapeta! Gdzie ją znalazłaś?

Za przeszklonymi drzwiami, był długi ganek z widokiem na wąwóz, który zaprowadził nas z powrotem do salonu. Światło słoneczne koloru złota, zalewające pomieszczenie, stanowiło miły kontrast wobec nadmiaru purpurowych i lawendowych barw.

- Czy nie jest tu cudownie? - spytała Simone widząc, jak rozkoszuję się ciepłem. - Próbowałam przekonać Brenta, żeby zbudował podobne dachy w tych swoich okropnych domach, ale cokolwiek bym zaproponowała, on odpowiada zawsze, że to dziwaczne i drogie. Ale gdy tylko jemu coś przyjdzie do głowy, jest to zawsze nowatorskie i z fantazją, no i potrzebne ludziom. - Wzruszyła ramionami w kpiarskim geście. - Czy to jest sprawiedliwe? Czy wszyscy mężczyźni są tacy sami? Czy tylko Brent Forrester ma to we krwi? Jego ojciec był bardzo pewny siebie. Matka zresztą też.

Przerwała, by zaczerpnąć oddechu, a ja wykorzystałam chwilę, na którą podświadomie oczekiwałam, by spytać:

- Czy jego brat jest taki sam?

Zmieniła się na twarzy i odwróciła wzrok, przeczesując drobnymi palcami włosy. Jej głos, gdy się odezwała, był przytłumiony.

- Jason jest... też uparty. - Spojrzała na mnie niemal porozumiewawczym wzrokiem. - Więcej niż uparty. Już go poznałaś. Czy nie czułaś czegoś?

- Czy nie czułam czegoś? Przykro mi, ale byłam po prostu poirytowana.

- A więc także to dostrzegasz.

- Co? - Nie miałam pojęcia, co miała na myśli. Nachyliła się do mnie.

- Jason nie jest miłym człowiekiem.

Było to tak dziwne zdanie, że nie wiedziałam, jak odpowiedzieć.

- Letycja ma, zdaje się, do niego duże zaufanie. Simone po dziecinnemu nawijała sobie włosy na palec.

- Letycja uważa obu swoich synów za doskonałych.

- Słyszałam różne plotki o Jasonie - ciągnęłam. Zastanawiałam się przy tym, co jeszcze mogę powiedzieć.

- O, Jenny, jesteś nareszcie! - Simone z ulgą zmieniła temat, jakby się bała, że powiedziała za dużo. - Jesteśmy głodne. Trudno było uspić małego? - Twarz jej wyrażała całkowity spokój.

- Wszystko poszło dobrze. Zasnął jak anioł. - Jenny postawiła tacę na stole. Zdjęła z niej apetycznie wyglądające zimne dania i wysokie szklanki mrożonej herbaty. - Zawsze prędko zasypia. To dobre dziecko.

- Pewnie, że tak - powiedziała Simone i tanecznym krokiem podeszła do stołu.

- Jenny, ta sałatka wygląda smakowicie, chociaż Anna jest tak szczupła, że nie musi się ograniczać do sałaty.

- Ty chyba też nie musisz się troszczyć o wagę, masz idealną figurę-odpowiedziałam.

Zrobiło jej to przyjemność, ale dotykając obydwoma rękami piersi zauważyła skromnie:

- Tu jest całkiem dobrze, ale jeżeli się tylko trochę zapomnę, natychmiast tyję. - Położyła rękę na brzuchu.

- Dzieci dają się kobietom we znaki.

- Ale warto je mieć.

- Widać, że nigdy nie miałaś dzieci - rzekła Simone patrząc, jak Jenny nakrywa bez słowa stół i wychodzi.

- Kiedy będziesz je miała, zobaczysz, jak to jest. Mężczyźni przestają zwracać na nas uwagę, na skórze robią się rozstępy... Inaczej będziesz na to patrzeć.

- To już dawno nieaktualne - powiedziałam. Myśl o Alanie i o dzieciach, które mógłby mieć, zaostrzyła mój głos. - Może nigdy nie będę miała dzieci.

- No, w każdym razie dzieci sprawiają wiele kłopotu.

- Simone wydawała się nieco wzburzona. - Anno, tak się cieszę, że tu jesteś - zmieniła nagle temat. - Tak bardzo potrzebuję przyjaciółki. Kogoś, z kim mogłabym porozmawiać.

- Postaram się być dobrą przyjaciółką - odparłam. Jeśli w ogóle mogę się zaprzyjaźnić z kimkolwiek z tej rodziny, pomyślałam sobie, by uspokoić własne sumienie. Nie umiałam spojrzeć Simone w oczy. Aby ukryć skrępowanie, udałam, że jestem zajęta jedzeniem sałatki.

- Czy Jenny nie jest twoją przyjaciółką? - spytałam. Radosny nastrój Simone ulotnił się bez śladu.

- Jenny opiekuje się dzieckiem i domem - odpowiedziała z namysłem. - Jason ją nam wynalazł.

- Jason? - spytałam patrząc na nią.

- Ona jest wspaniała dla Christophera. Mamy szczęście, że jest u nas. - Simone mówiła to bezbarwnym głosem, jak wyuczoną lekcję. Z jej twarzy była pustka.

Czułam, że jeśli będę zanadto wścibska, Simone może przestać mówić.

- Letycja wspomniała, że pochodzisz z Kanady? - Sałatka z tuńczyka, leżąca wśród ćwiartek pomidora ułożonych na liściach sałaty, była naprawdę wyborna. - Jak poznałeś Brenta?

- Jestem właściwie Francuzką, ale mój ojciec umarł, kiedy byłam dzieckiem, i pojechaliśmy z matką do Kanady, gdzie miała brata. Brent przyjechał budować fabrykę, ktoś zabrał go na zawody strzeleckie, w których brał udział mój wuj, i tak się poznaliśmy. Zakochaliśmy się od pierwszego wejrzenia, i kiedy skończył swoją budowę, przyjechałam tu z nim.

- Co za romantyczna historia! Musiałś zupełnie stracić głowę.

- Chyba tak. Znałam go niecałe dwa tygodnie, kiedy się pobraliśmy. Wszystko poszło tak szybko. Czasem wydaje mi się, że za szybko. - Uśmiechnęła się ze smutkiem.

Z pewnością nie odważyłabym się ryzykować ślubu po dwutygodniowej znajomości. Simone była widać bardziej spontaniczna.

- Brent sprawia bardzo miłe wrażenie - powiedziałam.

- O, on jest z pewnością bardzo miły. Czasami tylko żałuję, że trochę nie poczekałam ze ślubem, żeby trochę przedtem popodróżować, zobaczyć kawałek świata. - Jej usta wykrzywił grymas. - A teraz siedzę tylko w tej zapadłej dziurze. Czasami jest mi bardzo ciężko.

- Rozumiem cię doskonale. - Było mi jej naprawdę żal, choć wydawało mi się, że każdy człowiek na jej miejscu próbowałby coś zrobić, czując się tak nieszczęśliwym.

Od strony wejściowego holu dobiegł nas głos Brenta, a po chwili zjawił się on sam.

- Brent? Myślałam, że wrócisz dopiero po południu. - Twarz Simone wyrażała jedynie radość na widok męża.

Brent ucałował ją w czoło.

- Skończyliśmy wcześniej. Dzień dobry, Anno - dodał z uśmiechem i zrzucił kurtkę. Wyglądał na zmęczonego.

- Dzień dobry - odpowiedziałam.

- Zaprosiłem Jasona, żeby zjadł coś z nami przed powrotem do domu - zwrócił się do Simone. Widząc, że zamierza wstać, dodał: - Siedź, powiedziałem już Jenny.

Gdy Brent kończył mówić, do pokoju wszedł Jason, zupełnie jakby czekał, aż ktoś go zapowie. Omal nie spadł z krzesła.

Był krótko ostrzyżony, zniknęła też gdzieś jego zaniedbana broda, zostały jedynie przystrzyżone starannie wąsy.

Ku mojemu zdumieniu Jason bez brody zwracał na siebie uwagę, w równym stopniu, choć w zupełnie inny sposób, niż brat. Brent przypominał dumnego wikinga-żeglarza, podczas gdy smagła



cera Jasona i jego wystające kości policzkowe upodobiały go do hiszpańskiego korsarza. Brakowało mu tylko złotego kolczyka w uchu.

Ubrany był w pasiastą koszulkę polo z rękawami, pod którymi rysowały się muskularne barki i ramiona. Nosił też mocno obcisłe, spłowiałe džinsy.

- Dzień dobry, Simone, dzień dobry, Anno. Cieszę się, że was widzę.

Czułam, że się czerwienię. Jason zauważył moje zaskoczone spojrzenie.

- Wygląda pan zupełnie inaczej bez brody - powiedziałam.

Uśmiechnął się szeroko, oglądając mój strój od góry do dołu. Najwyraźniej interesował go nie tylko ubiór.

Poczerwieniałam jeszcze bardziej, gdy zrozumiałam, że i ja przyglądam mu się z zainteresowaniem.

Odwróciłam się chcąc ukryć zmieszanie i napotkałam przelotne spojrzenie Simone, gdy odsuwała do tyłu krzesło.

Na szczęście tylko ja siedziałam tak, by móc dostrzec jej twarz. Wypisana na niej była głęboka nienawiść. W sekundę później opanowała się i zwróciła do męża:

- Myślałam, że nie będziesz na lunchu. Powiedziałeś przecież, że nie będzie cię cały dzień. Zaczekałybyśmy, gdybym wiedziała, że wcześniej wrócisz. Napijemy się za to razem kawy. Wiesz, okazuje się, że Anna lubi pływać. Obiecała, że przyjdzie wykąpać się ze mną któregoś dnia. Czy to nie cudownie?

- Wspaniale - odpowiedział Brent, najwyraźniej myśląc o czymś innym. Zauważyłam to i postanowiłam sobie zapamiętać. Podwinął rękawy koszuli i opadł na swoje krzesło przy stole.

- To bardzo miło. - Jason cedził wolno słowa. - To miejsce wspaniale nadaje się do opalania. Jest tak zaprojektowane, że można albo nosić bikini, albo jeśli ktoś chce, opalać się nago.

Byłam ogromnie speszona i całą siłą woli zmuszałam się, by siedzieć spokojnie. Nie było chyba najmniejszej wątpliwości, że to mnie właśnie opisywał w stroju Ewy. Mnie, którą on miał osiąść.

- Słońce źle wpływa na skórę, pływanie jest za to znakomitą gimnastyką - ucięłam uszczypliwie rozważania Jasona. - Bardzo mi się podoba twój basen - zwróciłam się do Brenta. - Czy sam go projektowałeś?

Wdaliśmy się w rozważania na temat architektury, a Jason przyłączył się z entuzjazmem do naszej rozmowy.

- Ale nic nie równa się chwili, w której można zobaczyć swoje dzieło. Po miesiącach kreślenia, poprawiania, oglądania fundamentów, szkieletu budynku... To niesamowita satysfakcja, kiedy się widzi, że wszystko wygląda tak, jak człowiek zaplanował.

- To wy zaprojektowaliście budynek Kumphera koło Lenox, prawda? - Przed kilku laty pokazał mi go Bob. - Mąż mówił mi, że to architektura przyszłości, bo podstawą projektu stało się wykorzystanie piękna.

Brent i Jason zdawali się zadowoleni, a Jason odpowiedział:

- Mądrego miała pani męża. To był projekt naszego ojca.

Uważał, że jeśli dom nie będzie dostarczał doznań artystycznych, nikt nie będzie miał ochoty w nim mieszkać ani pracować.

- A wy kontynuujecie jego tradycje?

- Robimy co możemy. - Oczy Jasona uśmiechały się do mnie. - Brent to prawdziwy artysta. Wymyśla, jak dom będzie wyglądał. Ja jestem głównie inżynierem i realizuję jego plany.

Brent szybko zaprotestował.

- Nie daj mu się nabrać - powiedział. - Jason jest równie dobrym projektantem jak ja.

Jason starał się być skromny.

- Cóż mogę na to powiedzieć?

- Że bez mamy nic byśmy nie wskórali - odparł Brent.

Gwałtowny protest Jasona rozpoczął rozmowę, podczas której obaj spierali się o to, kto jest bardziej zasłużony dla firmy Forresterów, i tak gawędziliśmy aż do końca posiłku.

Tyle że Simone już nic nie mówiła.

Za każdym razem, gdy zerkałam w stronę Jasona, napotykałam jego wzrok, który 'sprawiał, że przenikał mnie dreszcz. Jason należał do mężczyzn, którzy z łatwością biorą sobie co chcą, a ja miałam przemożną chęć ofiarowania mu tego.

Miałam nadzieję, iż moje spokojne odpowiedzi wysyłały w jego kierunku właściwe sygnały: on jest moim szefem, ale ja nie jestem do wzięcia. W każdym razie nie przez niego.

Nie miałam zamiaru uwikłać się w jakąś historię z Jansonem Forresterem. Idiotyzmem byłoby zachęcać go to tego. Pomijając już,

że mógł być wmieszany w sprawę śmierci Alana, nie chciałam być kolejną kobietą, która straciła dla niego głowę.

Raz jeszcze spojrzałam na niego ukradkiem, gdy rozmawiał z Brentem. Zawsze pociągali mnie mężczyźni z wystającymi kośćmi policzkowymi, a jego były zupełnie szczególne. Podobnie jak cała sylwetka. Wielka szkoda, że osobowość nie szła w tym przypadku w parze z wyglądem.

Ale z drugiej strony zachowywał się dzisiaj zupełnie przyzwoicie. Siedział tu, rozmawiał i sprawiał wrażenie zadowolonego. Można było na chwilę zapomnieć o jego wrodzonej arogancji.

Czułam, jak mięknę.

Po lunchu odwiózł mnie do domu. Nie wiem zupełnie, jak to się stało. Z pewnością byłam jak najdalsza od pomysłu, by jechać z nim razem samochodem.

Simone zaproponowała, że mnie podwiezie. Zaprotestowałam mówiąc, że to przecież tylko parę kroków, a już po chwili Jason prowadził mnie do swego pick-upu.

- Pójdę na piechotę - mówiłam stanowczo. - Naprawdę bardzo dziękuję.

- O nie, szanowna pani. Naokoło, szosą, to będzie siedem, osiem kilometrów. A Letycja by mi nie darowała, gdybym puścił panią drogą nad wąwozem - powiedział równie stanowczo. - Spadłaby pani w przepaść, a ja byłbym winien.

Zanim mu odpowiedziałam, wziął mnie za ramię. Zanim zdążyłam się uwolnić od jego dotyku, który rodził niepokój, zmusił mnie, bym wsiadła do pick-upa.

No, może „zmusił” to za mocno powiedziane. Chyba sama troszeczkę chciałam, do niej wsiąść.

Zajął miejsce za kierownicą.

- Dla takiej damy z wielkiego miasta niebezpiecznie jest chodzić samej nad wąwozem.

- Nie chodziłam sama. Miałam przewodnika.

- Przewodnika? - Wrzucił wsteczny bieg. - Kogo?

- Znajomego.

Ruszyliśmy pod górę wyasfaltowaną drogą.

- Nie mogła pani tu jeszcze poznać wielu ludzi - powiedział w zamyśleniu.

- Spotkałam tylu ilu trzeba. Może nawet za wielu. Roześmiał się i niespodziewanie, zupełnie nie wiem jak, zmienił się w ujmującego mężczyznę, jakiego rzadko się spotyka. Może sprawił to złocisty kolor jego oczu, przypominający światło słoneczne wpadające przez sklepienie w domu Simone. Może przyczyną był jego gardłowy głos, który brzmiał melodyjnie, gdy zwracał się do mnie.

- Czy mam uklęknąć i na kolanach przeproszać panią za tamten dzień?

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Nie poddam się jego spojrzeniom ani jego urokowi, pomyślałam i powtarzałam to sobie w kółko.

Dojechaliśmy do szosy. Jason zatrzymał się i rozejrzał w obie strony.

- Chętnie panią przeproszę, jeżeli tylko mi pani wybaczy. Naprawdę mi przykro. Chciałem pani dokuczyć. Spieszyłem się, a pani - taktownie nie wspomniał o mojej rozpiętej bluzce, choć prowokujący uśmiech w kącikach warg mówił, że pamiętał o tym - była zdecydowana mnie nie wpuścić. Najpierw chciałem, żeby przestała pani być taka wyniosła, a potem w pewien sposób zaczęło mnie to bawić.

- Nie chcę o tym mówić. - Czułam, że się duszę.

- W porządku. Ale proszę pamiętać, że jednak panią przeprosiłem. - Wyraźnie się ze mnie śmiał, flirtował ze mną, patrzył spod oka, żeby zobaczyć moją reakcję.

- Przeprosiny przyjąłem, ale nie ma już więcej o czym mówić. Proponuję, żebyśmy zapomnieli o całej sprawie.

- Chętnie, jeśli pani sobie tego życzy. - Teraz zaatakował mnie z innej strony. - Pewnie dlatego jest pani taka nieprzystępna, że jest pani wdową. Od jak dawna?

Kiedy Bob umarł? Głos mi się nie załamał, gdy odpowiadałam:

- W tym miesiącu minie rok.

- Nadal go pani oplakuje? Czy dlatego traktuje mnie pani tak zimno?

Zimno traktuje... Musiałam się trzymać od niego z daleka i nie mogłam mu powiedzieć dlaczego.

- Przykro mi, że pan tak uważa. Po prostu swoich przyjaciół zawsze dobieram bardzo ostrożnie.

Jason patrzył na szosę, ale mnie się wydawało, że słyszę jego tłumiony śmiech.

- To bardzo mądra zasada. Mam nadzieję, że zastosuje ją pani także wobec Simone.

- Simone? - Nie zrozumiałam jego ostrzeżenia.

- Ona jest zupełnie inna niż pani. Proszę mi wierzyć, nie chciałaby pani z pewnością, żeby kojarzono ją z panią.

Zachodziłam w głowę, o co mu chodzi.

- Ona jest cudowna -powiedziałam.

- O, tak, jeżeli tylko chce. - Jason powiedział to tonem nie podlegającym dyskusji. - Ale tak naprawdę to dziwka. W niczym pani nie przypomina.

- Nic pan o mnie nie wie. - Byłam tego pewna. Popatrzył na mnie przez ułamek sekundy i zobaczyłam, że się śmieje.

- Dziewczyno, wszystko, o czym myślisz, masz wypisane na twarzy. Dziecko nawet potrafiłoby to odczytać.

Założę się, że nie umiałaby pani skłamać, nawet gdyby zależało od tego pani życie.

Zła na niego - lub na samą siebie - patrzyłam na drogę przed sobą.

Jechaliśmy potem w milczeniu, ale nie mogłam wytrzymać i ciągle odwracałam wzrok. Najpierw spojrzałam na jego nogi, nadal w roboczych butach, swobodnie i pewnie naciskające sprzęgło, zwalniające i naciskające gaz.

Potem zebrałam się na odwagę i spojrzałam na jego umięśnione łydki i uda w dżinsach, na dużą rękę, którą trzymał na dźwigni zmiany

biegów. Druga jakby, od niechcienia, spoczywała na kierownicy. Prowadził samochód z widoczną wprawą i łatwością, hamując i zmieniając biegi z płynnością i spokojem, które zauważyłam już w jego chodzie.

- Jesteśmy - powiedział zatrzymując samochód przed moim domem po dziesięciu minutach jazdy, w czasie której żadne z nas się nie odezwało. - Dojechała pani zdrowa i cała. Nic pani nie płaci za przejazd ani za rozmowę, ani za zawiedzione nadzieje. W żadnym wypadku, Wasza Wysokość. Nie chcę o tym nawet słyszeć.

Próbowałam powstrzymać uśmiech. Moja powściągliwość nie gasiła jego dobrego humoru. Czy ten człowiek zawsze jest taki wesoły?

Kiedy wysiadłam, chwycił mnie za przegub ręki i pochylił się. Moja skóra pod jego palcami ożyła. Musiał wyczuć moje pulsujące tętno.

- Gdyby chciała pani pójść na wycieczkę, proszę mi dać znać. - Poczulałam ciepło jego oddechu na policzku. - Zabiorę panią. - Mówił cicho i poufale. - Kiedy tylko pani zechce.

Puścił mnie i wysiadłam pospiesznie. Byłam zbyt spięta, by cokolwiek powiedzieć. Trzaśnięcie drzwiami, błysk zębów, przyjazne machnięcie dłonią i już go nie było.

Machałam mu ręką na pożegnanie, sama nie wiem, jak to się stało, a skóra paliła mnie nadal od jego dotyku.

Za co Simone go tak nienawidzi?

Dlaczego on nie lubi Simone?

Samochód zniknął i wtedy dopiero machinalnie opuściłam rękę.



Ciekawe, co by mi mógł powiedzieć o śmierci mojego brata?

## 7

Myślę, że to właśnie od tego popołudnia zaczęłam łagodniej patrzeć na Jasona Forrestera. A może moje uprzedzenia zaczęły zniknąć już w chwili, w której go spotkałam? Był zbyt otwarty, by móc być mordercą, ale był także jedyną nicią do splątanego kłębka tajemnic skrywających śmierć Alana, którą trzymałam w ręce.

Chciałam koniecznie przeciąć tę plątaninę i odkryć prawdę.

Moje sny zaczęły mi się znów dawać we znaki. Występowały tak często jak przedtem, ale były bardziej urozmaicone. Uciekałam w nich czasem do ponurego zamku, w którym królował strach, czasem w inne miejsce, które, jak wiedziałam, jest zakazane. Czasem ścigała mnie jakaś tajemnicza postać, kiedy indziej zmuszona byłam iść za szarym widmem. Zawsze towarzyszyło mi uczucie, że zostawiam coś nie dokończonego, coś, co widziałam, ale czego nie rozumiałam.

Alan pojawiał się zazwyczaj w tych snach. Był smutny, ale nigdy w rozpacz. Zdawał się dodawać mi otuchy, a jednocześnie ponaglał mnie.

Gdybym tylko mogła zrozumieć, dlaczego tak było i czego ode mnie chciał.

Wiedziałam, że moje sny powiązane były z Rahuntą i rodziną Forresterów. Gdyby tylko Jason Forrester dopomógł mi je zrozumieć, wykorzystałabym go bez najmniejszych skrępułów.

Byłam też oczywiście trochę pod urokiem Jasona. Nie spotkałam dotąd nikogo podobnego. Mój ojciec, mój brat i mój mąż byli dobrymi, wrażliwymi ludźmi, ale żaden z nich nie podchodził do życia z takim entuzjazmem jak Jason. A to właśnie zdawało się stanowić część jego osobowości.

Tak, nasze pierwsze spotkanie było nieudane, lecz gdy Jason pamiętał o dobrych manierach, stawał się najbardziej czarującym mężczyzną pod słońcem. Pracując z nim przekonałam się, że jest taki, na jakiego wyglądał - prawy i bezpośredni, i że plotki przedstawiały go w fałszywym świetle. Był niebezpieczny, gdyż był otwarty.

A jego urok! W swoim kapeluszu z dużym rondem i wysokich butach Jason naprawdę przypominał kowboja. Tylko jaskrawa, żółta kurtka psuła obraz.

- Cóż to za byk - zwrócił się do matki i do mnie Jason, gdy patrzyliśmy, jak to ogromne i ciężkie zwierzę, warte zapewne sto tysięcy dolarów, zbliża się do krowy, która się niczego nie spodziewa.

- Będziemy mieli z niego prawdziwą pociechę.

- Nie wiem, o jaką pociechę chodzi, wiem za to, że pełno tu różnych byków - mruknęłam pod nosem.

Byk nie robił na mnie wrażenia, tak jak z pewnością nie wywarła na mnie wrażenia męska sylwetka Jasona na tle szarego nieba, ze

starym posapującym owczarkiem australijskim u stóp. Z pewnością taki obraz o erotycznym podtekście znakomicie by się nadawał do jakiegoś kobiecego kalendarza, ja jednak byłam ponad to.

A poza tym tego dnia miałam inne plany. Było pochmurne, listopadowe południe. Przerwę na lunch zamierzałam spędzić w bibliotece czytając stare gazety, które mogłyby mi coś powiedzieć o pierwszych zaręczynach Jasona. Czytałabym sobie teraz w przytulnym pokoju, gdyby nie to, że Letycja poprosiła mnie o pomoc w zrobieniu corocznego inwentarza.

I tak oto Jason zaczął otwarcie ze mną flirtować. Srodze się zawiedzie, jeśli ma nadzieję, że weźmie mnie na rozmowy o bykach i rozplodzie.

Byłam niesprawiedliwa.

W końcu to całkiem miło znaleźć się czasem poza biurem. I czy sama nie chciałam poznać lepiej Jasona Forreстера? Gdyby tylko nie był taki... wulgarny.

Myślałam, że moja uszczypliwa uwaga przeszła nie zauważona, ale Jason oparł się o płot i leniwie odwrócił głowę.

- Strzał w dziesiątkę, proszę pani. Lochinvar jest tu największym bykiem, ale są i inne, jak pani słusznie zauważyła. Niewykluczone, że są też lepsze od niego.

Mimo że rondo kapelusza przysłaniało mu twarz, zauważyłam błysk w jego oczach. Zrozumiał doskonale, o co mi chodziło, ale udał, że bierze moje słowa za dobrą monetę.

- Mamy byka Juliusa, który obsłużył już ponad tysiąc krów. Nie jest duży, ale z pewnością lubiany. Stado, jak się wydaje, nigdy go nie ma dosyć.

Przerwał na chwilę i wcisnął kciuki w szlufki od paska do spodni. Przybierając zasadniczy wyraz twarzy, ciągnął swój wywód:

- Teoretycznie wszystkie byki wyposażone są tak samo, ale tylko niektóre w sposób naturalny wiedzą, jaki zrobić z tego użytek.

Z trudem zachowałam spokój. Oczywiście było, że mówiąc to wszystko nie myślał wcale o bykach. Gdybym nie darzyła sympatią Letycji i Brenta, powiedziałabym mu, co o tym myślę. Trzymałam więc język za zębami, żeby nie wprowadzać niemiłych zgrzytów w obecności Letycji.

Ale to nie oznaczało, że byłam gotowa nadstawić drugi policzek.

- Ojej, biedny Julius! Musi być zupełnie wykończony, jeżeli kazał mu pan tak ciężko pracować - powiedziałam ze słodyczą w głosie. - Trudno się dziwić, że trzeba było sprowadzić nowego byka. Może dobrze by było obchodzić się z nim nieco troskliwiej niż z tamtym, bo się wykończy, zanim osiągnie średni wiek. - Spojrzałam na niego znacząco. - Co zdarza się wielu mężczyznom.

- Widocznie zna pani nie tych mężczyzn co trzeba! -

Wyprostował się tak gwałtownie, że spadł mu kapelusz i musiał się pochylić, by podnieść go z ziemi. - Nikt się jeszcze nie wykończył pier...

- Jace! - Letycja była wstrząśnięta. - Zmiłuj się, nie bądź ordynarny! Nie pojmuję, skąd to się u ciebie bierze. Ostatnio już taki nie byłeś.

Uśmiechnęłam się złośliwie. Był tak czuły na punkcie swych seksualnych możliwości jak każdy mężczyzna.

Otworzył usta, w jego oczach pojawił się jakiś dziwny błysk.

- Na litość boską - dodała jeszcze Letycja i zakończyła nasze przekomarzanki, podnosząc ostentacyjnie do góry zegarek.

Ubrana była jak zwykle w spodnie z poliestru i bluzkę z dużą kokardą, której nie zawiązała. Ze swą pomarszczoną twarzą, z włosami w nieładzie, wyglądała jak żona farmera. Nikt nie domyśliłby się, że to jedna z najbogatszych kobiet w tym stanie.

Nie pozwoliła Jasonowi dojść do słowa.

- Nie ma powodu, żebyśmy tu sterczeli i patrzyli, jak Lochinvar pokrywa krowę. Chodźmy do stajni. Mam zamiar wyjechać w niedzielę po Dziękczynieniu, bez względu na to, czy skończymy z inwentaryzacją, czy nie.

Zawiadomiła nas parę dni temu, że wybiera się na kilka tygodni do Palm Beach z przyjaciółką, żeby trochę odpocząć.

- Powinnaś wyjechać po Bożym Narodzeniu, mamó. - Jason postawił nogę na dolnej desce ogrodzenia i oparł się o górną, przybierając typowo męską pozę. - Co tam będziecie z ciocią Sue robić, zamknięte w małym domku?

- Przez dziesięć lat ją zbywałam, ale teraz już pojedę na pewno. Nie bój się, wrócę przed Bożym Narodzeniem na tyle wcześnie, żeby ubrać choinkę i zapakować ci prezenty.

Może się i zarumienił, ale trudno to było zauważyć, miał tak ciemną cerę.

- Oj, mam, wiesz sama, że będzie mi ciebie brakować. Nie chodzi mi o żadne prezenty. - Za chwilę jednak przeczył już swojej bezinteresowności, pytając niespokojnie: - Ale zamówiłaś mi te głośniki do mustanga, tak jak obiecałaś?

Letycja zignorowała to pytanie, uśmiechając się tylko jednym z tych macierzyńskich uśmiechów, który mówił, że wie, jakie jej dziecko jest sprytne, ale takie pytanie jest trochę nie na miejscu.

- Anno - zwróciła się do mnie. - Świetnie sobie radzisz w biurze. Nie mam wcale wyrzutów, że wyjeżdżam. Chyba nie mówiłyśmy o tym, ale minął już twój okres próbny.

Jeśli chcesz, możesz z nami zostać. Wiem, że Brent i Jason są tego samego zdania.

- Nie dalibyśmy sobie rady bez pani. - Jason zrezygnował z wyciągnięcia od matki odpowiedzi i uśmiechnął się tym swoim cholernym, sennym uśmiechem, który sprawił, że zapomniałam o wszystkim, czego w nim nie cierpiałam o jego śmiałych sądach, zbytnej pewności siebie i tej męskości, z którą się obnosił. - Nie wiem, jak Brent, ale ja nie zniósłbym myśli o pani wyjeździe.

Przez chwilę poczułam się tak podła i nieuczciwa, jak nigdy w życiu. Ci ludzie byli zupełnie inni niż sobie wyobrażałam. Wszyscy. Przez krótką chwilę myślałam, by zrezygnować i wrócić do domu, ale w końcu zwyciężył zdrowy rozsądek.

Nie robiłam przecież niczego złego. Ukrywałam tylko fakt, że jestem siostrą Alana McKenzie. To nie było jeszcze przestępstwo.

Ale moja tajemnica zaczynała mi ciążyć z każdym dniem coraz bardziej. Co się stanie, jeżeli zaczną mieć jakieś podejrzenia i zechcą

sprawdzić w Wytwórni Lodów w Atlancie? Co się stanie, gdy będę musiała wyznać, kim naprawdę jestem?

Postanowiłam o tym chwilowo nie myśleć i pomogłam im liczyć krowy. Potem liczyliśmy konie i żrebaki. A potem świnie. Zanim wróciliśmy do domu Letycji na lunch, zobaczyłam już tak wiele krów, koni i świń, że czułam się jak stary MacDonald z piosenki.

Do kuchni Letycji weszliśmy tylnymi drzwiami bezpośrednio z dworu, obchodząc werandę. Kuchnia była duża i jasna, lecz stanowiła przeciwieństwo wytwornej i sterylnej kuchni Simone, mimo że były w niej rozmaite urządzenia, równie nowoczesne i lśniące jak w domu nad wąwozem. Zasłony w wesołych kolorach i krzesła w stylu Windsor, ustawione wokół trochę podniszczonego stołu z klonowego drewna, stwarzały przytulną, domową atmosferę.

Wszystko wokół naznaczone było gustem Letycji. Zasuszone sitowie w glinianym dzbanku stało obok kuchennych drzwi, a stara maślnica znajdowała się obok wejścia w kształcie łuku, które prowadziło do jadalni. Tam dostrzegłam eleganckie meble firmy Duncan Phyfe, korzystnie odcinające się na tle dywanu i niebieskich zasłon.

Gospoia, stara kobieta, tak drobna, że wydawało się, iż przewrócić ją może najłżejszy podmuch wiatru, podała nam grzanki z serem i pomidorami. Podgrzała też na kuchni, nad którą wisiały miedziane garnki i rynienki, świeżo zrobioną zupę cebulową. Na jej twarzy zastygł grymas niezadowolenia i cały czas narzekała, że jest ogromnie zapracowana.

Ani Letycja, ani Jason nie zwracali na nią najmniejszej uwagi. Czasem tylko potakiwali jej przyjaźnie. Gospośia postawiła naczynia na kolorowych serwetkach zszywanych z łątek i zostawiła nas samych. Wychodząc, mruzczała pod nosem:

- Trzeba zdjąć te zasłony i uprać.

- Przecież były prane w zeszłym miesiącu? - zwrócił się Jason do matki, nalewając sobie zupę z parującego garnka.

Letycja rozwinęła swoją serwetkę z westchnieniem.

- Wiesz przecież, co za pedantka z tej Maggie. Co sześć tygodni powinno się według niej prać zasłony, więc też co sześć tygodni zdejmuję je i pierze. Maggie rządzi w tym domu - uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo

Letycja - mimo że tak bardzo narzeka. I nie myśl sobie, że ją wyzyskuję. Maggie robi dokładnie to, co chce. Nie odważylibyśmy się nawet zaproponować jej, żeby robiła co innego.

- Kiedyś będzie trzeba. - Jason oblizał palec, który niechcący zanurzył w zupie. - Nie można jej pozwolić, żeby pracowała ciągle tak, jakby dalej miała dwadzieścia lat.

Matka przyznała mu rację, kiwając smutno głową.

- Jak długo Maggie już u was pracuje? - spytałam, próbując mrożonej herbaty.

- Od mojego ślubu z Mossem - odparła Letycja pogodnie. - Wyjeżdżała kilkakrotnie w sprawach rodzinnych, ale zawsze wracała. Dzięki Bogu.



- Tak, tak, bardzo lubimy to kobiecisko. - Jason uśmiechnął się do mnie konspiracyjnie. - Zwykle trzymamy się ludzi, do których czujemy sympatię.

Szybko ugryzłam kawałek grzanki. Była pięknie przyrumieniona, pomidory miały smak lata, a ser rozpływał się w ustach.

Jedliśmy z prawdziwą przyjemnością. Byliśmy w połowie świeżo upieczonej szarlotki, kiedy przerwała nam Simone. Jej przyście zakończyło interesującą rozmowę o sztucznym i naturalnym zapładnianiu.

Znajoma drobna postać w jaskraworóżowym swetrze i spodniach wpadła do kuchni jak bomba. Do jej jasnych włosów przyczepił się liść. Była cała spocona. Zaróżowione policzki sprawiły, że wyglądała jeszcze bardziej czarująco niż zwykle. Zatrzasnęła za sobą drzwi i stanęła przed Jasonem.

- Ty! Ty! Prawda, że to wszystko twoja robota? Pamiętałam wzrok pełen nienawiści i jej zachowanie w zeszłą sobotę, gdy się w ogóle nie odzywała, jakby starała się nie zwracać na siebie uwagi Jasona. Dziś była tak rozgniewana, że wyraźnie już jej na tym nie zależało.

- O co chodzi? - Letycja była zdumiona. Jason jednak nie był zaskoczony.

Poznałam to po sposobie, w jaki się rozparł na krześle, po jego protekcyjnym uśmiechu. Ciepło, które z niego emanowało przez cały ranek, gdzieś uleciało.

- Nie biegłaś chyba tutaj przez całą drogę? - spytała Letycja, przyglądając się Simone.

- Namówił Brenta, żeby mnie nie zabierał w styczniu do Nowego Orleanu! A Brent już mi obiecał! - Simone patrzyła na Jasona tak, jakby miała za chwilę wybuchnąć. - Przyznaj się, że go namówiłeś!

- Ależ Simone, przecież to wasza sprawa, twoja i Brenta. - Letycja rzuciła pytające spojrzenie na syna. Jej niepokój przypomniał mi o Brencie. - Jace nic do tego nie ma.

Simone spiorunowała go wzrokiem.

- Nie? No to dlaczego dziś rano Brent powiedział, że po drodze wpadniemy do Las Vegas, a kiedy rozmawiałam z nim pięć minut temu, powiedział, że w ogóle nie jedziemy? Spotkał się rano z Jasonem i Jason namówił go, żeby zmienił zdanie!

Simone zakryła twarz rękami.

Letycja i ja milczałyśmy, nie wiedząc, co począć.

W Simone dokonała się nagła przemiana. Gniew zmienił się w rozpacz. Zalane łzami, błękitne oczy przypominały skapane deszczem bratki.

- Letycjo, ja muszę pojechać. Czuję się jak ptak uwięziony w klatce. Marnuję się na tym odludziu.

- Byłaś przecież w tym roku w Atlancie, San Diego i Baltimore - tłumaczyła Letycja spokojnym, lecz stanowczym głosem.

Simone z oburzeniem wzniosła ręce do góry.

- Proszę cię, bardzo cię proszę, porozmawiaj z Brentem i zrób coś, żeby mi pozwolił pojechać. On ciebie na pewno posłucha.

Głos Letycji był życzliwy, ale i szorstki zarazem.

- Przestań, kochanie, tak nie można. A zresztą nawet gdybyś pojechała, nie będziesz zadowolona. - Wstała od stołu i objęła Simone ramieniem. - W Nowym Orleanie spędzą tylko noc lub dwie, bo budowa jest przecież za miastem. Nie płacz, Simone.

Jason, który w czasie lunchu był towarzyski, pokazał teraz swą prawdziwą naturę.

- Mama ma rację, Simone. Będziemy w Nowym Orleanie na tyle długo, żeby pójść na Bourbon Street i wpaść po drodze do kilku burdeli. Ale będziemy za krótko, żebyś zdążyła odwiedzić sklepy. Lepiej więc przestań się już awanturować.

- Jace! - zaprotestowała ostro Letycja nad głową Simone. Simone wpadła we wściekłość, gdy dotarły do niej słowa Jasona.

- Ty potworze, ty wstrętny potworze! Brent z tobą nie pojedzie! Nie zgodzę się na to! Nie zgodzę!

- Nie bądź głupia, Simone. - Jason nie próbował ukryć zniecierpliwienia. - Wiesz przecież najlepiej, że Brent, kiedy wyjeżdża, myśli tylko o pracy. Nie ma czasu na zabawy i zwiedzanie. Gdybyś z nami pojechała, traciłby czas na twoje komedie, a ty byś się zajmowała wydawaniem pieniędzy, których Brent nie ma. Wracaj do domu i zrób mu awanturę, ale Letycję zostaw w spokoju.

Simone zatrzęsała się ze złości.

- Ciebie nic nie obchodzą pragnienia duszy. Jesteś niewrażliwym chamem, jesteś... tyranem!

- Mówiono już o mnie gorzej - skomentował oschle, nie dając się wyprowadzić z równowagi.

-Ty...ty...

Myślałam przez chwilę, że powie coś tak obraźliwego, że trudno to będzie potem zapomnieć, ale się pohamowała. Łkała z oczami błyszczącymi gniewem.

- Jak ja cię nienawidzę! Gdyby nie Brent i Letycja...

- To co byś zrobiła? - zapytał, nie kryjąc pogardy. -Dotąd się nimi nie przejmowałaś, więc śmiało. - Roześmiał się. - No, Simone, co byś zrobiła?

- Ty potworze! - Wyrwała się z ramion Letycji i podbiegła do niego, ale Jason obronił się z łatwością, chwytając ją jedną ręką za obydwa nadgarstki i przytrzymując z dala od siebie.

- Denerwujesz Letycję, Simone. A to co? Nowy pierścionek? - Głos jego zabrzmiał ostro, gdy dostrzegł na jej palcu pierścionek z ametystem i brylancikami. Rysy twarzy stwardniały mu podobnie jak głos. - Skąd wzięłaś pieniądze na tę błyskotkę?

Odsunęła się od niego.

- Ja... to ten, który mi Brent niedawno kupił, kiedy pojechaliśmy oglądać akwarium w Chattanoodze. - Schowała rękę za siebie. Nagle zrobiła się poddenerwowana.

- Brent nie ma pieniędzy nawet na wyregulowanie silnika w samochodzie, od kiedy się z tobą ożenił. Myślałem, że skończy z tym. Wie przecież dobrze, że nie może sobie pozwolić na podobne wydatki.

Simone nie wytrzymała, odwróciła się i wybiegła z domu.

W ciszy, która zapanowała po trzaśnięciu drzwiami, słychać było nawet tykanie zegara wiszącego nad drzwiami i śpiew Maggie,

dobiegający od frontu domu. Śpiewała chrapliwym głosem, fałszując, „Amazing Grace”.

Dało się też słyszeć westchnienie Letycji. Zawsze tak pełna energii, że trudno było myśleć o jej wieku, w tej chwili wyglądała dokładnie na swoje sześćdziesiąt kilka lat. W spojrzeniu, którym obrzuciła swego starszego syna, nie było gniewu. Smutek spletał się z niepokojem, który zauważyłam już przedtem.

- Nie zwracaj na nią uwagi, mamó. To zwykła egoistka i niewdzięcznica. - Ostry wyraz twarzy Jasona złagodniał, gdy zauważył strapienie Letycji. Wyciągnął do niej rękę.

- Przejdzie jej, jak zwykle.

- Jace, dlaczego nie spróbowałeś jakoś tego załatwić?

- Letycja z wyraźnym niepokojem ścisnęła mu dłoń. - Biedaczka jest taka wrażliwa. Tyle zamieszania o głupi wyjazd. Dlaczego Brent nie miałby jej wziąć?

Jason wysunął rękę z jej dłoni i usiadł prosto przy stole.

- Dlatego że wydaje się na nią cholernie dużo pieniędzy. Sama wiesz, jakimi sumami obracała w pierwszym roku po śmierci ojca. A jeśli już mówimy o wrażliwości, to powiem ci, że ona jest tak wrażliwa jak kamień.

Zacisnął zęby, a twarz jego przybrała podobnie nieugięty wyraz jak na zdjęciach w gazecie. Usta miał tak samo twardo zaciśnięte.

Nie przypominał teraz w niczym człowieka, z którym pracowałam przez cały ranek, który przekomarzał się ze swą matką i flirtował ze mną. Był tak inny, że na myśl o tym po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Czy aż tak bardzo się myliłam w sądach o nim?

Czułam się nieswojo. Wstałam, by zanieść naczynia do zlewu.

- Mam nadzieję, że nic jej się nie stało. Nie powinna sama chodzić tą ścieżką. - Letycja zaniepokojona zmarszczyła brwi.

- Przy odrobinie szczęścia spadnie do przepaści i skręci kark.

- Jason! - Obydwie z Letycją zmartwiałyśmy.

Wstał i wyszedł z kuchni. Zostawiał po sobie niepokój, zupełnie jakby nie był dłużej w stanie pomieścić w sobie całego gniewu.

Splukałam swoją miseczkę, przerażona nagłą przemianą w człowieka, którego zaczynałam dopiero poznawać.

- Anno, nie zwracaj na Jasona uwagi. - Letycja zaczęła sprzątać ze stołu. - On uważa, że musi się opiekować wszystkimi. Kiedy umarł jego ojciec, zostawił swój dom na drugim końcu miasta i przeniósł się do mnie. Powiedział, że ma już dosyć gotowania, ale doskonale wiem, że ten wariat sądził, że potrzebuję kogoś, kto by się mną zajął. -

Mówiła to z czułością w głosie.

- Widać, że jest do ciebie bardzo przywiązany.

W biurze Jason przekomarzał się z matką i zawsze bez szemrania spełniał każde jej polecenie. Bywał szorstki dla innych, lecz nigdy wobec Letycji.

- Tak, to prawda. Jason troszczy się o każdego, do kogo jest przywiązany. Przychodzi mu to zupełnie bez wysiłku. Opiekuje się Brentem, opiekował się nim nawet w dzieciństwie. I myślę, że na tym polega problem. Zawsze uważał, że Simone nie jest odpowiednią żoną dla Brenta, chociaż Brent wygląda na szczęśliwego. - Ze

zmarszczonym czołem zbierała naczynia ze stołu. - Myślę sobie czasami, że dobrze by było, gdyby się ożenił. Miałby jeszcze kogoś

poza mną i Brentem, o kogo by się musiał martwić. Myślę też czasami... - Zagryzła wargi i zebrała serwetki ze stołu.

Wzięłam ściereczkę i zaczęłam wycierać stół.

Wrócił Jason, już w znacznie lepszym humorze.

- Przepraszam, mamó. Poniosło mnie. - Pochylił się i pocałował Letycję w czubek głowy.

- Przepraszam zda się psu na budę, jak lubił mawiać twój dziadek, kiedy byłam mała. - Letycja wróciła już do siebie. Znow była szorstka. Ucałowała jednak Jasona w policzek, a on przyjął to bez zakłopotania.

Niewielu znałam mężczyzn, którzy by byli w tak czułych stosunkach ze swymi matkami. Mogłam sobie wyobrazić człowieka tak uległego jak Brent przeproszającego matkę, ale widok w takiej sytuacji Jasona był osobliwy. Jaki on naprawdę jest?

Splukując ściereczkę, wyjrzałam za okno.

- Wspaniały widok-zauważyłam.

Widok był rzeczywiście wspaniały. Nagie, piękne konary brzoź, dębów, wiązów i topoli na tle ściany wąwozu. Sosny i cedry pyszniące się swą wieczną zielenią pod zachmurzonym niebem.

- Jak mądrze zrobiłaś, umieszczając kuchnię z tej strony. Moje uwagi obudziły w niej wspomnienia.

- Jedyne, o co prosiłam Mossa, czyli mojego męża, gdy zaczął odnawiać ten dom trzydzieści pięć lat temu, to żeby kuchnia i sypialnia wychodziły na wąwóz - powiedziała Letycja z nostalgią w głosie.

- Ile lat ma ten dom?

- Był zbudowany w połowie dziewiętnastego stulecia.

Zaczęliśmy go doprowadzać do porządku zaraz po ślubie i ciągle go urządzamy. Nie należę do ludzi, którzy uważają, że nic w domu nie można zmieniać. Zbyt mi zależy na wygodzie.

- To zupełnie jak mnie. - Odwzajemniłam jej uśmiech.

- Moss zrobił wszystko tak, jak chciałam, wiele własnymi rękami - dodała rozglądając się po kuchni. - Dobudowaliśmy gabinet, a Moss ułożył płyty kamienne pod kominek. Jace zaś powbił kilka gwoździ w swoim czasie, prawda, synu?

- Wcześniej zacząłem i do tej pory nie skończyłem - odparł wesoło.

Znowu był pełen werwy, otwarty i bez przerwy dowcipkował. Ten człowiek, którego zaczynałam dopiero poznawać, nie był ani brutalny, ani złośliwy.

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że miałam przez cały ten czas ściśnięty ze zdenerwowania żołądek. Powoli zaczęłam się uspokajać.

- To prawda - przytaknęła Letycja. - Jason pomógł nam stworzyć ten dom i pewnego dnia dostanie go. Jeśli tylko ten łowca kobiecych serc znajdzie kiedyś jakąś niemądrą dziewczynę, która go zechce poślubić. Ja przeniosę się wtedy do naszego czynszowego domu na drugi koniec miasta. Tu niech trochę po nim posprząta jego żona.

- Ależ mam - wtrącił Jason z uśmiechem. - Wiesz przecież, że już mnie przyuczyłaś do obowiązków domowych. Wkładam brudne ubranie gdzie trzeba, i robię różne inne rzeczy. Nie powinnaś przy Annie tak źle o mnie mówić.



Lubiłam, gdy się uśmiechał.

- Proszę się nie martwić - powiedziałam. - Cokolwiek matka powie, nie zmienię swojej opinii o panu. Kiedy się z kimś pracuje przez cały dzień, wie się o nim wszystko, co tylko chce się wiedzieć.

Zmrużył oczy, ale nie udało mu się ukryć błysku swych brązowo-żółtych oczu, które wyrażały aprobatę.

Już przedtem zauważyłam, że miał refleks. Zakłuło mnie serce w dziwny, nie spotykany dotąd sposób.

- Skoro już mówimy o pracy, dobrze by było do niej wrócić - powiedział nie ulegając pokusie, by odwdzińczyć mi się jakąś ripostą.  
- Czy nie ma pani nic przeciwko temu, żebyśmy zajęli się północnymi pastwiskami?

- Pada deszcz - zauważyłam.

Wyjrzał przez okno, robiąc wrażenie zdziwionego.

- Rzeczywiście. Mamo, nie ma sensu, żebyś wychodziła w taką pogodę. Anna już wie, o co chodzi, i świetnie damy sobie sami radę - oznajmił matce z błyskiem w oku, który obudził moją nieufność.

- Nie ma sensu w ogóle wychodzić w taką pogodę. - Letycja także chyba zauważyła błysk w jego oczach, a wiedziała lepiej niż ja, co to oznacza. - Nie bój się, Anno, możemy wiele od ciebie wymagać, ale na pewno nie chcielibyśmy, żebyś się nabawiła zapalenia płuc. Północne pastwisko zaczeka do jutra. Pójdziemy teraz popracować do magazynu, dopóki deszcz nie przestanie padać.

- Świetnie - odpowiedziałam.

Miałam nadzieję, że nikt nie zauważył ulgi, z jaką przyjąłem wiadomość, iż nie będę musiała być sama z Jasonem.

## 8

Moja radość była krótka.

Gdy wychodziliśmy, zadzwonił telefon i Letycja wezwana została do sklepu z dywanami w mieście. Podwieźliśmy ją w drodze do magazynu, a potem zostałam sama z Jasonem, by dokończyć inwentaryzację. Mimo moich obaw, spędziliśmy popołudnie bez żadnych spięć. Mój pierwotny lęk zaczynał się powoli przeistaczać w nadzieję, że Jason jest prawdziwym dżentelmenem, zainteresowanym jedynie pracą.

I tak też było.

Aż do chwili, w której kończyliśmy nasze zajęcie.

- Czterysta osiemdziesiąt siedem metalowych płytek - powiedział Jason schodząc z drabiny. - To tyle. Skończyliśmy. Myślę, że jest pani zadowolona.

Spojrzałam na niego znad notatnika, w którym spisywałam dane. Jason uśmiechał się do mnie.

- Pewnie, że tak. - Przeciągnęłam się, czując ból w plecach. - To był długi dzień, to liczenie, te wszystkie nakrętki, sworznie, krowy i inne rzeczy.

- Bolą panią plecy?

Ośmielona tym, że nawet podczas nieobecności Letycji, która wywierała na niego zbawienny wpływ, zachowywał się zupełnie przyzwoicie, kiwnęłam nieopatrznie głową.

- Tak, trochę.

- Może coś na to poradzę? - spytał ze współczuciem. Zanim się zorientowałam, o co mu chodzi, odwrócił mnie plecami do siebie i dotknął mojej szyi. Ręce miał duże, ale niezwykle delikatne. Zaczął uciskać moje ramiona. Poczulałam się wspaniale. Powinnam była zaprotestować, ale byłam już wykończona, a jego palce sprawiały mi wielką ulgę. Masował mi plecy chyba z pięć minut, aż całe napięcie opuściło mnie i ustąpiło miejsca czemuś, do czego nie chciałam się przyznać.

Przez cały czas słyszałam jego delikatny i równy oddech. Czułam za sobą ciepło jego ciała, które niemal mnie dotykało. Czułam jego zapach. Zapach potu zmieszany z delikatną wonią lasu, jaki wydzielala woda kolońska. Zaczęła we mnie wzbierać fala gorąca. Zaczynała się w udach, przechodziła w górę, i poprzez brzuch dosięgała piersi. Stałam tak pozwalając, by działał cuda, jakbym była zahipnotyzowana. Czułam, jak moje ciało poddaje mu się, ale byłam zupełnie bezsilna, by nad nim zapanować.

Jakby domyślając się, jaką burzę wywołał we mnie, odwrócił mnie delikatnie i powoli, aż spotkaliśmy się twarzą w twarz i mogłam spojrzeć mu w oczy.

Czyste złoto.

Przylgnęłam do niego instynktownie. Czułam, jak mięśnie pod jego bawełnianą koszulą naprężają się, gdy tylko musnęły je moje piersi. Ciepło naszych ciał spotkało się i zlało razem. Twardość jego bioder stała się moją własnością, a ciężar mojego ciała zaczął należeć do niego. Przenikała mnie tylko jedna myśl - marzenie, by dotknąć jego nagiej skóry.

Przesunął rękę, ujął mnie za szyję od tyłu i nachylił nade mną twarz.

Policzkiem dotknęłam jego kłujących wąsów. Moje wargi drżały, oddech stawał się krótszy, gdy oczekiwałam na to, co musiało nadejść.

Usta miał miękkie, niepewne. Nie napotykając na opór z mojej strony, objął mnie drugim ramieniem i przyciągnął mocno do siebie. Zapomniałam, kim jestem i kim jest on. Ręce opadły mi, objęłam go w pasie i przyciągnęłam bliżej. Wpił się zachłannie w moje rozchylone usta, jakby się bał, że zmienię zdanie.

- Halo, Jason! Jesteś tu?

Odkoczyłam speszona. Jason nie próbował mnie zatrzymać ani też nie okazał gniewu, że mu przeszkadzono. Spojrzał tylko na mnie z żalem i przez chwilę potrzymał rękę na moim ramieniu.

- Tak - zawołał do Brenta. Oczy mu ciągle jaśniały. Ciągłe ten kolor stopionego złota.

Brent zupełnie nie zdawał sobie sprawy, w jakim momencie przyszedł.

- Mama dzwoniła. Prosi, żeby ją podwieźć do domu - powiedział.

Z płonącymi policzkami oddaliłam się prędko, przyciskając do siebie kurczowo notatki, jakby od nich zależało moje życie. Palily mnie usta, serce było jak opętane. Co ja sobie wyobrażałam?

- Czy nie mógłbyś jej zabrać? Muszę coś jeszcze załatwić. - Głos Jasona dobiegł zza moich pleców.

- Oczywiście. Kupię jeszcze tylko mleko. - Jak zwykle, Brent szedł bratu we wszystkim na rękę.

Narzuciłam sweter wiedząc, że nie mogę zostać z Jasonem nawet na chwilę. Nie ufałam mu. Nie ufałam też sobie. Myśl, że mógłby zacząć od nowa, w tym miejscu, gdzie skończył, wprawiła mnie w panikę. Nie byłam na to gotowa. W każdym razie nie teraz, skoro nie wiedział, kim jestem.

Odwróciłam się.

- Zabiorę się z tobą, Brent, jeśli wracasz do biura. Zostawiłam tam samochód. Skończyliśmy już, prawda? - spytałam Jasona.

Jason milczał przez chwilę. A gdy już się odezwał, w jego głosie brzmiała kpina. Wiedział doskonale, do jakiego stanu mnie doprowadził i dlaczego uciekam.

- Chyba tak. Jeśli tak sądzisz.

Obrzuciłam go przeszywającym spojrzeniem, ale Jason spokojnie wkładał kurtkę.

Tego wieczora, w zaciszu swojego domku, myślałam o Jasonie Forresterze. Jego męskość zakłócała za bardzo mój spokój, arogancję zaś uważałam zawsze za odpychającą. A jednak wystarczyło tylko jego dotknięcie, żebym zupełnie straciła głowę. Miał w sobie coś, co podniecało mnie do tego stopnia, że gdyby Brent nie przyszedł, straciłabym zupełnie panowanie nad sobą. Pozwoliłabym Jasonowi...

Postanowiłam o tym nie myśleć. Czy pociągałby mnie tak samo, gdyby rzeczywiście to on zabił mojego brata?

Rozważałam wszystko na trzeźwo. Nie umiałam sobie wyobrazić Jasona zabijającego człowieka z zimną krwią. W każdym razie nie tego Jasona, którego poznałam. Nie tego, który przekomarzał się z matką, umiał postępować z bratem i sprawnie kierował robotnikami.

Może, gdyby spotkał Alana razem z Tiffany, potrafiłby go zabić w afekcie. Ale byłam przekonana, że na liście Alana oznaczone było spotkanie z mordercą, i równie przekonana, że Jason Forrester nie potrafiłby zaplanować i dokonać morderstwa z zimną krwią.

Tłumaczyłam sobie to wszystko siedząc na oszklonej werandzie, popijając gorącą herbatę i patrząc na przejaśniające się niebo. A gdy blade słońce pokazało się za drzewami po drugiej stronie wąwozu, niemal już sama siebie przekonałam.

Pierwszy raz nie czułam przy sobie owej natrętnej, tajemniczej obecności. Zazwyczaj właśnie o tej porze odczuwałam promieniującą od niej w moim kierunku niechęć. Tego jednak wieczora nic nie zakłócało moich ambiwalentnych uczuć wywołanych przez Jasona.

Gdy ostatni pomarańczowy skrawek zniknął za horyzontem, w domu Brenta zapaliło się światło. Drzwi w szarej kuli otworzyły się na oścież i światło wylało się na zewnątrz.

Udało mi się zobaczyć jakąś niewyraźną postać wychodzącą na ganek. Zamigotał jednocześnie fluoryzujący, żółty kolor.

Poznaniu towarzyszyło zdumienie. Skąd Jason Forrester wziął się na ganku domu swego brata?

Czy to na pewno Jason? Trudno było to stwierdzić.

Sięgnęłam po lornetkę, która leżała obok fotela. Przyłożyłam ją do oczu akurat wtedy, gdy na ganek wybiegła druga osoba. Mniejsza, ubrana na różowo. Zobaczyłam, jak chwyta go za ramię.

Zwarli się jakby w uścisku na parę sekund, a potem nagły, zamaszysty ruch ręki w żółtym rękawie sprawił, że kobieta zatoczyła się do tyłu.

Patrzyłam, nie wierząc własnym oczom, jak Jason wyciąga niespodziewanie rękę do tyłu nad głową i rzuca coś silnym, atletycznym ruchem gracza baseballowego, kołysząc przy tym barkami i unosząc kolano. Simone - bo byłam przekonana, że to ona, zanim jeszcze potwierdziła to lornetka - rzuciła się w jego kierunku po raz drugi, ale za późno.

Coś zawirowało w powietrzu, zbyt jednak szybko, by dogonić to wzrokiem. Obniżyłam lornetkę w samą porę, by dostrzec, jak zapóźniony promień słońca oświetla i odbija się przez sekundę od tego przedmiotu, i jak ten przedmiot spada.

Simone biła Jasona pięściami. Rejestrowałam tylko ruchy, dopóki nie przyłożyłam raz jeszcze lornetki do oczu. Chwycił ją za

ramiona i potrząsał. Simone upadła na kolana. Szarpnął ją do góry, jakby była szmacianą lalką i częściowo pchając, częściowo niosąc, wciągnął do domu.

Siedziałam oszołomiona, nie wierząc własnym oczom.

Czego Simone nie pozwalała wyrzucić Jasonowi do wąwozu?

Robiło to wszystko wrażenie, jakby się obejmowali, dopóki nie odepchnął jej. Przypominały mi się różne ludowe przekadła o miłości i nienawiści, idących razem w parze.

W tej samej chwili reflektory oświetliły podjazd do domu Simone. To wrócił Brent. Czy Simone powie mu, co zrobił jego brat? Jak Jason odepchnął ją i zmusił do wejścia do domu?

Gdy patrzyłam w dół na wąwóz, znowu poczułam ucisk w żołądku. Poniżej widać było tylko ciemne zarysy krzaków, drzew i skał, czasem odblask wody. Nie mógł zostać nawet ślad po tym, co Jason wyrzucił.

Przejął mnie ziąb. Ale nie był to chłód, który przenikał mnie, gdy to tajemnicze coś lub ten tajemniczy ktoś patrzył mi przez ramię.

Ziąb, który mnie ogarniał, rodził się z mojego własnego strachu. Strachu, że mogę się mylić co do Jasona Forrestera.

A ja nie chciałam... bardzo nie chciałam się mylić!

Alan ukazał mi się tej nocy z mocą i siłą dotąd niespotykaną. W chaosie i zamęcie, w jakich się znajdowałam, zapal jego stawał się dla mnie olśniewającym światłem.

- Musisz zejść na dół, Anno. Musisz to znaleźć.

Nie mogłam zrozumieć, o co mu chodzi. Mam zejść na dół wąwozu? Czy to miał na myśli?



We śnie, wbrew własnej woli, spojrzałam na dno wąwozu, które Alan mi ciągle pokazywał. Zobaczyłam ponownie scenę, która rozegrała się po południu, nieokreślony przedmiot wyrzucony z ponurego zamku.

Alan zaklaskał w ręce z radości.

- O, właśnie. Zobacz, Anno. Musisz mi to znaleźć.

- Ale jak mam to zrobić? - zapytałam w rozdrażnieniu. - Nie wiem, co to jest, i nawet nie wiem, gdzie spadło. A jak mam zejść na dół? Na pewno się już tego nigdy nie znajdzie.

- Anno, proszę cię! Nie bądź taka niedobra. Zapomnij, że jesteś moją rozważną siostrą. Spróbuj to znaleźć.

Jego twarz okrywała się powoli mgłą.

- Spróbuj, Anno - nalegał.

Zaczęły nas rozdzielać białe pasma. Zniknął mi wreszcie z oczu i słyszałam tylko pełne smutku echo jego głosu:

- Proszę cię, Anno, spróbuj.

Wstałam po tej nocy z ciężką głową i niewyspana.

Bałam się pójścia do biura i spotkania z Jasonem. Miałam ochotę zadać mu masę pytań. Chciałam wejść i spytać od razu:

- Co wrzuciłeś do wąwozu i dlaczego Simone cię biła? Ale nie zrobiłam tego.

Zamiast tego powiedziałam:

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odpowiedział. Zatrzymał się na chwilę przy moim biurku i ściszył głos, tak by Lois nie mogła słyszeć. - Jak twoje plecy?

- Świetnie, dziękuję. - Pamiętam dotąd szarpiącą mnie wtedy tęsknotę, którą zdusił dopiero mój trzeźwy rozum.

- Daj mi znać, kiedy tylko będzie ci potrzebny masaż. Jego pewność siebie zirytowała mnie.

- Wierz mi, świetnie sobie daję radę - odpowiedziałam. - Inwentaryzacja została zakończona. - Zignorowałam to, co chciał mi przekazać. - Nie ma powodu, żebym prosiła cię o pomoc. W każdym razie dziękuję.

Mrugnął do mnie, by pokazać, że się nie obraził, i poszedł po ciasteczka przed powrotem do swego pokoju. Nie wspomniał nic o wizycie w domu Brenta, a ja też milczałam.

Gdy w parę dni potem spotkałam Simone, ona też nic o tym nie mówiła. Wspomniała za to o swym lęku przed Jasonem, ale kiedy próbowałam coś z niej wydostać, spojrzała na mnie znacząco, opuściła swe długie rzęsy i zmieniła temat.

Wszystko to było denerwujące, zwłaszcza iż czułam, że zupełnie się nie posuwam naprzód, że właściwie drepczę w miejscu.

Moje życie towarzyskie rozwijało się, mimo że stale odmawiałam Jasonowi wspólnych wycieczek i wypraw do kina. Zaczęliśmy z Mattem grać w pokera z trzema zaprzyjaźnionymi parami, nauczycielami ze szkoły. Co piątek spotykaliśmy się u Matta, jedliśmy pizzę, piliśmy piwo i słuchaliśmy muzyki. A potem zaczynaliśmy grać w karty.

Miło spędzaliśmy czas, choć był to dla mnie czas stracony, nie dowiedziałam się bowiem niczego nowego o śmierci Alana. Miałam nadzieję, że więcej szczęścia przyniesie mi rozwijająca się znajomość z Simone.

W Rahuncie istniały dwie grupki towarzyskie. W jednej byli różni specjaliści i ludzie wolnych zawodów, w drugiej przede wszystkim miejscowi. Simone nie pasowała do żadnej z tych grup, Igneła więc do mnie. Parę razy spotkałyśmy się na lunchu w mieście, często ją odwiedzałam. Zauważyłam, że gdy towarzyszył mi Matt, Jenny nie spuszczała z nas oka.

Pewnej soboty pojechaliśmy z Simone do Helen, uroczej miejscowości wypoczynkowej naśladującej wioskę alpejską. Simone ochoczo korzystała z różnych wyprzedaży. Zatrzymałyśmy się w końcu w sklepie z butami.

- Zobacz, co za przepiękne sandaalki. - Simone uniosła je do góry. - W Atlancie albo Chattanoodze kosztowałyby dwa razy tyle. Szkoda, że wydałam już wszystkie pieniądze.

- Pożyczę ci. Oddasz mi później. - Mierzyłam właśnie buty do biegania, które były znacznie wygodniejsze od moich butów turystycznych.

- Możesz mi pożyczyć? - Twarz jej rozjaśniła się, ale tylko na chwilę. - Nie będę miała z czego ci oddać. I Brent nie będzie z tego zadowolony. Zmierz je. Będą znakomite na przyjęcia w lecie.

- Dziękuję, nie chcę. Co Brentowi szkodzi, że pożyczylabym ci pieniądze? - Zdecydowałam się na buty i siadłam, by je zdjąć.

Wydęła dolną wargę.

- To wszystko przez Jasona. Przekonał Brenta, że ja tylko wydaję pieniądze.

- A co go to obchodzi? - Przypomniały mi się szyderstwa Jasona z zakupów Simone.

Nie odpowiedziała.

- Proszę cię, Anno, zmierz je. Któraś z nas powinna je kupić. -

Popchnęła sandaalki w moją stronę.

- Mam już wieczorowe pantofle. A zresztą nie mogę nosić sandaalków. - Zdjęłam skarpetkę i wyciągnęłam palce.

Simone zbladła, otworzyła szeroko usta i oczy. Nigdy nie mogłam przywyknąć do takich reakcji.

- To nie jest żadna choroba. W mojej rodzinie zdarzają się palce połączone błoną. Tak jak błękitne oczy i jasne włosy w twojej.

Spojrzała na moją stopę pustym wzrokiem.

- Czy obydwie stopy masz takie same?

- Niestety tak.

- Czy ci to nie przeszkadza? - Nie mogła oderwać wzroku od moich nóg.

- Tylko wtedy, kiedy widzę takie sandaalki. Kup je, jeśli chcesz. Porozmawiam z Brentem.

- Kiedy ja się nie boję Brenta - powiedziała z goryczą. Spojrzała z żalem na sandaalki i odstawiła je na półkę.

Pamiętając, jak Jason zareagował na jej pierścionek z ametystem, próbowałam bezskutecznie wyciągnąć z niej trochę informacji. W drodze do domu milczała. Pierwszy raz była taka małomówna.

W jej gwałtownej niechęci do Jasona kryło się coś więcej, niż tylko starcie się różnych osobowości. Rozpaczała później często, że Jason zachowuje się jak tyran i że Brent z Letycją pozwalają mu na wszystko. Kilka razy była już bliska zwierzeń, ale nagle milkła.

Mnie zaś trudno było utrzymać Jasona w bezpiecznej odległości. Flirtował ze mną, gdy tylko był w biurze, i to do tego stopnia, że zwróciło to uwagę Lois. Sądziła, że muszę chyba być wariatką, że go nie zachęcam.

Widząc, jak kobiety za nim gonią, doszłam do wniosku, że jego zainteresowanie moją osobą bierze się z mojej rezerwy. Ta zaś powstała ze strachu, by nie zostać z nim sam na sam.

Tak czy inaczej, nic nie mogłam zarzucić jego zachowaniu wobec mnie. A nie był mi obojętny, mimo że tego chciałam. Ciężko mi było odrzucać jego zaproszenia.

Tak się miały rzeczy przed czwartkowym świętem Dziękczynienia, gdy Simone mówiąc, że ma do mnie prośbę, zaprosiła mnie na sobotni lunch.

- Weź z sobą kostium kąpielowy. Brenta nie będzie, będziemy mogli popływać.

W oznaczonym czasie zjawiłam się przy tym ponurym domu. Nadal wzbudzał we mnie gwałtowne uczucia strachu i przerażenia. Ale nie należało o tym myśleć. To miejsce jest okropne jedynie w moich snach, powiedziałam sobie stanowczo. Do licha, mieszka tu przecież Brent z Simone.

Jenny, trzymając małego okrakiem na biodrze, zaprowadziła mnie do środka, a potem wróciła do swych obowiązków. Podejrzenia Simone wobec jej gosposi mogły być wytworem bujnej wyobraźni, ale Jenny rzeczywiście nie spuszczała nas z oka, gdy tylko odwiedzałam Simone.

Wdzięczna postać w kostiumie kąpielowym siedząca na skałce pomachała do mnie ręką. Ciemnopurpurowy kolor kostiumu podkreślał kremową cerę Simone, a krój bikini zwracał uwagę na jej cudowną sylwetkę.

Dała nurka do wody. Poruszała się z wdziękiem, który przywodził na myśl łabędzie. Zdjęłam obszerną koszulę, zsunęłam płócienne pantofle i skoczyłam. Płynąc wykonywałam energiczne ruchy, aby spotkać się z nią pośrodku basenu.

Simone była tak podniecona, że nie mogła sobie znaleźć miejsca.

- Jenny nas tu nie usłyszy. - Spojrzała w stronę holu, jakby gospoia była w stanie podsłuchiwać, mimo że oddzielały ją od nas rośliny i wielki pokój. - Nawet z salonu.

Mimo że hol był od nas dobre trzydzieści metrów, czułam, że udzielił mi się lęk Simone.

- Dlaczego się boisz, że Jenny podsłuchuje? - Woda cudownie na mnie działała. Uspokajała, niosła ciepło i pieszczotę. Nie czułam już napięcia.

- Ona opowiada Jasonowi o wszystkim co robię i co mówię. - Simone położyła się w wodzie na plecach. - Jest jego szpiegiem. Nienawidzę jej.

Słowa Simone pobudziły moją wyobraźnię. Czy możliwe, by Jenny patrzyła wieczorami w kierunku mojej werandy? Czy to za jej sprawą odczuwałam niepokój? Dlaczego by jednak miała żywić względem mnie złe zamiary? Czy może to mieć coś wspólnego z Jasonem?

Z pewnością nie. Jenny była zwykłą, bezbarwną dziewczyną, zbyt prostą i bezbarwną, by zwrócić na siebie uwagę kogoś takiego jak Jason.

Mnie też można uważać za prostą i bezbarwną...

- Dlaczego jej nie zwolnisz? - spytałam.

Obrzuciła mnie wzrokiem pełnym politowania i zniknęła pod wodą. Kiedy za chwilę się wynurzyła, po jej twarzy ściekały strumienie wody.

- Ja nie mam nad nią żadnej władzy. Ja nie mam żadnej władzy w tym domu. Nic i nigdzie ode mnie nie zależy.

- Jesteś przecież żoną Brenta.

- Brent jest... Brent jest... mięczakiem! Nigdy się nie sprzeciwia Jasonowi, nigdy! - Simone była rozgniewana, nie po raz pierwszy zresztą. - Czy pamiętasz, jak prosiłam Letycję, żeby mi pomogła? Kiedy chciałam jechać do Nowego Orleanu? - Simone zapamiętała się w uniesieniu.

- Tak.

- A wiesz, co Jason potem zrobił?

Pamiętałam scenę, której byłam świadkiem, kiedy mocowała się z nim.

- Nie - odpowiedziałam.

- Zabrał mi pierścionek. Zabrał mi mój nowy pierścionek. - Simone zalała się łzami. - Był taki śliczny. Tak bardzo mi się podobał. I już go nie mam.

Czyżby Jason wyrzucił pierścionek? Widziałam, jak coś błysnęło...



- Przepraszam cię, Simone, ale jak on mógł ci zabrać pierścionelek? Brent z pewnością by mu na to nie pozwolił.

Na jej twarzy odbiło się rozgoryczenie.

- Brent zawsze słucha Jasona. Zaczynam nim pogardzać, tak jak Jasonem. Dlatego ci o tym wszystkim opowiadam. - Jej błękitne oczy patrzyły na mnie z wyrazem udreki. - Wiem, że Jason cię oczarował.

Czułam, że się rumienię.

- Widzę, jak on się wobec ciebie zachowuje. Widzę, co robi - oświadczyła podnosząc głos. - Bawi się tobą. Rozbudza w tobie uczucia, sprawia, że go pragniesz. Postępuje tak zawsze z każdą ładną kobietą. Dopóki mu nie ulegnie. A potem ją unieszczęśliwia.

- Wcale mi na nim nie zależy - zaprotestowałam. Nie zwracała uwagi na moje słowa.

- Nie chcę po prostu, żeby cię zranił. To niegodziwy, naprawdę niegodziwy człowiek.

Położyłam się na plecach i unosiłam bezwładnie na wodzie.

- Widzę, że mi nie wierzysz, ale to prawda. - Spoglądając ukradkiem w kierunku salonu upewniła się, że jesteśmy same. Podpłynęła teraz do mnie i stając powiedziała mi prosto w twarz:

- To morderca.

Serce zamarło mi w piersiach.

- Co masz na myśli?

- W zeszłym roku zabił człowieka. Nauczyciela z tutejszej szkoły, który miał romans z jego narzeczoną. - Patrzyła na mnie, badając moją reakcję. - Nazywał się Alan McKenzie.

Zachowałam obojętny wyraz twarzy.

Mówiła dalej bardzo szybko, jakby postanowiła wyrzucić z siebie wszystko, zanim jej nie przerwę.

- Alan był bardzo miły. Byliśmy w przyjaźni, dopóki nie spotkał Tiffany. - Wzdrygnęła się. - Dopóki Jason go nie zabił i nie zepchnął do wąwozu.

W jakiś sposób słowa, które Simone wyrzucała z siebie, przeraziły mnie znacznie bardziej niż sobie wyobrażałam.

- Słyszałam o tym - powiedziałam dobierając starannie każde słowo - ale nie ma przecież na to żadnych dowodów?

Simone spojrzała przez ramię na drzwi.

- Jason ma rewolwer - wyszeptała.

- Co? - Myślałam, że źle zrozumiałam.

- Rewolwer, którym został zabity Alan McKenzie. Słyszałam, jak rozmawiali o tym z Brentem. Ale proszę cię, błagam, nie wydaj mnie. - Najwyraźniej się bała. - Gdyby Jason dowiedział się, co chcę zrobić, zabiłby mnie.

- Nie rozumiem. - Czułam coraz bardziej, że nie mam cierpliwości do tych jej opowieści, na poły prawdziwych, na poły fantastycznych. Kiedyś porównywałam ją do wróżki, ale nie można przecież stale mieszkać w świecie bajki. Uzmysłowiłam sobie, że moje pojmowanie rzeczywistości nie zawsze jest zbieżne z jej wyobrażeniami. Łatwo mi było uwierzyć, że Alan okazywał jej przyjaźń, miał bowiem zawsze miękkie serce dla zagubionych ludzi z problemami. A Simone miała przecież problemy. Przynajmniej tak jej się wydawało.

- Anno, potrzebuję twojej pomocy. - Simone powiedziała to z dziecięcą ekscytacją. - Jason schował rewolwer u siebie w domu. Mogłabym go poszukać, ale nigdy nie zostawiają mnie samej. Jenny nigdy nie wychodzi, a kiedy udaje mi się wymknąć, Jason albo Letycja są w domu. Spojrzała na mnie pytająco.

- Czego po mnie oczekujesz? - Wobec oskarżeń, jakie rzuciła Simone, mój zwykle logiczny umysł przestał funkcjonować. Nie mogłam myśleć. Nie byłam w stanie wyciągać wniosków.

- Oni są zupełnie spokojni, kiedy jestem z tobą. Po Dniu Dziękczynienia, kiedy Letycja wyjedzie do Palm Beach, możemy powiedzieć, że wybieramy się do Helen, tak jak wtedy. A zamiast tego poszukamy rewolweru.

Zebrałam się w sobie.

- Simone, to szaleństwo - powiedziałam. - Nie mam zamiaru przeszukiwać domu Letycji.

- Wcale nie musimy tego robić. Słyszałam, jak Jason mówił Brentowi, że rewolwer jest za półkami w gabinecie, ukryty w kominie, który został przysłonięty w czasie przebudowy. W dzieciństwie Jason i Brent zostawiali tam sobie wiadomości.

Nie wierzyłam jej. Był to pierwszy krok, aby odzyskać panowanie nad sobą. Gdybym jej uwierzyła, oznaczałoby to, że Jason jest mordercą.

- Podślułaś, jak o tym rozmawiali? - Umysł mój zaczął znowu pracować. - To znaczy Brent wie, że Jason zabił Alana... tego nauczyciela?

- Nie od razu wiedział - powiedziała szybko Simone. - Jason tłumaczył mu, że to był wypadek. - Odwróciła się w stronę drabinki. - Brent jest łatwowierny, wierzy we wszystko, co mu Jason powie. Dowiedział się o tym później. To Jason jest wszystkiemu winien. Brent nie ma z tym nic wspólnego.

- Wcale nie miałam tego na myśli.

To, co mówiła Simone, miało więcej sensu, niż chciałam przyznać. Brent był utalentowanym, zdolnym architektem, ale nie miał w sobie żadnych predyspozycji, by kogokolwiek zabić. Był na to zbyt łagodny i tolerancyjny, a także za mało zdecydowany. Nie miałby tyle zimnej krwi, żeby zaplanować morderstwo, a potem go dokonać. Wnosił, coś bez wątpienia w swoje związki z bratem, ale to Jason myślał za nich obu. Jason, który szybko reagował i szybko myślał.

- Pomożesz mi, prawda? - spytała Simone, stojąc na drabince i patrząc na mnie przez ramię.

- Nie - odpowiedziałam stanowczo. - To szalony pomysł. Jeżeli Jason jest mordercą, nie będzie miał żadnych skrupułów, żeby nam coś zrobić. Idź najlepiej na policję.

- Czy ty nic nie rozumiesz? - krzyknęła Simone. - Oni nie wystąpią przeciw Jasonowi Forresterowi. Musisz mi pomóc - mówiła gorączkowo. - Nie mam nikogo poza tobą.

Gdy wyszłam z basenu, zaczęła płakać.

Uspokoila się dopiero wtedy, gdy obiecałam jej przemyśleć sprawę. Nie miałam zamiaru jej ustąpić, ale moja obietnica na razie jej wystarczyła.

Zaczęła wyłuszczać swoje plany.

- Letycja wyjeżdża do Palm Beach po Dziękczynieniu.

- Simone jednym okiem zerknęła w kierunku drzwi do holu.

- Maggie ma wolne weekendy. Musimy tylko poczekać, aż Jason wyjedzie.

- A co będzie, jeśli wróci, kiedy będziesz szukała? - spytałam nieco poirytowana. - Co wtedy?

Nie pozwoliła się zniechęcić.

- Nie możemy wzbudzać jego podejrzeń. - Zadrzała, oczy się jej rozszerzyły. - Nie wiem, co byśmy zrobiły, gdyby się domyślił, że tam jesteśmy i szukamy tego rewolweru. On po prostu nie może się o tym dowiedzieć.

Z tym jednym mogłam się zgodzić bez żadnych zastrzeżeń. Bardzo bym nie chciała, żeby Jason dowiedział się, że mam jakikolwiek związek z szalonymi planami Simone.

W których nie mogłam oczywiście wziąć udziału.

Wzięłam od Simone ręcznik i usiadłam na krześle, aby nasycić się promieniami słońca, które wpadały przez sklepienie. Na dworze panował chłód, ale tutaj było ciepło i przytulnie.

Wahałam się chwilę, zanim zadałam jej pytanie.

- Simone, czy byłaś kiedyś z Jasonem w dobrych stosunkach?

- Nigdy.

Nawet z mokrymi włosami Simone wyglądała jak modelka.

- Dlaczego? Czy coś się stało?

Ściągała właśnie włosy do tyłu, gdy usłyszała moje pytanie.

- Tak. Powiem ci, dlaczego on zmienia moje życie w piekło, ale musisz mi obiecać, że nigdy tego nie powtórzysz. - Włożyła ciemne okulary.

- Wiesz przecież, że nie powiem.

- A zwłaszcza nie mów Brentowi. Serce by mu pękło, gdyby się dowiedział, że jego rodzony brat... - Głos jej się załamał. Wyciągnęła się na szeslongu z nieszczęśliwym wyrazem twarzy. - Jason zalecał się do mnie od pierwszego tygodnia, kiedy przyjechałam tu jako żona Brenta. Ale nigdy mu nie ulegnę. Wolę śmierć. - Podniosła rękę do ust, jakby dostała mdłości.

- Chcesz powiedzieć, że próbował cię uwieść?

Simone roześmiała się z goryczą.

- Prawie mnie zgwałcił. A ponieważ się broniłam, opowiada teraz o mnie Brentowi straszne rzeczy - że wydaję za dużo pieniędzy, że nie umiem zajmować się dzieckiem. Namówił Brenta, żeby zatrudnił Jenny do szpiegowania mnie. Jak ja go nienawidzę!

Brzmiało to bardzo przekonująco. Simone, mimo niezbyt lotnego umysłu, mogła zawrócić głowę każdemu mężczyźnie.

- Dlaczego Jenny miałyby cię szpiegować? Simone gorączkowo wyliczała swoje żale.

- Czepia się mnie, gdy tylko zrobię coś nie tak. A to mi się przecież zdarza. Naprawdę nie uważam, żebym była doskonała! Ale on idzie do Brenta, kiedy tylko zrobię cokolwiek, choćby odrobinę, nie tak jak trzeba i mówi: Widzisz, a nie mówiłem ci. Powinieneś z nią zerwać! O, ja dobrze wiem, co on mówi Brentowi za moimi plecami. - Zamilkła, by zaczerpnąć oddechu i dopiero wtedy moje

pytanie dotarło do niej. - Pytałaś, dlaczego kazał Jenny mnie szpiegować?

- Simone! - Spojrzałam niespokojnie w stronę salonu. Simone unosiła się coraz bardziej.

- Po to, żeby wiedzieć absolutnie wszystko, co robię. Żeby móc opowiadać o tym Brentowi i niszczyć nasze małżeństwo. A wszystko dlatego, że nie chcę z nim spać. Anno, żebyś ty wiedziała, jaka ja jestem nieszczęśliwa!

Przerażona, próbowałam ją pocieszyć.

Najgorsze, że cała jej opowieść mogła być zupełnie prawdziwa. Łatwo mi było wyobrazić sobie Jasona, który pragnie kobiety i robi co w jego mocy, by ją osiąść.

Nie potrafiłam sobie jedynie wyobrazić, że uwodzi żonę swego brata. Wydawało mi się, że czuł do niej niechęć.

Simone była dziecinna i miała bujną fantazję. Mogła się mylić. Zastanawiałam się tylko, czy mój stosunek do Jasona nie zniekształcał mojego spojrzenia na te sprawy. Obecność Jenny była jednak faktem, mimo iż starała się ona zachowywać dyskretnie.

Jason wyrządził Simone wielką przykrość, uniemożliwiając jej wyjazd z Brentem do Nowego Orleanu, gdy nawet ja widziałam, jak bardzo spragniona była zakupów, neonów i rozrywek miasta. Nasza wyprawa do Helen świadczyła o tym.

A ten wyraz twarzy Jasona na wspomnienie Simone! Wydawało mi się, że to pogarda. Załóżmy jednak, że było to coś innego. Jak wygląda mężczyzna, który zostaje przez kobietę odtrącony i nadal jej pożąda?

Nie ulega wątpliwości, że Simone, ze swą wspaniałą figurą i subtelnymi rysami twarzy, mogłaby oddziaływać na wyobraźnię niejednego mężczyzny.

Siedziałam pogrążona w myślach czekając, aż wyschnę, a Simone wciągała przez głowę obszerną tunikę.

- Nie mam wyboru - powiedziała. - Jeżeli nie znajdę tego rewolweru, żeby udowodnić Jasonowi winę, zniszczy moje małżeństwo, a może nawet i mnie.

Nie zdradzając żadnych wątpliwości, włożyłam płócienne pantofle i podeszłam do metalowego krzesła, aby ułożyć na nim ręcznik. Na siedzeniu zauważyłam lornetkę. Patrząc na rozsuwane drzwi, odkryłam wspaniały widok na moją werandę bezpośrednio nad przepaścią. Kto siadywał tu wieczorami wtedy, gdy obserwowałam zachód słońca? Jenny?

Opadłam, tuż obok stóp Simone, na jedną z poduszek rozłożonych na podłodze. Próbowałam wyciągnąć z niej jeszcze trochę informacji.

- Czy wiesz, co wydarzyło się tego wieczoru, gdy Al... tego wieczoru, gdy zostało popełnione morderstwo?

- Tak. Jason odkrył, że Alan i Tiffany byli w sobie zakochani. Spotkał go na ścieżce i zastrzelił w furii. - Powiedziała to jednym tchem.

- Skąd wiesz?

- Słyszałam, jak Jason mówił to Brentowi. - Spojrzała na mnie spod swych długich rzęs, chcąc się przekonać, czy jej wierzę.

Nie byłam zupełnie przekonana.



- To wtedy właśnie dowiedziałaś się o rewolwerze?

- Nieee - powiedziała z ociąganiem. - O rewolwerze dowiedziałam się niedawno. Gdybym... gdybym wiedziała o tym wcześniej, coś bym już wymyśliła do tej pory. Anno, czy na pewno pomożesz mi go znaleźć?

Im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiałam, tym trudniej mi było wyobrazić sobie Jasona jako mordercę, bez względu na to, co Simone sobie myślała i co podsłuchiwała.

Niewykluczone, że byłam głupia. Niejedna kobieta została oszukana przez mężczyznę. Simone uważała, że Jason zwodzi je stale. Mogłam się mylić w swoich sądach o ludziach. Może powinnam pomóc Simone w jej szaleńczym planie? Jeżeli ma rację i Jason naprawdę ma ten rewolwer, przynajmniej dowiedziałabym się prawdy. Jeśli nie...

Odrzuciłam tę myśl, zanim ją do końca sformułowałam.

Nie miałam zamiaru łamać prawa, szukać jakiegoś rewolweru w bliżej nieznannej kryjówce w domu Letycji. Był to nedorzeczny pomysł.

- Dzień dobry paniom.

Zamarłam w pozycji, w jakiej siedziałam - ze skrzyżowanymi nogami na poduszce. Palce, którymi przeczesywałam włosy, zastygły w powietrzu. Na nic się zdały moje wszystkie postanowienia. Na dźwięk tego głosu ogarnęła mnie fala szczęścia.

## 10

Brazowe oczy osadzone nad orlim nosem i czarnymi wąsami spoglądały na mnie ciepło z drugiego końca dużego pokoju. Zbyt ciepło, bym mogła zachować spokój. Drzemiąca we mnie tęsknota budziła się mimo usilnych starań, by ją okiełznać.

Moje palce, nie wiadomo dlaczego, znieruchomiały we włosach, gdy próbowałam opuścić rękę. Udało mi się je uwolnić dopiero po chwili. Jason wpatrywał się we mnie przez cały ten czas.

Mój kostium kąpielowy był skromny, choć wycięcia po bokach odsłaniały biodra bardziej niż bym chciała, zważywszy obecność tych diabelnie ciekawskich oczu. Góra była prosta, a ramiączka szerokie, wycięte z tego samego kawałka materiału co stanik. Nie było w moim wyglądzie niczego, co by mi kazało się wstydzić.

Jason patrzył jednak na mnie w taki sposób, jak gdybym nie miała nic na sobie.

Gdy otworzył bramkę, założoną dla bezpieczeństwa Christophera, i podszedł do nas, pospiesznie złapałam okrycie.

Za nim nadszedł Brent.

- Zaprosiłem Jasona na lunch - powiedział. Ucałował Simone i objął ją w pasie. - Mamy dziś przecież nie ma, byłby w domu sam.

Być może szukał usprawiedliwienia, byłam jednak zbyt pochłonięta czym innym, by zwrócić na to uwagę.

Ten, który był sprawcą mojego zmieszania, znalazł się przy mnie tak blisko, że czułam jego zapach. Leśny zapach płynu po goleniu zmieszany z naturalnym męskim zapachem sprawił, że zakręciło mi się w głowie.

Nie mogłam sobie poradzić z koszulą, próbowałam bez skutku włożyć rękę do rękawa. Miałam nadzieję, że nie robię się czerwona.

- Pozwól, że ci pomogę.

- Dam sobie radę. - Słyszac poniewczasie chłód w swoim głosie, dodałam ciepłej: - W każdym razie dziękuję.

Niepotrzebnie starałam się być miła. W typowy dla siebie sposób, nie licząc się ze mną zupełnie i nie pytając o zdanie, wziął koszulę i pomógł mi ją włożyć.

- Można się przeziębic. - Poufały głos i delikatny dotyk jego palców na moich plecach wywołały gorące fale, które przeniknęły mnie od stóp do głów.

- Dziękuję. - Odwróciłam się powoli i spojrzałam na niego przez ramię, nie chcąc, by widział, jak drżą mi palce przy zapinaniu koszuli.

Odniosło to podobny skutek jak moje protesty przeciwko pomocy w ubieraniu. Uśmiech na jego ustach mówił, że wie

doskonale, jak jego obecność na mnie działa, i że będzie z przyjemnością przez cały czas obserwował moje skrepowanie.

Był niepoprawny.

Ale nie oznaczało to przecież, że był mordercą. W czasie lunchu siedziałam cicho, cały czas świadoma każdego jego słowa i ruchu. Na tle wielkich palm, które stały na zewnątrz niszy pełniące rolę jadalni, Jason bardziej jeszcze niż zwykle przypominał pirata.

Simone była nienaturalnie cicha. Teraz wiedziałam już dlaczego. Jeśli, oczywiście, mówiła prawdę.

Jason był jak zwykle gadatliwy. Rozmawiał z Brentem o nowej budowie w Luizjanie, którą zamierzali rozpocząć. Tłumaczył mi wszystkie szczegóły.

- Mniej więcej w połowie stycznia pojedziemy z Brentem na rozpoczęcie budowy. A potem będziemy jeździć na zmianę, aż do końca prac.

- A jak sobie dacie radę z miejscowymi przepisami budowlanymi i podobnymi sprawami? - Tak naprawdę nie interesowało mnie to zbyt, starałam się tylko utrzymać rozmowę z dala od zapalnych tematów.

- Wynajmiemy miejscowych przedsiębiorców budowlanych. Do nas należy planowanie i nadzór nad głównymi projektami - tłumaczył Brent. Wyglądał tak, jakby miał ciężki dzień. Dłubał widelcem w talerzu, choć jego szklanka z whisky i wodą była prawie pusta.

- Dostarczamy też większą część kapitału - ciągnął Jason. - Pieniądze to najważniejsza rzecz. Żaden, najpiękniejszy nawet, najbardziej oryginalny czy trwały budynek nie powstanie, gdy

zabraknie pieniędzy. Skoro już o tym mowa - powinnaś, Anno, pojechać z nami w styczniu. Ty i ja moglibyśmy polecieć do Las Vegas, zanim się jeszcze zacznie praca. Poszlibyśmy do teatru, wpadlibyśmy do paru kasyn. Widzę już, jak stoisz przy automacie do grania. - Wykonał kilka szybkich ruchów ręką, jak gdyby już sam tam był.

- Żaden ze mnie gracz - powiedziałam stanowczo. Popełniłam błąd, patrząc na niego przy tym poprzez szerokość stołu.

Kącik jego ust uniósł się nieco do góry, a w tym samym momencie ściągnęła mu się brew. Jakby wiedział coś, o czym ja nie wiedziałam.

- Pewnie to mądrze z twojej strony. Gdybyś grywała, byłoby cię łatwo obdrzeć ze skóry.

Zauważyłam rozplómienny wzrok Simone. Jason wyśmiał ją, gdy kiedyś prosiła, by ją ze sobą zabrali.

- Brent, powinienesz zabrać Simone - rzuciłam szybko. - Wyjazd sprawiłby jej tyle radości.

Brent otrząsnął się z zadumy.

- Chętnie bym ją wziął, tylko że pewnie utknę w jakimś motelu na końcu świata, a poruszać się będę ciężarówką. Simone może pojechać innym razem, kiedy będziemy tam, gdzie można robić zakupy i gdzieś wieczorem wyjść.

- Zabrałbyś mnie, gdyby nie Jason. - Simone przestała panować nad sobą. - Niedobrze mi się robi, kiedy myślę, że Jason decyduje o tym, co mi wolno robić, a czego nie.

- To niesprawiedliwe, co mówisz - powiedział Brent, zbity z tropu.

- Ależ przeciwnie - odparowała Simone. - A właściwie to jest rzeczywiście bardzo niesprawiedliwe... -Chciała coś jeszcze dodać, ale zrezygnowała. - Nie ma sensu o tym mówić.

Miotana jednocześnie współczuciem i zakłopotaniem, spojrzałam ukradkiem na Jasona. Z jego twarzy nic nie można było wyczytać. Nie umiałabym powiedzieć, czy wyraża ona pogardę, czy nie odwzajemnioną namiętność.

Simone przygryzła wargi i nie patrzyła już ani na Brenta, ani na Jasona. Miała spuszczone oczy, a jej rzęsy wydawały się jeszcze dłuższe i ciemniejsze niż zazwyczaj. Odeła swoje maleńkie usteczka w sposób tak rozkoszny, że każdy mężczyzna łatwo mógłby zapomnieć, że ta kobieta jest żoną jego brata. Bywają mężczyźni lubiący bawić się jak kot z myszką z kobietą, która ich nie chce. Polowanie zaostrza ich apetyt.

Gdyby Jason Forrester pożądał jakiejś kobiety, chodziłby za nią tak długo, aż osiągnąłby swój cel.

- Brent ma rację - usłyszałam głos Jasona. - To nie jest podróż dla ciebie. Źle byś się czuła.

- Jesteś obrzydliwy - odparła Simone wyniośle. - Letycja może ci wierzyć, że we wrześniu przez cały czas byłeś na licytacji, ale ja doskonale wiem, jak to było. Pojechała z tobą ta nędzna zdzira z miasta. Jesteś podły i godny pogardy. Cieszę się, że Anna o tym wie.

- Simone. - Brent starał się ją uspokoić. - Jason nie miał niczego złego na myśli. Anna nie wzięła tego na serio. Prawda, Anno?

- Nie - odpowiedziałam krótko. - Nie mam zwyczaju jeździć z mężczyznami do Las Vegas ani nigdzie indziej. Brent, wydaje mi się, że powinieneś jednak zabrać z sobą Simone. Sprawi jej to większą przyjemność, niż sobie wyobrażasz.

Twarz Simone rozjaśniła się wdzięcznością.

- Widzisz, Brent? Anna wie, jak tu jest smutno. Proszę, zabierz mnie. Po drodze moglibyśmy zajechać do Vegas, tak jak mówił Jason.

- Simone... - Brent zawahał się. Zdawało się, że za chwilę ustąpi. Rysy jego znużonej twarzy zaostrzyły się, gdy popatrzył na brata.

- Kiedy pojechałaś w zeszłym roku do Las Vegas, straciłaś dwadzieścia tysięcy dolarów. - Jason mówił łagodnym głosem, ale to, co mówił, brzmiało złowrogo.

Z trudem stłumiłam okrzyk. Dwadzieścia tysięcy dolarów!

- A była to tylko jedna wyprawa do kasyna. Od kiedy poślubiłaś Brenta, Bóg jeden raczy wiedzieć, ile przepuściłaś. On po prostu nie może sobie pozwolić na to, żeby zabierać cię z sobą gdziekolwiek, dopóki nie zrozumiesz, że pieniądze nie rosną na drzewie. Kiedy wreszcie wydoroslejesz?

- Pojedziemy do Richmond przed moim wyjazdem - wtrącił Brent, zanim Simone zdążyła odpowiedzieć, i spojrzał na nią błagalnie. - A wkrótce ty i Letycja pojedziecie do Atlanty. Niewykluczone, że będziesz mogła przyjechać później do Nowego Orleanu. Proszę cię, kochanie, staraj się mnie zrozumieć.

Widziałam, że Simone toczy z sobą walkę, ale spojrzeniem obrzucała raczej Jasona niż swego męża. Zagryzając wargi, kiwnęła głową.

- Dobrze. Będę już miła. Zrobię świąteczne zakupy w Atlancie.  
Brent odetchnął z ulgą.

- Moja kochana dziewczynka.

Jason nie zwracał uwagi na tłumioną nienawiść Simone do niego i zajął się znowu kanapkami. Jego górna warga delikatnie wygięła się do góry, jakby pogarda stoczyła zwycięski bój z poczuciem satysfakcji.

Zajął się jedzeniem, a Simone pogrążyła się w ponurym milczeniu.

Tylko Brent wydawał się nieświadom skrywanych przy stole animozji. Wciągnął Jasona po chwili w dyskusję na temat projektu nowego hotelu. Rozważali każdy szczegół wykończonego budynku, który istniał na razie tylko w ich wyobraźni, a na twarzy Brenta coraz mocniej kładło się zmęczenie.

Miałam nadzieję, że nie jest chory, choć ilość alkoholu, jaką wypił w czasie lunchu, wprawiła mnie w zdumienie. Jednakże Brent był wrażliwy, troskliwy i po prostu dobry.

Jason zwrócił w końcu uwagę, że Brent stale napełnia szklanekę.

- Widzę, że ci bardzo smakuje? - rzucił.

Brent śmiechem pokrył zmieszanie, ale więcej już nie pił. Gdy tylko skończyliśmy jeść, wstałam tłumacząc się, że mam do zrobienia zakupy.

- Zostań jeszcze - nalegał Brent. - Jenny przyniesie za chwilę Christophera. Pobawimy się z nim trochę, zanim pójdzie spać. - Niepokój zniknął z jego twarzy, gdy mówił o synu.



- Ten mały szatan biega teraz jak szalony. Musisz go zobaczyć. - Jason nie krył dumy z bratanka. Brent był otwarty, ale nie znałam równie spontanicznej osoby jak Jason. Gdyby nie ta jego niezręczność w kuchni Letycji, można by powiedzieć, że wnosił z sobą coś ożywczego.

- Ale... - zaczęłam, nie mając ochoty na spędzenie reszty popołudnia w jego towarzystwie.

- Anna jest zmęczona - wtrąciła szybko Simone. - Nie zmuszaj jej, żeby zostawała. Odprowadzę ją do samochodu.

Jason rzucił serwetkę na stół.

- Nie ma potrzeby, Simone. Ja odprowadzę Annę.

- Nikt nie musi mnie odprowadzać - powiedziałam pośpiesznie. - Mój samochód stoi przed samym domem.

- I tak już muszę iść - powiedział Jason wstając. Obojętny ton głosu maskował niezłomne postanowienie.

Nie chcąc być nieuprzejma, nie mogłam już dłużej protestować. Pożegnałam się więc ze wszystkimi, zachowując spokojny wyraz twarzy.

Simone zawołała mnie, gdy już wychodziłam.

- Twój kostium! Zaczekaj chwileczkę!

Wybiegła i wróciła po chwili z mokrym kostiumem w plastikowej torbie. Wręczając mi go wyszeptała:

- Nie zapomnisz? Pomożesz mi, prawda? Nie mogę już tak dłużej żyć.

Straciła resztki opanowania, a na jej twarzy pojawił się wyraz strachu. Wyglądała jak dziecko. Ślady spustoszenia, jakie powstają,

gdy ktoś jest świadkiem straszliwej tragedii, zastąpiły w jej rysach dziecięcą niewinność.

- Musisz mi pomóc.

To proste stwierdzenie wzbudziło moją litość. A jednak nie mogłam przecież spełnić jej prośby.

- Zobaczmy, Simone. - Uścisnęłam jej rękę. Uśmiechnęła się słabo.

- Sama sobie nie prowadzę. Jason czekał przy drzwiach.

- Trochę już późno. Lepiej odprowadzę cię do domu.

- Przecież jest druga po południu!

- To późno jak na tę okolicę - powiedział, a oczy mu się śmiały.

- Chcę mieć pewność, że dojedziesz do domu cała i zdrowa. Nie chciałbym, żeby ci się coś stało.

- Nie bój się. - Rzuciłam torbę z kostiumem na siedzenie i wsiadłam do samochodu. - Myślę, że to coś, czego powinnam się obawiać, stoi w tej chwili obok mnie.

- Ja? - Niepewny, czy należy się zdziwić, czy obrazić, spojrzał na mnie z wyrzutem. - Nie masz przecież mnie na myśli?

Sztywno się uśmiechnęłam i zatrzasnęłam mu przed nosem drzwi samochodu. Zapukał w szybę.

- Mama myśli, że przyjedziesz do nas na obiad w Dzień Dziękczynienia.

Opuściłam okienko.

- Co?

Powtórzył zaproszenie.

- Dlaczego tak myśli? - spytałam obojętnie.

- Pewnie dlatego, że powiedziałem jej, że będziesz jeść świąteczny obiad sama przed telewizorem. - Sprawiał wrażenie bardzo z siebie zadowolonego. - Ona naprawdę się ciebie spodziewa.

- Tak? - Nie byłam uszczęśliwiona. Nie miałam gdzie pójść, ale rozzłościł mnie uważając, że zgodzę się na wszystko, co zaproponuje.

- Przykro mi, mam inne plany.

Na jego twarzy odbiło się rozczarowanie.

- Proszę cię, Anno. Słyszałem, jak mówiłaś Lois, że będziesz w domu. A Letycja naprawdę cieszy się na twoje przyjście. Będzie miała z kim porozmawiać podczas meczu. Maggie kupuje już wielkiego indyka, i ma zrobić podwójną porcję sosu. Szykują z Letycją serwis z porcelany i chcą przyrządzić specjalną sałatkę. Już się tyle dla ciebie natrudziły. - Obrzucił mnie wystudiowanym, pełnym żalu spojrzeniem, dając mi do zrozumienia, że to wszystko moja wina.

- Przykro mi, ale... - Nie chciałam pokazać po sobie, że daję się przekonać.

- Ja też bym chciał, żebyś przyszła. - Mówił teraz niskim, gardłowym, pełnym serdeczności głosem. - Byłoby to wspaniałe święto. No powiedz, przyjdiesz?

- Ale... - Nie umiałam się oprzeć jego czarującemu uśmiechowi.  
- Dobrze.

- Cudownie.

- Muszę już jechać.

Oparł się o samochód, jakby chciał mnie zatrzymać, zapaliłam jednak szybko silnik i odjechałam z piskiem opon.

Obawiając się trochę, czy nie będzie za mną jechał, patrzyłam we wsteczne lusterko niemal tak często, jak na drogę przed sobą.

Nie zobaczyłam jednak nawet śladu jego ciężarówki. Pozostawił mnie w spokoju.

Co się ze mną stało? Nigdy jeszcze w życiu nie byłam tak niezdecydowana. Nigdy jeszcze nie było mi tak trudno postawić na swoim. Ten człowiek burzył mój spokój, odbierał mi zdolność myślenia. Gdy tylko się zbliżał, traciłam głowę.

Kładąc się tego wieczora spać, rozmyślałam nad tymi nieznanymi doznaniem, które za sprawą Jasona rodziły się w głębi mej duszy.

To tylko pożądanie, powiedziałam sobie. Fizyczna tęsknota, którą we mnie budził, powodowała ściskanie w dołku. Gorsza jednak od tego była zazdrość wywołana wiadomością o kobiecie, którą zabrał z sobą do Las Vegas. Nie mógł być w niej zakochany, a jednocześnie flirtować ze mną w taki sposób, w jaki to robił.

Chyba że był urodzonym kłamcą.

Co nie było wcale takie nieprawdopodobne.

Nie chciałam wierzyć, że był tak bezwzględny, jak przedstawiała go Simone, ale traktował ją przecież brutalnie. Jeżeli rzeczywiście próbował ją uwieść, był po prostu amoralny.

Doszłam jednak do wniosku, że Simone nie jest zupełnie wiarygodna. Umysł jej, choć należał przecież do kobiecego ciała, nie rozwinął się na tyle, by dotrzymać kroku okrągłościom jej sylwetki. Mogła była opacznie zrozumieć pobudki Jasona.

Przewracając pościel na łóżku, zawahałam się wpatrzona w biel, której nawet nie dostrzegałam.

Czy taka kobieta jak Simone mogłaby źle zrozumieć mężczyznę? Kimkolwiek by był?

Ha!

- Bajki dla grzecznych dzieci - zamruczałam pod nosem, układając się wygodnie w łóżku. Pościel była zimna, ale miałam przynajmniej flanelową piżamę. Z tęsknotą pomyślałam o ciepłym ciele mojego męża i przez chwilę zapragnęłam poczuć czyjąś bliskość obok siebie.

Nie skorzystałam z okazji i nie próbowałam sobie wyobrazić, kogo bym chciała mieć teraz przy sobie.

Nie, z pewnością nie wchodziła w grę możliwość, by mężczyzna taki jak Jason i kobieta taka jak Simone mogli się nawzajem źle zrozumieć.

Zgasiałam lampę, ale nie zasnęłam od razu. Wiał lekki wiatr i liście szeleściły, jakby opowiadały sobie o mnie. Ty głupia, głupia, głupia dziewczyno, szeptały. Brązowe oczy spokój ci zabrały, a ręce zuchwałe przyjemność dały.

Pamiętam, że zasypiając uśmiechałam się do tych niezdarnych rymowanek.

Tej nocy sny powróciły ze zdwojoną siłą.

Jakaś niewidzialna siła zaprowadziła mnie do wielkiego, białego pałacu, na poły ukrytego w szarych oparach mgły. Chciałam tam wejść, ale o własnych siłach. Powtarzałam uparcie: chcę iść sama,

dajcie mi iść samej. Zupełnie jednak nie panowałam nad własnym ciałem.

I znalazłam się w środku, wepchnięta w śmiertelną ciszę. Oczekiwałam z zapartym tchem, wiedząc co nadchodzi, ale nie będąc w stanie uciec. W moim kierunku sunęła niewyraźna, tajemnicza postać. Była coraz bliżej i bliżej, a ja stałam jak wryta. Żeby mnie tylko nie zobaczyła. Stanęła przede mną i wyciągnęła przed siebie długie, czarne, bezkształtne ramię. Krzyknęłam przeraźliwie i zakryłam rękami oczy.

I tak się obudziłam. Siedziałam na łóżku, ręce trzymałam przed sobą, a w powietrzu wisiał jeszcze mój ochrypły okrzyk: nie!

Dopiero po chwili zrozumiałam, że jestem sama, a krzyk, który mnie obudził, pochodził z moich własnych ust. W żaden sposób nie mogłam już jednak zasnąć.

Dzień Dziękczynienia był jasny i pogodny. Rześkie powietrze mieszało się z charakterystycznym zapachem zeschniętych liści, które szeleściły pod nogami. Idąc po nasłonecznionych schodach domu Letycji, wypełniona byłam oczekiwaniem. Mimo że nie przyznawałam się do tego, wiedziałam w głębi duszy, dlaczego jestem taka szczęśliwa.

Miałam zobaczyć Jasona.

Jego stary pies szczekał na mnie bez przekonania, dopóki Letycja, ubrana w spodnie z poliestru i bluzkę, nie otworzyła drzwi.

- Cicho, Digger - zawołała, a pies machnął ogonem i potulnie się położył. - Ślicznie wyglądasz! - dodała, przyglądając się mojemu rudemu sweterkowi i spodniom we właściwy sobie, bezpośredni

sposób. - Chodźmy do kuchni. Kończymy już z Jasonem przygotowania, a Brent z Simone powinni być za chwilę.

Jason, schludny w wykrochmalonych spodniach khaki i swetrze pod szyję, nachylał się w kuchni nad piecykiem. Nie mogłam się powstrzymać, by nie wykrzyknąć:

- Prawdziwie domowa atmosfera! Ale czy ty znasz się na kuchni?

Uśmiechnął się do mnie przez ramię, aż mi serce załomotało. Uspokój się, upominałam samą siebie. To przecież tylko uśmiech.

- Jason zawsze przyrządza indyka, a także szynkę na Boże Narodzenie - powiedziała Letycja.

- Jason? - Moja twarz musiała wyrażać zdumienie. Letycja wybuchnęła śmiechem.

- Trudno w to uwierzyć, prawda?

- O tak, nie mogę sobie wyobrazić Jasona jako kucharza.

- Pozwól sobie powiedzieć, że umiem upiec całkiem dobrego indyka - chełpił się Jason, wyciągając z piecyka ruszt. - I pewnie nigdy nie jadłaś równie wspaniałej szynki jak moja, pieczonej w brązowym cukrze.

- O tak, z pewnością - powiedziałam wznosząc oczy do nieba.

- Pieczeń gotowa. - Nie zwrócił uwagi na mój sceptycyzm. - Zacniemy jeść - rzucił okiem na zegar - o pierwszej, z Brentem i Simone albo bez nich.

Letycja zachnęła się.

- Nie zwracaj uwagi na jego gadanie. Wszystko zależy od sosu Maggie. - Wzięła długą rynienkę z sosem i wstawiła ją do pieca. -



Czasem zabiera to pół godziny, czasem czterdzieści pięć minut.

Zacniemy jeść, kiedy sos będzie gotowy.

Letycja pokręciła głową w stronę syna, ale Jason uśmiechnął się tylko, oblizując palce po chrupiącym kawałku mięsa z nogi indyka.

- Chcesz? - zapytał.

Zapach był kuszący, indyk miał piękny, złocistobrazowy kolor.

- Wspaniały zapach.

Odkroił nożem kawałeczek, nie dał mi go jednak, kiedy wyciągnęłam rękę.

- Gorące. Niech trochę ostygnie.

Gdy po chwili chciał mi podać plasterek, ja zrobiłam błąd pozwalając, by musnął moją rękę.

I nastąpiło to, co przedtem, tylko w znacznie silniejszym stopniu. Buchnęły od niego, a potem przeniknęły mnie ogień, gorąco i słodczy. Z trudem złapałam oddech. Podniósł plasterk do moich ust, a ja otworzyłam je bezwolnie, by przyjąć go z jego rąk. Przetrzywał palce nieco za długo na moich wargach, ale pozostałam obojętna. Jego oczy patrzyły spokojnie i z niejakim zakłopotaniem, jakby przeniknął go ten sam prąd, co mnie i nie wiedział, co teraz począć.

- Zaraz, zaraz... - Letycja zmarszczyła brwi, stojąc przy zmywarce do naczyń. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy, co wydarzyło się między jej gościem i synem. - Anno, pomóż mi. Weź te talerze i nakryj do stołu.

- Chętnie. - Z trudem odeszłam od Jasona i zaczęłam pomagać Letycji. Cały czas czułam na sobie jego wędrujący za mną, nieco oszołomiony wzrok.

Gdy przyszła Simone z Brentem i Christopherem, zjedliśmy bez żadnych scysji obiad. Potem wszyscy, poza Simone, pomagali sprzątać ze stołu. Simone narzekała na ból głowy i poszła się zdrzemnąć z Christopherem. Jason i Brent wzięli piwo i przeszli do drugiego pokoju oglądać mecz piłki nożnej w telewizji, a ja i Letycja, zgodnie z uświęconą tradycją, kończyłyśmy porządki w kuchni.

Z okien kuchni można było podziwiać niczym nie zakłócone piękno wąwozu.

- Trudno uwierzyć, że jest tak niebezpieczny - powiedziałam. Letycja chrząknęła.

- Jest niebezpieczny, i to w różny sposób. Zawahałam się, a potem sondowałam ją dalej.

- Ten nauczyciel, który tu zginął... Podobno Jason go znalazł.

- Nigdy nie zapomnę tej nocy - mówiła Letycja w rzeczowy sposób. - Przybiegł Brent, krzycząc coś przeraźliwie i wołając Jasona. Zeszli razem w dół, ale było już za późno. Słyszałaś plotki?

- Tak, niektóre. - Nie wiedziałam, że uczestniczył w tym Brent.

- Jason był ze mną przez cały wieczór, pomagał mi segregować stare fotografie. Opowiedział mi wtedy, dlaczego nie pobiorą się z Tiffany. - Letycja rzuciła na mnie spojrzenie, jakby chciała się przekonać, czy jej wierzę. - O tym też na pewno słyszałaś.

Wymamrotałam coś pod nosem. Letycja wzruszyła ramionami.

- Wiem, że większość ludzi nie wierzy, że on był wtedy ze mną. Myślę, że kłamię, żeby go ratować. Niewykluczone, że potrafiłabym to zrobić. Ale tego wieczora Jason był tu naprawdę. Nie mieliśmy o niczym pojęcia, dopóki Brent nie zjawił się z krzykiem, że człowiek

spadł do wąwozu. Kiedy się dowiedziałam, że to Alan McKenzie, myślałam, że to jakiś straszny sen, że.. Urwała na chwilę. - Ale stało się i nic na to nie można poradzić. Jace jest silny. Nigdy nie zwraca uwagi na to, co ludzie mówią. Ale Brent... - Przygryzła wargi. - Jest taki wrażliwy. Tak wszystko sobie bierze do serca. Ta chwila, kiedy Alan McKenzie spadał na dno wąwozu, musiała zostawić w nim ślad. Tak mi się wydaje.

- To zrozumiałe, że ciężko to przeżył.

Więc Brent widział, jak Alan spadł do wąwozu, a Jason był wtedy z matką. Nie wiadomo dlaczego, zrobiło mi się lekko na sercu. Przecież litera F na kartce Alana mogła oznaczać Brenta Forreстера, a nie jego brata.

- Zawsze w jakiś sposób czuwaliśmy z Jasonem nad Brentem, próbowaliśmy go osłonić przed brutalną rzeczywistością. Po śmierci ojca Brent zupełnie się załamał. Jasonowi udało się go namówić, żeby zasięgnął porady psychiatry. Już zaczynał czuć się lepiej, kiedy to się wydarzyło. Uparł się zejść na dół razem z Jasonem, a potem... potem nie mógł sobie znowu dać rady.

Srebrny półmisek, na którym podano indyka, wsunęła do miękkiego pokrowca i popatrzyła na mnie.

- Zauważyłam, że Jason trochę się z tobą droczy... Mruknęłam coś grzecznie. Letycja nie miała najmniejszego pojęcia, jak działał na mnie jej syn.

- Ale ma dobre serce. Kiedy Moss umierał, Jason na zmianę ze mną siedział przy nim w szpitalu. Przez ostatnie parę tygodni stale ktoś z nas przy nim był. I opowiadałam ci już, jak Jason sprowadził

się potem do mnie. Powiedział mi, że będzie mu tak wygodniej, bo będę o niego dbała. - Roześmiała się. - Oczywiście, było dokładnie na odwrót. Po śmierci Mossa było okropnie. Kiedy Jason tu zamieszkał, łatwiej mi to było znieść.

Dlaczego mnie to nie dziwiło? Czyż nie widziałam na własne oczy, jak się odnosi do matki i brata? Nie czułabym do niego w połowie tyle sympatii, gdyby naprawdę był tak nieczułym egoistą, jakiego z siebie czasami robił.

- On ma trudny charakter - mówiła dalej Letycja. -Bardzo przypomina ojca. Tak jak on chce się opiekować tymi, których kocha, a do tego dochodzi mój upór.

- Nie jest jeszcze tak źle - powiedziałam.

- Oczywiście, że nie. Myślę, że mogłoby być gorzej. Pomogłam jej schować serwis porcelanowy do szafek w ścianie stojących po obydwu stronach kominka w jadalni, a potem zasiadłyśmy z Brentem i Jasonem przed telewizorem.

Było już prawie ciemno, gdy się zaczęłam żegnać. Jason wstał, by mnie odprowadzić do domu.

Odmówiłam, ale zaczął nalegać, a Letycja, nie zdając sobie sprawy, do czego zachęca, poparła go.

- Droga wygląda zupełnie inaczej po ciemku. A Jace zna tu każdy kąt.

Nie próbował mnie dotknąć, gdy wędrowaliśmy brzegiem wąwozu w kierunku mojego domu. Był na to za sprytny. Zamiast tego oświetlał latarką drogę, rozmawiał o piłce nożnej, przepisach kulinarnych i oczywiście o firmie.

- Są już gotowe plany budowy w Atlancie. Doczekać się nie mogę, kiedy zaczniemy. Mam nadzieję, że uda nam się zebrać jakichś inwestorów i zrealizować to w ciągu najbliższych kilku lat.

- Czy to drogie przedsięwzięcie?

- Tak - powiedział krótko. - Mogliśmy sfinansować wszystko, ale trzeba było naruszyć kapitał, żeby spłacić Simone. Dopiero zaczęliśmy wydobywać się z długów.

W ciemności nie widziałam jego twarzy.

- Uważasz, że jestem dla niej okrutny. Wiem o tym, ale ona nas omal nie zrujnowała w czasie kilku swoich wypadów do Atlantic City i Vegas. Gdybym się nie zorientował, w jaki sposób je finansuje, firma już by zbankrutowała. A tak jesteśmy wypłacalni.

- Wydaje się, że interes idzie teraz dobrze - zauważyłam mając w pamięci księgi, które prowadziłam i zastanawiając się, ile jest prawdy w tym, co mówi.

- Tak. I dopilnuję, żeby nic się nie zmieniło. Mogę się w końcu niedługo ożenić i będę musiał utrzymywać żonę.

- A więc nie zrezygnowałeś jeszcze z kobiet? - zażartowałam.

- Ano nie. Zrobiłem się tylko znacznie bardziej wybredny. Czar i urok to jedno, ale przekonałem się, że ważniejsza jest uczciwość. Dajcie mi kobietę, która mówi to, co myśli, a nic mi więcej nie będzie potrzeba. Chcę się ożenić z kimś, komu będę mógł ufać. Z kimś takim jak ty, Anno.

Nie mogłam na to odpowiedzieć, do tego stopnia ciążyła mi świadomość mojej dwulicowości. Ale szczęśliwie doszliśmy właśnie do mojego ganku, nie musiałam więc mówić nic. Latarka była już

niepotrzebna, bo lampy na ganku rzucały wokół nas żółte światło. Gdy tak stał przy schodach, w sztucznym świetle, wydawał się ogromny i wzbudzał zaufanie. Rozumiałam, dlaczego Letycja i Brent mogli na nim polegać.

- Cholera! Tak dobrze się z tobą rozmawia, że mówię ci rzeczy, o których nie powinienem. Nie powtarzaj tego nikomu, a zwłaszcza nie mów o grach hazardowych Simone. Letycja nie wie o wszystkim.

- Na pewno nic nie powiem. Dziękuję za odprowadzenie. - Wyciągnęłam rękę przygotowując się do odsunięcia go, gdyby zamierzał się zbliżyć. - Dziękuję też za indyka. Był wspaniały.

Spojrzał na moją rękę z góry, z uśmiechem, i tak jak się spodziewałam, wziął ją po to, by mnie do siebie przyciągnąć. Przez chwilę trzymałam go z daleka, odpychając dłońmi. Spojrzawszy jednak na jego pełną wyrazu twarz, straciłam głowę. Straciłam głowę tak jak wtedy w magazynie, tylko że dziś nie było Brenta, który by mógł przeszkodzić.

Zdał sobie sprawę ze swego zwycięstwa i zbliżył do mnie promieniującą radością twarz.

I tak jak wtedy, zaczął zachłannie całować moje usta. Myślałam, że za chwilę stracę świadomość. Ostatkiem sił uniosłam rękę, jakbym go chciała odepchnąć, ale skończyło się na tym, że moje palce zaplątały się w jego włosach i przyciągnęły go jeszcze bliżej. Nasze ciała, dwa niezależne od siebie istnienia, zdawały się tracić swoją tożsamość i zlewać się w jedno.

Opuścił rękę na moje biodra, by trzymać mnie jeszcze bliżej, a drugą objął za szyję, bym nie mogła się wymknąć jego wargom. Zupełnie tak, jakbym się chciała wymykać.

Jason pierwszy oderwał się ode mnie.

- Widzisz, co potrafisz ze mną zrobić? - spytał zmienionym głosem. Wyciągnął rękę do mojej bluzki i zaczął ją rozpinać. Delikatnie, lecz zdecydowanie.

- Widzę - szepnęłam równie zmienionym głosem. Gdy ręka musnęła moją pierś, podświadomie zaczęłam opierać się temu dotykowi. Lecz dopiero wtedy, gdy jego palce wsunęły się pod stanik, otrząsnęłam się i cofnęłam.

Ogarnęło mnie znowu, silniej niż dotychczas, poczucie osaczenia przez wrogie duchy, które czekały tylko, by zaatakować. Pomimo stanu podniecenia, w jakim się znajdowałam, czułam wokół wrogość i zaczęłam się bać. Wrogość ta nie płynęła od Jasona, którego odrzuciłam. Wysyłało ją owe nieznane widmo, które śledziło mnie z takim uporem, z taką zawziętością.

- Za bardzo się spieszymy. - Brak mi było tchu i moje słowa nie brzmiały tak stanowczo, jak bym tego chciała. Spojrzałam niespokojnie w kierunku wąwozu. - Jeszcze nie jestem gotowa.

- Według mnie zachowujesz się, jakbyś właśnie była gotowa - powiedział przytłumionym głosem, lecz nie zbliżył się do mnie. - Kiedy tylko podchodzę do ciebie, dzieje się ze mną coś niesamowitego. Z tobą zresztą też.

- Może. Ale jeszcze nie czas. - Nie okazał ani zawodu, ani gniewu.

- Jak chcesz, ale wiem przecież, do czego zmierzamy. - Mówił pojednawczym tonem, godząc się, bym decydowała.

- Proszę cię, idź już.

Skłonił się wolno i uśmiechnął szeroko.

- Dobrze, proszę pani. Wycofuję się. Na razie. - Był bardzo pewny siebie. - Mam tylko nadzieję, że nie będzie się pani zastanawiać cholernie długo.

Irytacja pozwoliła mi na chwilę zapomnieć o demonach, które mnie pilnowały.

- Muszę jutro pojechać na ślub do Południowej Karoliny - mówił dalej. - Wrócę dopiero w sobotę późnym wieczorem. Nie jechałbym, ale mam być drużbą. Spotkajmy się może w niedzielę po południu, kiedy Letycja już wyjedzie?

- Umówiłam się ze znajomym, mamy oglądać mecz piłki nożnej. - Nie byłam pewna, czy powinnam się z tego cieszyć, czy nie. Jasona trzeba było ukrócić, ale w cichości ducha pragnęłam być z nim.

- Z tym nauczycielem? - Czy w pytaniu tym kryła się zazdrość? Kiwnęłam głową.

- Powinienem się był tego domyśleć. Z tego widzę, że zobaczę cię dopiero w poniedziałek.

- Tak. - Dopiero po chwili zorientowałam się, że Jason czeka, aż sobie pójdę.

Szłam po schodach i bałam się. Sama nie wiem, czy mój strach rodził się ze wzruszeń, które Jason rozbudzał we mnie, ilekroć byliśmy sami, czy też brał się z otaczającej mnie niewidzialnej wrogości. Już przy drzwiach odwróciłam się i powiedziałam:



- Dobranoc.

- Dobranoc, Anno. - Moje imię zabrzmiało w jego ustach jak delikatna pieśczoć. - Śpij dobrze.

Sen długo nie przychodził, gdy tak leżałam rozpamiętując dotyk jego ciała. A gdy wreszcie przyszedł, zasnęłam głęboko i spokojnie, zupełnie jakby jego pożegnalne słowa były błogosławieństwem, które zatrzymało wszystkie koszmary w bezpiecznej odległości ode mnie.

## 12

Następnego dnia, w piątek, obudziłam się wyspana i natychmiast pomyślałam o Jasonie. Dlaczego mi się tak podobał? Zakochać się tak od razu, bez namysłu, było z pewnością zupełnie nie moim stylem.

Zadzwoił telefon. Odezwał się Charles Raite, mój adwokat.

- Wysyłam ci kilka papierów do podpisu. Odnowienie dzierżawy na sklep, który ci Bob zostawił przy Lenox Square, i akt zrzeczenia się działki za fabryką, tam, gdzie powstał nowy ośrodek dziennej opieki dla pracowników.

- Świetnie. - Powinnam być bardzo szczęśliwa, bo od lat zabiegałam o powstanie tego ośrodka, ale był to już teraz tylko epizod z mojego dawnego życia. Dziś dało mi to zaledwie przelotną satysfakcję.

Charles zdradził główny powód swego telefonu.

- Kilka dni temu przyszedł do mnie przedstawiciel z wydziału śledczego w Georgii. Zdaje się, że znaleźli coś, co należało do Alana. Dostyc cenną monetę.

Zaniemówiłam na chwilę.

Charles zawahał się, a potem mówił dalej:

- Ślady zaprowadziły do lombardu w Chattanoodze.

- Orzeł Alana - wyszeptalam, gdy już przestało mnie ścisnąć w gardle. Orzeł z 1798 roku z sześcioma gwiazdkami, którego miał od czasu ukończenia uniwersytetu.

Bob szalał, gdy złota moneta z ochronną, stalową obwódką wpadła w szczelinę podłogi w naszym domu. Baliśmy się, że aby ją odzyskać, trzeba będzie zrywać podłogę, ale Alan, który miał wtedy dopiero szesnaście lat, przyniósł silny magnes i udało się ją wydobyć. Bobowi zaimponowała do tego stopnia zaradność Alana, że dał mojemu bratu monetę w prezencie z okazji ukończenia studiów.

- Jest bardzo cenna - przerwał Charles moje sentymentalne wspomnienia. - Warta kilka tysięcy dolarów.

Alan nosił ją na łańcuszku na szyi. Na szczęście. Powracałam do terażniejszości niechętnie. Bałam się pytać, pragnąc jednocześnie dowiedzieć się wszystkiego.

- Czy wiadomo, kto ją zastawił w lombardzie?

- Jakaś młoda kobieta. Dostała tysiąc dwieście dolarów.

- Kobieta? - Odczułam wielką ulgę pomieszaną z uczuciem błogości. Dopiero teraz zrozumiałam, jak bardzo mi zależało, by Jason Forrester nie miał nic wspólnego ze śmiercią Alana.

Charles robił wrażenie zaskoczonego moją reakcją.

- Tak - potwierdził.

- Czy wiadomo, kim jest?

- Nie. Pracownik lombardu pamięta jedynie, że miała długie, rude włosy. Powiedział, że nie przyszło mu wtedy do głowy, aby sprawdzić listę skradzionych rzeczy. Facet z biura śledczego chyba w to nie wierzy. - Po głosie Charlesa można było sądzić, że on także miał co do tego wątpliwości. - Jubiler od razu monetę rozpoznał. Zaalarmował wydział śledczy w Georgii, a oni trafili do mnie, gdy odczytano numer legitymacji ubezpieczeniowej Alana, który był wyryty pod stalową obwódką.

Prawie nie słyszałam, co dalej mówił. Wielu mieszkańców Rahunty robiło zakupy w Chattanoodze, było to przecież najbliższe miasto. Tam właśnie Simone kupiła swój pechowy pierścionek. Ruda kobieta...

Przypomniała mi się fala rudych włosów na fotografii Tiffany Underwood.

Ale Tiffany nie miała przecież powodu, by zabijać Alana.

Chyba że się pokłócili. Czy zabiła więc swego narzeczonego i pozostawiła go, a potem odnaleźli go Forresterowie?

Charles ciągle coś mówił, ale przez parę minut nie dochodziło do mnie nawet jedno słowo.

- ..więc kiedy mi ją oddadzą, zachowam ją dla ciebie. Mam nadzieję, że niedługo wrócisz?

Jąkałam się, zacinałam, przerywałam, pochrząkiwałam i szybko zmieniłam temat.

- Czy udało ci się zdobyć kopię testamentu Mossa Forreстера?

- Tak. - Próbował ukryć ciekawość, jakie były moje motywy. Był człowiekiem skromnym, roztropnym i ostrożnym, jak ja. Czy raczej takim, jak ja kiedyś byłam.

Stłumiłam poczucie winy.

- Czy Moss Forrester zostawił synom jakieś pieniądze? Charles odpowiedział od razu.

- Wszystko im zostawił. Zdziwiłam się.

- Wszystko?

- Letycja Forrester ma własny majątek, Była jedynaczką, a jej ojciec posiadał duże nieruchomości w Atlancie.

Najwyraźniej Moss uważał, że chłopcy powinni odziedziczyć wszystko, co miał.

- Czy dużo tego jest?

- Zależy, co rozumiesz przez dużo.

Powoli zaczynała mnie męczyć jego prawnicza ostrożność.

- Milion? Chwilę milczał.

- Myślę, że możesz śmiało pomnożyć tę sumę przez dziesięć. - Charles mówił oschłym, zasadniczym tonem. - Moss był zręcznym biznesmanem.

Brent posiadał miliony, a Jason miał za złe Simone, że wydaje za dużo pieniędzy? Byłam początkowo oburzona, a potem zaczęłam się zastanawiać, ile musiała przegrać, skoro firma została doprowadzona niemal do upadku.

Mówił mi o tym wprawdzie tylko Jason.

- Czy Moss zostawił tylko firmę, czy jeszcze coś?

- Firma to zupełnie oddzielna sprawa. Chłopcy dostali ją od razu. Ale Moss miał także różne aktywa. Dochód z nich oraz procenty z akcji i obligacji, jakie posiadał, zostały rozdzielone na depozyty dla każdego z nich.

- Nie mają więc dostępu do kapitału?

- Brent Forrester już swoim zarządza.

A Jason nie? Zapytałam Charlesa dlaczego. Charles chętnie mi wszystko wyjaśnił.

- Zgodnie z wolą Mossa, każdy z synów uzyskuje dostęp do depozytu z chwilą narodzin pierwszego dziecka. A Jason Forrester nie ma dzieci.

Co za dziwaczny warunek, jakby spłodzenie dziecka dodawało człowiekowi wartości.

- Dosyć to staroświeckie - powiedziałam.

- Moss uważał, że rodzina wywiera na młodego człowieka dobroczynny wpływ. W zasadzie zgadzam się z tym, ale z tego, co wiem, Brent Forrester naruszył poważnie swój kapitał. Właściwie nie pozostało nic z tego, co odziedziczył. Moss Forrester pewnie podejrzewał, że jego synowie będą rozrzutni.

A więc Jason mówił mi prawdę.

Cieszyło mnie to, byłam jednak pod wrażeniem wiadomości o znalezieniu talizmanu Alana. Uświadomiłam sobie, jak bardzo pragnęłam, by Jason nie miał nic wspólnego ze śmiercią mojego brata.

Kim, u licha, była ruda kobieta?

Tej nocy wróciły znów moje sny ze skałami we mgle i przytłumionymi głosami. Tym razem jednak śniło mi się jeszcze

dziecko. Trzymało złotą monetę i obracało ją w rączce tak, jak to zwykle czynią maleńkie dzieci - pieczołowicie i ostrożnie. Siedziało na ścieżce obok wąwozu, w niebezpiecznej bliskości jego krawędzi. Serce podchodziło mi do gardła, gdy widziałam, jak kołysze się coraz bliżej i bliżej przepaści, ale jakoś nie mogłam podejść do niego. Byłam tylko w stanie iść ścieżką, na której się znalazłam, i mieć nadzieję, że doprowadzi mnie ona do dziecka na czas, tak bym zdążyła je watawać przed katastrofą.

Z boku stał Alan, za szklaną ścianą. Nie mogłam go tam dosięgnąć, a twarz miał przysłoniętą chmurami.

- Pospiesz się, pospiesz - powtarzał, gdy przebywałam drogę ślizgając się i potykając i próbując za wszelką cenę zobaczyć coś we mgle. - Anno, musisz iść szybciej. Przyjdiesz za późno. Postaraj się chociaż!

Obudziłam się, czując konieczność działania. Powinnam była coś zrobić, tylko co?

W niedzielę wyruszyłam do Matta. Szłam ścieżką, która rozgałęziała się na skraju wąwozu naprzeciwko mojego domku. Było mi przykro, że musiałam spędzić ten dzień bez Jasona z powodu swoich poprzednich zobowiązań. Znacznie milej byłoby oglądać ten mecz z nim niż z naszą grupą graczy w pokera.

W połowie drogi wpadłam na Simone.

Była zdumiona ujrawszy mnie.

- Dzień dobry, Anno. - Wyglądała bardzo młodo i promieniała szczęściem. Jej usta, które wyglądały zawsze tak, jakby je ktoś dopiero całował, były delikatniejsze niż zazwyczaj.

Byłam równie zdziwiona jak ona. Ścieżka ta prowadziła jedynie do domu Matta. Nie było mi miło myśleć o tym, co myślałam.

- Dzień dobry, Simone. Gdzie idziesz?

- Do Letycji. A ty?

Opowiedziałam jej o przyjęciu u Matta, zapraszając, by poszła ze mną, ona jednak odmówiła.

- Nie lubię piłki nożnej.

Ruszyłam w dalszą drogę sama. Uderzyło mnie, że nie poprosiła mnie znowu o przeszukanie domu Jasona. Może już porzuciła ten pomysł? Miałam nadzieję, że nie namówiła Matta, żeby jej dopomógł. Matt był jednym z niewielu przyjaciół, jakich miała. Nie chciałam wierzyć, by był kimś więcej, ale Simone swoim zalotnym sposobem bycia z pewnością go kokietowała. Trzeba by człowieka bardziej jeszcze niż Matt trzymającego się zasad, by oprzeć się jej prośbom.

Nikogo z naszych partnerów do gry jeszcze nie było, powiedziałam więc po prostu:

- Spotkałam po drodze Simone.

Matt spojrzał mi spokojnie w oczy, ale się lekko zaczerwienił. Odpowiedział dopiero po chwili.

- Brent obiecał pożyczyć mi książkę o akademii i Simone ją przyniosła.

Nie było nic więcej do powiedzenia, ale zaczęło mi być żal Brenta. A także Matta.

Gdy przyszłam w poniedziałek do biura, Jason już tam był.

Powiedziałam dzień dobry, starając się opanować radość, która mnie ogarnęła, gdy jego uśmiech stał się odbiciem mojego. Podeszłam

do biurka, a on zasiadł na jednym z krzeseł naprzeciwko mnie.

Wyciągnął swe długie nogi, starając się utrzymać filiżankę tak, by nie rozlać ani kropelki kawy. Parę kropli i tak wylało się na jego dżinsy i patrzyłam, jak palcami próbuje je zetrzeć ze spodni.

- Podobał ci się wczorajszy mecz? - zapytał.

- Owszem, dziękuję.

- Widziałem cię, jak szłaś do Gravena. Przyjrzałam mu się uważnie, zastanawiając się, co ma na myśli.

- Nie powinnaś chodzić sama.

- Zawsze bardzo uważam. - Odłożyłam na bok torebkę.

- Wąwóz jest bardzo niebezpieczny, gdy się go nie zna. - Upił mały łyk gorącej kawy.

- Wszyscy o tym mówią. - Zamknęłam szufladę w biurku.

- Nie podoba mi się, że chodzisz sama. Jeśli tylko będziesz miała ochotę wybrać się na wycieczkę, z przyjemnością z tobą pójdę. - Wielka ręka Jasona trzymała spód filiżanki, a palce drugiej błędziły po jej brzegu. - Nie musisz czekać na swego przyjaciela.

Był zazdrosny. Widać było, że jest zazdrosny, mimo że starał się z tym nie zdradzić, a ja nie umiałam ukryć radości z tego powodu.

Tak jak nie potrafiłam stłumić nagłej, niespodziewanej tęsknoty, która zrodziła się na widok koniuszków jego palców muskających od niechcienia filiżankę. Wzięłam do ręki pióro i obracałam nim po to tylko, by coś robić.

- Dziękuję bardzo, Jason, ale mam zaufanie do Matta. Nie zabrałby mnie w żadne niebezpieczne miejsce.



- Może. Ale on nie pochodzi stąd. Nie zna wszystkich ścieżek.  
Pamiętaj o tym.

Wiedziałam, o co mu chodzi i nie chciałam o niczym pamiętać.  
Chciałam podskoczyć z radości i krzyknąć: Tak! Tak! Bardzo bym  
chciała z tobą pójść! Może jutro? Tylko ty i ja! Przyniosę chleb i wino  
i koc!

- Dziękuję. - Próbowałam ze wszystkich sił zachować  
opanowanie i spokój. - Miło, że się troszczysz. Zapamiętam to sobie.

- Nie jestem miły. - Jak zwykle mówił bez ogródek. - Weselej  
byś spędziła czas ze mną niż z Gravenem. I wiem, że milej by mi było  
z tobą, niż jest Gravenowi.

Uniosłam brwi.

- Widzę, że jesteś i miły, i zarozumiały!

Wstał i uśmiechnął się leniwie, w sposób, który sprawił, że  
ugięły się pode mną kolana.

- Widzisz, Anno, problem polega na tym, że uprzedziłaś się do  
mnie po naszym pierwszym spotkaniu. I wszystko, co mówię,  
odbierasz w niewłaściwy sposób. Powtarzam ciągle, jak jest mi  
przykro. Może więc zaczniemy wszystko od początku?

Przełknęłam ślinę z wysiłkiem.

- Myślałam, że zaczęliśmy.

W przerwie na lunch postanowiłam załatwić sprawę, którą ciągle  
odkładałam. Stare wydania miejscowej gazety były na mikrofilmach  
w bibliotece. Artykuł, którego szukałam, napisany został trzynaście lat  
temu. Nie zauważyłabym go, gdyby nie zdjęcie.

Jason, bardzo młody, bez wąsów, patrzył na mnie zaczepnie. Wyglądał na wrażliwego i bezbronnego, a jego usta nie miały w sobie nic z szorstkości spotykanej na późniejszych zdjęciach. Po jego jednej stronie stała Letycja, atrakcyjna kobieta w średnim wieku, po drugiej mężczyzna o pociągłej twarzy, w którym rozpoznałam Mossa Forrestera.

Artykuł donosił, że Jason zaatakował jakiegoś mężczyznę. Ofiara trafiła do szpitala, ale zdrowiu jej nic nie groziło. Krótka notka trzy tygodnie później donosiła, że obaj mężczyźni zostali ukarani grzywną za bójkę.

Nie było słowa na temat przyczyn, które doprowadziły do bójki, ale wkrótce po artykule opisującym całe wydarzenie ukazała się wzmianka o zerwaniu za obopólną zgodą zaręczyn pomiędzy panną Jennings a panem Forresterem.

Siedziałam przez dłuższy czas próbując sobie wyobrazić młodego Jasona, który dowiaduje się, że narzeczona go zdradza. Miał wtedy dwadzieścia lat, można więc było zrozumieć, że atakuje i uderza człowieka, który mu zabrał dziewczynę. Trudniej było zrozumieć kogoś, kto zachowuje się tak samo, mając lat trzydzieści trzy.

Nie mogłam uwierzyć, że można było teraz wytrącić Jasona tak łatwo z równowagi, chyba żeby nieoczekiwanie zastał Alana z Tiffany w łóżku.

Ale nawet wtedy trudno mi było sobie to wyobrazić.

Wróciłam do biura tuż przed drugą. Jason już tam był. Uderzał rulonem zwiniętego papieru w dłoń.

- Spóźniłaś się - powiedział szorstkim głosem. - Czekam na ciebie. Potrzebna nam zaraz ta umowa.

Zdjęłam płaszcz, powiesiłam go na wieszaku, usiadłam przy biurku i odłożyłam torebkę. Okręcając się na krześle włożyłam okulary, spojrzałam mu prosto w oczy i wyciągnęłam rękę po papiery.

Spojrzał na moją wyciągniętą rękę i niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

- W życiu czegoś podobnego nie widziałem! Co cię tak wytrąciło z równowagi?

Nie mógł wiedzieć, że już od dawna zostałam wytrącona z równowagi. Za każdym razem, gdy znajdowałam się parę metrów od niego, moje serce wyczyniało doprawdy najdziwniejsze rzeczy.

Celem mojego pobytu w Rahuncie przestało być jedynie odkrycie prawdy o Alanie: dlaczego zginął i co usiłował mi powiedzieć.

Pragnęłam teraz udowodnić samej sobie, że Jason nie miał nic wspólnego z zabójstwem Alana. Dopóki jednak tego nie zrobiłam, musiałam utrzymywać dystans. Nie mogłam przecież zakochać się w mężczyźnie, który mógł być zamieszany w śmierć mojego brata.

Nie chciałam przyjąć do wiadomości, że może już było za późno.

Pomimo kuszących propozycji, nie wybrałam się z Jasonem do wąwozu. Przebywanie z nim sam na sam nie byłoby rozsądne. Wywierał przecież na mnie taki wpływ, że zupełnie traciłam kontrolę nad sobą. Nie mogłam sobie pozwolić na znalezienie się w sytuacji, w której mogłabym się przed nim ugiąć jedynie dlatego, że obdarzony był męskim, fizycznym urokiem.

Wyruszyłam zamiast tego do wąwozu w czasie pierwszego grudniowego weekendu w towarzystwie Matta i jednego z jego przyjaciół z Północnej Karoliny. Dzień był piękny, w miarę ciepły, błękitne niebo pokryte wysoko w górze białymi barankami. Świeciło jasne słońce. Zdawać by się mogło, że to lipiec. A więc idealny dzień na wycieczkę.

Matt uznał, że posiadam wystarczające doświadczenie, toteż wybraliśmy trudniejszą drogę, która prowadziła do Brenta. Odchodziła ona od głównego szlaku pomiędzy moim domkiem i domem Letycji. Musieliśmy w jednym miejscu przełazić przez powalone drzewo, ale najgorsze było to, że szło się czasem niepokojąco blisko przepaści. Szczególnie przykre było miejsce, gdzie

w ostatnich latach spadło w głąb wąwozu kilku turystów. Krawędź wąwozu, po której szliśmy, miała także nie więcej niż kilkadziesiąt centymetrów i wystarczyło tylko stąpać nie tam gdzie trzeba, by runąć w dół. Ucieszyłam się widząc nie opodal z boku młode drzewko, za które można się było złapać, a bardziej jeszcze uradowała mnie lina bezpieczeństwa, którą Matt wziął z myślą o mnie.

Gdy znaleźliśmy się na dole, Matt i Lewis postanowili trochę się powspinać. Wymawiając się zmęczeniem, wybrałam spacer pośród skałek w korycie rzeki.

- Sam nie wiem - powiedział Matt. Najwyraźniej nie chciał zostawiać mnie samej. - To tylko tak się wydaje, ale tu wcale nie jest bezpiecznie.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniłam go, i postanowiliśmy się spotkać poniżej domu Simone.

Niegdyś w dół wąwozu spadały z łoskotem liczne wodospady, które zniknęły, gdy zbudowano tamę. Wartka i głęboka rzeka, do której trafiały, zmieniła się teraz w spokojne rozlewisko z wystającymi z wody głazami. Można było po nich chodzić, choć z wielkim trudem. Trzeba było tylko uważać, by nie postawić nogi na chwiejnym kamieniu. Ale na dole nie groził przynajmniej upadek z wysokości.

Nie byłam pewna, w którym miejscu mój brat poniósł śmierć, wiedziałam jednak, że było to gdzieś w pobliżu. Spojrzałam w górę i zobaczyłam przekwitające krzaki sumaku. Znaczyły one miejsce, gdzie rozpoczynał się szlak, który dopiero co przeszliśmy, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy moim domkiem a domem Letycji.

Alan spadł lub został zrzucony z tego właśnie rozwidlenia. Spadł więc zapewne w promieniu półtora metra od miejsca, w którym stałam.

Poczułam od razu, że jest tu poza mną ktoś jeszcze. Przykre doznania wróciły znowu, zdawało mi się, że czuję z tyłu przeszywający, przepełniony okrucieństwem wzrok.

Wokół panowały cisza i spokój. Słyszeć było tylko mój nierówny oddech i cichy, jednostajny szmer wody opływającej skały u moich stóp.

Czy Alan próbował mi coś powiedzieć? Czy był może niezadowolony, bo zbyt wolno odczytywałam sny?

Nie, nie mogłam uwierzyć, by cień Alana powrócił, aby mnie dręczyć. To był nienawistny duch kogoś, kto umarł na szubienicy, zastrzelony został z tyłu lub zakłuty nożem w czasie bijatyki.

Nie byłam obdarzona bujną wyobraźnią, robiłam więc sobie wyrzuty, że pozwoliłam jej sobą zawładnąć. Duchy były przecież w końcu jedynie wyrazem emocji i nie były w stanie wyrządzić krzywdy żyjącej istocie... To coś, co mnie obserwowało, mogło wywoływać niepokój, nie było jednak w stanie mi zaszkodzić.

Powtarzałam to sobie, przeszukując dno wąwozu.

Sama nie wiedziałam, czego szukam. Śladów krwi czy też może strzępka ulubionego swetra Alana, w którym tak często chodził.

Nie było tam nic, co by oznaczyć mogło miejsce, gdzie leżał kiedyś Alan, mój ukochany brat, dowcipny, inteligentny, czuły i pełen wigoru, zanim nie uciekło z niego życie.

Dotknęłam twarzy. Była mokra od łez.

- Alan, kto by pomyślał, że to się tak skończy?

Podchodząc do miejsca na dnie wąwozu tuż pod domem Simone, nie umiałam się pozbyć wrażenia, że niewidzialne oczy śledzą każdy mój ruch. Znajdowałam się niestety na otwartej przestrzeni. Nie było się gdzie schować, usiąść i zaczekać, aż to coś, co za mną chodziło, pokaże się, cokolwiek to było.

Przeniknął mnie dreszcz.

To tylko nerwy, mówiłam sobie. Widok miejsca, gdzie Alan umarł, zrobił na mnie większe wrażenie, niż się chciałam przyznać.

Zmusiłam się, by iść dalej.

W górze, nade mną, widać było dom Brenta i Simone. Nachyliłam się, by w niczym nie zmaconej wodzie rozlewiska zmyć brud z twarzy i rąk.

Woda była zimna i odświeżająca. Gdy wstawałam, coś zamigotało w głębi. Zaslaniając ręką oczy przed słońcem spojrzałam uważnie w tamtą stronę, niespecjalnie zresztą zaintrygowana.

Nie czułam teraz zupełnie, by ktoś mnie śledził.

Na dnie jeziora o kryształowo czystej wodzie, w rozproszonym świetle słonecznym, widać było wyraźnie jakiś masywny przedmiot, rzucający nikły metaliczny odblask. Zdawało się, iż wystarczy się tylko nachylić, by dotknąć go ręką. Widoczny był tak wyraźnie. Rewolwer?

Naszły mnie niespodziewane wspomnienia. Postać Jasona przechylająca się do tyłu, by wrzucić coś do wąwozu...

Nie, to nie śmieszne. Znowu ponosi mnie wyobrażenia.

Uklękłam i spróbowałam zmierzyć głębokość jeziora.

Podwinęłam rękawy i włożyłam rękę do wody, zdając sobie sprawę, że nie uda mi się tajemniczego przedmiotu wyciągnąć. Chciałam go jednak chociaż dotknąć.

Gdy okazało się, że, tak jak przypuszczałam, nic to nie daje, rozejrzałam się wokół, czy nie znajdę jakiegoś patyka. Kilka minut zajęło mi dotarcie do najbliższych drzew. Znalazłam tam uschnięte drzewko ze sterczącą gałęzią, która mogła się przydać.

Pochylając się nad wodą, zanurzyłam gałąź w wodzie. Wydawało się, że lada chwila dotknie metalowego przedmiotu.

Nagle kolo mojego ucha przeleciało coś niczym pszczoła. Od strony skał znajdujących się za mną doleciał słaby, stłumiony odgłos.

Potem, jak pamiętam, pośliznęłam się na mchu. Pomimo nadludzkich wysiłków nie utrzymałam równowagi i wpadłam do wody głową w dół.

Górski strumień w grudniu, nawet w ciepły, słoneczny dzień, nie jest najlepszym miejscem do kąpieli. Trudno mi było wypłynąć na powierzchnię w ciężkich, sportowych butach.

Zdając sobie sprawę, że muszę się wydostać, zanim zimno nie sparaliżuje mnie całkowicie, wysunęłam głowę ponad wodę, łapiąc powietrze i odzyskując równowagę.

Mokre ubranie i ciężkie buty pociągnęły mnie znowu w dół. Nie próbowałam się jednak temu przeciwstawić. Starłam się za to zbliżyć do brzegu. Znowu zaczęłam tonąć. Ruszając gwałtownie głową, po raz drugi wyłoniłam się na powierzchnię na skraju jeziora i spróbowałam wyjść na brzeg.



Pierwszy kamień, za jaki chwyciłam, obsunął się i wpadł do wody obok mnie. Drugi trzymał się mocno, jednak mech, który go porastał, był śliski i nie mogłam się na nim utrzymać.

Po dwóch czy trzech takich próbach wyskoczyłam dosłownie z wody jak skaczący delfin i leżałam potem na skałach, spazmatycznie łapiąc powietrze. Nogi miałam nadal w zimnej wodzie. Policzek trzymałam przytknięty do masywnej skały w niemym podziękowaniu, Bezpieczeństwo miałam już zapewnione. Po chwili doszłam do siebie i ostatni odcinek drogi z tego niewinnie wyglądającego, a tak zdradzieckiego jeziora pokonałam pełzając. A potem zupełnie opadłam z sił.

Dopiero wtedy pozwoliłam sobie na luksus zastanowienia się nad wszystkim. Żadna pszczoła nie leciała jeszcze nigdy z taką szybkością w kierunku ziemi.

Ktoś do mnie strzelił.

Zastanawiałam się, czy ten ktoś spróbuje strzelić jeszcze raz. Na dnie wąwozu nie było się gdzie ukryć. Nie wiedziałam nawet, z której strony strzał padł.

Gdy leżałam tak z bijącym sercem i twarzą przytkniętą do szorstkiej powierzchni skały, w zasięgu mojego wzroku pojawiła się para butów. Para butów kowbojskich, a nie zwykłych butów roboczych.

Z trudem poruszyłam głowę. Jason Forrester patrzył na mnie z ironicznym uśmiechem.

W ręce nie miał broni.

Odrzuciłam od siebie od razu podejrzenia.

- Czego się do diabła śmiejesz? Podaj mi rękę. Trzeba przyznać, że wiedział co zrobić. Nachylił się, złapał mnie za kołnierz przemoczonej kurtki i podniósł do góry, a potem postawił na ziemi w bezpiecznej odległości od śliskich skał i otulił swoją kurtką.

- Trochę dziś za zimno na pływanie. - Czuć było wyraźnie jego troskę, mimo że był rozbawiony. - Czy nie masz nic innego do roboty, jak włączyć się tutaj sama?

Strach przed grobem w wodnej otchłani ustąpił miejsca bardziej przyziemnemu doznaniu, jakim było zimno spowodowane mokrym ubraniem. Trzęsłam się na całym ciele.

- Nie byłam sama. Matt jest tu gdzieś ze swoim kolegą.

- Nie powinni cię byli zostawiać. Mówiłem ci przecież.

Powinnaś chodzić na wycieczki z kimś doświadczonym, z kimś takim jak ja. Taka wspinaczka dla dziewczyny z miasta, która nie wie co robi, może się okazać bardzo niebezpieczna.

- Zwłaszcza wtedy, kiedy miejscowi zaczynają strzelać.

Zaczęłam szczękać zębami, z zimna albo ze strachu.

- Strzelać? - Uśmiech zamarł na jego twarzy. - O czym ty mówisz?

Spojrzałam tam, gdzie powinna była spaść kula. Nie było żadnych śladów, niczego, co by mogło potwierdzić moją opowieść.

Wśród błota i skał nie sposób było szukać maleńkiej kuli.

Jason albo był dobrym aktorem, albo rzeczywiście nie wiedział, co się stało.

- Wydaje mi się, że to była kula - powiedziałam spokojnie, patrząc mu prosto w twarz. - Albo może pszczoła. Widziałeś, jak wpadałam do wody. Dlaczego nie przyszedłeś mi pomóc?

Zmrużył oczy.

- Przecież przyszedłem. Jak tylko mogłem najszybciej, stamtąd. - Pokazał ręką drzewa na górze stoku. - Przebycie całej drogi w dół zajęło mi trochę czasu. Myślałem, że już po tobie, aż zobaczyłem, jak dokonujesz czegoś w rodzaju lądowania na brzegu.

Z daleka widać było dwie postacie pospiesznie torujące sobie drogę wśród skał i zmierzające w naszym kierunku. Był to Matt i jego przyjaciel Lewis.

- A ty co tam robiłeś? Śledziłeś mnie? - Czy wrogość, którą odczuwałam, emanowała z Jasona? - Czy nie powinieneś być teraz przy swoich bykach, które dobierają się do krów?

- Zobaczyłem cię samą na dole. Pomyślałem sobie, że ktoś powinien cię mieć na oku. Do diabła! Dlaczego Graven nie został przy tobie? Czy nikt ci nie powiedział, że wędrowniki po wąwozie są niebezpieczne?

Jakby mnie wszyscy, łącznie z jego bratem, nie ostrzegali. Zatrzęsłam się z gniewu i zimna.

- Czy to tutaj? - spytał cofając się, żeby zbadać ziemię w miejscu, gdzie słyszałam przytłumiony odgłos.

Wybuchnęłam gniewem, tłumionym nieco przez głośne szczykanie zębami.

- No i miałeś mnie na oku i co? Niewiele to pomogło.

Zrezygnował z szukania śladów i poszedł zajrzeć do jeziora, do którego wpadłam. Nagle stanął jak wryty. Zapomniałam już, co było przyczyną mojej kąpieli. Mówiłam do jego pleców, próbując go stamtąd odciągnąć.

- Wydostałam się sama z wody, a teraz zamarzam. Nikt mi nie pomógł. Jeżeli...

- Jeżeli nie włożysz zaraz suchego ubrania, spadnie ci temperatura ciała. - Podszedł do mnie i wziął mnie za rękę w sposób nie dopuszczający sprzeciwu. - Mój samochód stoi na starym szlaku. Zachowaj trochę sił na drogę.

Na poły niósł, a na poły ciągnął moje trzęsące się ciało przez skały. Stawiał pewne kroki, a pode mną nogi się trzęsły.

Spotkaliśmy na drodze Matta i Lewisa gdy nadbiegali naszą drogą.

Matt był niespokojny.

- Wszystko w porządku? - Odetchnął z ulgą, gdy oznajmiłam, że w gruncie rzeczy tak. - Widziałem, jak wpadłaś do wody, ale byliśmy wtedy tam, w górze. - Machnął za siebie ręką. - Na litość boską, jak mogłaś podchodzić tak blisko jeziora. Dobrze, że Forrester zszedł na dół w samą porę - dodał z niechęcią w głosie.

Otworzyłam już usta, żeby zaprotestować i powiedzieć, że przecież uratowałam się sama, ale od razu z tego zrezygnowałam. Było mi zimno, bałam się i chciałam już być w domu.

- Porozmawiamy potem. - Jason nie puszczał mojej ręki, ciągnąc mnie uparcie do samochodu. - Anna musi się teraz przebrać w suche ubranie.

Wychował się na skraju wąwozu. Znał wszystkie skałki i niebezpieczne miejsca. Wiedział, że człowiek zepchnięty z góry miał niewielkie szanse przeżycia, zwłaszcza człowiek, którego postrzelono.

Wiedział też, że rewolwer wrzucony do jednego z niezliczonych jeziorek na dnie wąwozu mógł leżeć lata całe, nie zauważony przez nikogo.

Ale Jason Forrester nie był mordercą.

Z pewnością.

RS

Gdy dotarliśmy do samochodu, moje ręce były już fioletowe. Jason włączył ogrzewanie i natychmiast ruszył, może zbyt szybko jak na drogę porytą koleinami. Nie można było zupełnie rozmawiać, samochód zarzucał, a ja trzymałam się kurczowo uchwyty, by nie wpaść na Jasona. Nie bardzo wiedziałam, w którą stronę jedziemy, dopóki nie zatrzymał samochodu, a Digger nie zaszczekał przyjaźnie.

- No nie! - wykrzyknęłam. - Nie wysiądę tutaj. Mowy nie ma. Zawieź mnie zaraz do domu. - Wiedziałam, że Letycja jest w Palm Beach, a na obecność Maggie Mahone nie można było liczyć w czasie weekendu.

Ostatnia rzecz, jaka mi była teraz potrzebna, to znaleźć się sam na sam z Jasonem pod jednym dachem. Zgasił silnik.

- Do twojego domu jest dwadzieścia minut drogi. Musisz zdjąć z siebie te mokre rzeczy. - Mówił surowym głosem, ale drgały mu przy tym kąciki ust.

Wysiadłam z samochodu i trzasnęłam drzwiami.

- Tylko piętnaście minut. Pójdę sama. Jason także wysiadł.

- Jak sobie chcesz. Ale obawiam się, że nie dasz rady.

Zapomniałam o rozwadze i ruszyłam przed siebie. Wystarczyło jednak parę kroków i powiew wiatru, bym zmieniła zdanie. W

samochodzie moje ciało, przemarznięte do szpiku kości rozgrzało się trochę. Minęło jednak zaledwie parę sekund, a trzęsłam się znowu z zimna.

Zaciskając zęby, by nie przekląć Jasona, zawróciłam i weszłam posłusznie za nim do kuchni, mijając Diggera, który machał ogonem i patrzył na nas radosnym wzrokiem.

- Tu jest łazienka - powiedział Jason prowadząc mnie przez jadalnię i gabinet do sypialni w tyle domu. - Powinnaś teraz szybko wskoczyć pod prysznic, a ja poszukam ci przez ten czas czegoś na zmianę.

Nie chciałam się rozbierać, wiedząc, że w całym domu jest ze mną jedynie on. Nie chciałam się jednak do tego przyznać, powiedziałam więc tylko:

- Wystarczy, jeżeli dasz mi po prostu ręcznik. Niestety, moje dzwoniące zęby zepsuły całe wrażenie.

- Nie bądź głupia. - Jason zaczynał się niecierpliwić. - Dostaniesz zapalenia płuc. - Nagle przyszło mu coś do głowy. - Boisz się mnie? - Uśmiechnął się szeroko. - Więc przestań. Obiecuję nie zalecać się na siłę. Nie dlatego, żebym nie chciał. Nie przepadam wprawdzie za chudymi kobietami o mysim kolorze włosów, zawsze bardziej podobały mi się lekko zaokrąglone blondynki, ale ty chyba rzuciłaś na mnie urok. Tak jest, wydobyłaś ze mnie najlepsze moje instynkty.

-Ja...Ty...

Wspomnienie jego ust na moich wargach i świadomość, że znajdowałam się pod jego urokiem, spotęgowały tylko moją złość.

- Możesz się czuć zupełnie bezpiecznie - zapewnił tonem nie znośącym sprzeciwu. - A teraz chodź pod prysznic.

Musiałam mu coś powiedzieć

- Nic mnie to nie obchodzi, jakie kobiety ci się podobają. Mam to w nosie.

Potrącił mnie łokciem z tyłu.

- Tędy, proszę.

Z niemałym oporem pozwoliłam się wepchnąć do chłodnej łazienki, która miała na szczęście kaloryfer na ścianie. Jason włączył go od razu, a ja próbowałam przez ten czas wymyślić jakąś odpowiedź.

- Szczerze mówiąc nie bardzo wierzę, żeby drzemały w tobie jakieś dobre instynkty! - Nie byłam zadowolona ze swojej odpowiedzi, ale nie umiałam na poczekaniu wymyślić nic bardziej obraźliwego.

Uśmiechnął się wyzywająco, ale nie zaprzeczył.

- O, zaczyna już grzać - powiedział wskazując na kaloryfer. - Za chwilę będzie tu bardzo przytulnie. Zobacz, w drzwiach jest dobry, nowy zamek. Teraz obiecaj, że przynajmniej dziesięć minut zostaniesz pod gorącym prysznicem, dobrze?

Wyszedł, a ja, ogarnięta złością, na próżno szukałam odpowiednich słów.

Ale z pewnością miał sporo racji, doradzając mi gorący prysznic.

Rozkoszując się jego ciepłem myślałam o tym, co zobaczyłam w jeziorku. Przedmiot, który widziałam, był za duży, by mógł być



pierścionkiem Simone. I nie musiał to być wcale rewolwer. No ale przecież mógł to być rewolwer. Niezupełnie wierzyłam Simone i Mattowi, którzy przekonywali, że władze okręgu były opłacane i przekupione przez Forresterów, ale może jednak byłoby lepiej zwrócić się do kogoś innego. Na wszelki wypadek.

Nie zaszkodziłoby zatelefonować do siostrzeńca Boba z FBI i zapytać, czy mógłby obejrzeć podejrzany przedmiot na dnie wąwozu. Głupio by mi było, gdyby okazało się, że to nie broń. Ale nawet gdyby tak było, dosyć będzie czasu potem, żeby się martwić.

Pamiętałam postać Jasona na werandzie Brenta i jego rękę w powietrzu gotową do rzutu, i miałam nadzieję, że nie trzymał rewolweru. Byłam na siebie za to zła, ale nie zmieniłam zdania o Jasonie. Był zbyt otwarty, żeby być mordercą.

A może chciał kogoś ratować? Może było dokładnie na odwrót niż w opowiadaniu Simone? Może to Brent zabił Alana, a Jason go krył. Wszystko by się zgadzało. Prawie wszystko.

Po wyjściu z kabiny czułam się wspaniale. Wycierając się grubym ręcznikiem, ze zdumieniem zauważyłam biały szlafrok na haczyku w łazience.

Nie było go, gdy zamykałam drzwi.

A potem spostrzegłam, że nie ma mojego swetra, dzinsów i bielizny, które starannie poukładałam.

Jason Forrester wszedł do łazienki, gdy brałam prysznic. Spojrzałam na przezroczystą ściankę kabiny prysznicowej i zrobiło mi się słabo.

W chwilę później stanęłam przed nim w gabinecie.

- Ty wstrętny kłamco - krzyczałam. - Mówiłeś, że drzwi się zamykają! - Uniosłam pięść i dostałby w czułe miejsce, gdyby nie odskoczył i nie chwycił mnie za rękę, zanim zdążyłam wyrzucić mu krzywdę.

- Kobieto! - powiedział z przerażeniem w głosie. - Uważaj, gdzie bijesz! Mógłbym potem śpiewać tylko sopranem.

- Tego właśnie chciałam! Jak śmiałeś wchodzić do łazienki, kiedy brałam prysznic? Wiesz przecież, że zamknęłam drzwi tylko po to, żebyś tam nie wchodził.

Kiwał głową z udaną skruchą.

- Krzywdzisz mnie. Naprawdę mnie krzywdzisz. Przyznaję, że wszedłem do łazienki, ale tylko po to, żeby wziąć twoje ubranie, wrzucić je do suszarki i zostawić ci szlafrok, żebyś nie musiała chodzić goła.

Podeszłam bliżej z zaciśniętą pięścią, a on tanecznym krokiem cofnął się, nie spuszczając ze mnie czujnego spojrzenia.

- Może dla ciebie to normalne przechadzać się w stroju Ewy po obcych domach, ale zapowiadam ci, że w domu Letycji nie dopuszczę do tego. Bardzo by jej się to nie podobało.

- Ty... ty kłamco! Podeszedłeś mnie w nędzny sposób. Powiedziałeś, że drzwi się zamykają, bo wiedziałeś, że inaczej się nie rozbiorę.

- Nie mówiłem wcale, że drzwi się zamykają, chociaż się zamykają, jeśli ktoś chce. - Przybrał cnotliwy wyraz twarzy, który nie oszukałby nawet dziecka. - Powiedziałem tylko, że w drzwiach znajduje się dobry zamek, i tak jest naprawdę. Rzeczywiście nie

powiedziałem ci, że umiem go otwierać od ósmego roku życia, kiedy to Brent się zamknął, a ja go stamtąd wydostałem. Gdybyś zapytała, czy umiem otworzyć drzwi zamknięte na zamek, powiedziałbym ci...

- Bądź już cicho! - Byłam zmęczona rozmową, jego obecnością i całą tą zabawą. - Przynieś mi moje ubranie, chcę już stąd iść.

Obrzucił mnie zranionym wzrokiem, ale wrażenie zepsuł ledwo dostrzegalny błysk w jego oczach.

- Zaraz wszystko wyschnie. Usiądź przy kominku, który specjalnie dla ciebie zapaliłem. Jeśli potrafisz się zmusić do miłej rozmowy, zrobię ci nawet filiżankę czekolady.

Ta kusząca propozycja dała mi chwilę oddechu.

Może zamierzał mnie otruć, ale nie wydawało się to prawdopodobne. Zadał sobie przecież trud suszenia mojego ubrania - słyszałam pracującą w głębi domu suszarkę.

Z drugiej jednak strony, jeżeli chciał mnie uwieść... Nie dowierzałam swemu zwariowanemu ciału. Już teraz dawało mi tajemnicze znaki, tylko dlatego że byłam tak blisko niego.

Uległam niechętnie i przysiadłam przy kominku na miękkim pufie. Gdy przyniósł obiecaną czekoladę, poprosiłam, by postawił ją przy mnie na stole. Potem dopiero wzięłam filiżankę i łakomie zaczęłam pić.

- No jak? - zapytał stając przed kominkiem i patrząc na mnie. - Prawda, że lepiej?

Musiałam potwierdzić. Oparł się o kamienny gzyms.

- Świetnie. Jest ci już ciepłutko i wygodnie, powiedz mi więc może, co próbowałaś wyłowić z tego jeziora?

Spodziewałam się podobnego pytania, ale miałam nadzieję uniknąć go.

- Wydawało mi się, że coś zobaczyłam, ale myślę, że to była po prostu jeszcze jedna skała. - Uciekłam się nawet do mrugania rzęsami, mając nadzieję, że zmieni temat rozmowy.

Moje wysiłki odwróciły jego uwagę, ale tylko na chwilę.

- Te jeziora mają od pół do piętnastu metrów głębokości. A to, o którym mówimy, ma około trzech metrów. Patyk, który trzymałaś, nie dosięgnąłby dna.

Nie wierzyłam mu. Metalowy przedmiot był bardzo wyraźny. Niewielki, ale doskonale widoczny w słońcu. Zmusiłam się do potulnego uśmiechu.

- Z pewnością masz rację.

- Co to właściwie było, to coś, co tam widziałaś? - Oparł niedbale jeden but na kominku.

Wzruszyłam ramionami najlepiej jak umiałam, w stylu bezradnej, małej kobietki.

- Trudno powiedzieć. Nie mówmy już o tym.

- Dobrze, dajmy temu na chwilę spokój. Mówiłaś, że strzelano do ciebie. Czy to prawda, czy też zaczynasz się upodabniać do Simone?

Filizanka zadrżała mi w ręce. Spojrzawszy na niego stwierdziłam, że nadal spogląda na mnie kpiąco. Był zarozumiały i pewny siebie. Miał do tego prawo, jeśli udało mu się wyjść cało mimo popełnienia morderstwa, czy nawet gdyby tylko pomagał mordercy. Na myśl o tym ogarnął mnie wielki smutek.

- Naprawdę tak myślisz? - spytałam spokojnie, patrząc na niego spod rzęs. Poprawiłam kołnierz szlafroka, by pokazać więcej szyi i skrzyżowałam nogi tak, by wyglądać jak najbardziej pociągająco. Zwykła dywersyjna taktyka, mówiłam sobie. Nie chciałam wcale, by reagował na moje nie wypowiedziane propozycje. W żadnym wypadku.

Niełatwo było odwrócić jego uwagę.

- Śmieszny dzieciak z ciebie - powiedział. - Co widziałaś w wodzie?

Ponowny atak wytrącił mnie z równowagi. Zrezygnowałam ze swoich naiwnych prób skierowania jego uwagi na inne tory.

- Torbę? To wyglądało jak plastikowa torba.

- Dlaczego tak bardzo ci zależało, żeby ją wydobyć?

Nie było sensu kłamać. Mógł przecież dotrzeć do jeziora jeszcze przed policją. Jeżeli się dowie, co widziałam, być może przekona się, że nie może tego ukryć.

- Wydaje mi się, że to wyglądało jak rewolwer - przyznałam powoli.

- Rewolwer? - Nie wywołało to na nim absolutnie żadnego wrażenia. Zamrugnął tylko oczami. - Widziałaś w wodzie rewolwer?

- Może.

Zaczepił krzesło stopą, przysunął je bliżej kominka i usiadł, by przyjrzeć mi się spod półprzymkniętych powiek.

- Słyszałam, że gdzieś w pobliżu w zeszłym roku zabito człowieka - powiedziałam, gdy cisza, która zapadła, stawała się nie do zniesienia. - Może właśnie z tego rewolweru? - Ciężar, który uciskał

moją klatkę piersiową, dawał mi się tak bardzo we znaki, że z trudem mogłam oddychać.

- Pewnie wiesz, że są ludzie, którzy przypuszczają, że to ja go zabiłam.

Jego słowa zachwiały moim postanowieniem, musiałam mu jednak zadać to pytanie.

- Czy to prawda?

Uśmiechnął się smutno i pokręcił głową. A gdy zaczął mówić, ton jego głosu był spokojniejszy, pozbawiony agresji, tak jakby podjął jakąś decyzję.

- Anno, pomyśl sama. Przecież tylko wydaje ci się, że zobaczyłaś rewolwer. A nawet jeśli masz rację, nie znaczy to od razu, że jest to rewolwer, którym dokonano zbrodni.

Nie był ze mną szczery. Czułam to. Co przede mną ukrywał?

Uważnie przyglądaliśmy się sobie. Miałam dziwne uczucie, że bawi się ze mną, że wie, co widziałam i że jest mu to najzupełniej obojętne.

- Masz rację, nie znaleziono rewolweru, którym zabity został nauczyciel. - Mówiąc to obserwował mnie przez cały czas, uśmiechając się z lekka. Tylko jego oczy patrzyły z powagą. - Przypuszcza się, że jest on może w jednym z tych jeziorok, które pozostały po rzece. Może to prawda i może ty go właśnie znalazłaś. Nie powinnaś jednak sama próbować wyławiać różnych rzeczy. Sama widziałas, że to niebezpieczne.

- To prawda. - Czy to było ostrzeżenie?

- Takimi sprawami powinna się zajmować policja. -Zmrużył oczy i przestał się uśmiechać. Przez chwilę robił wrażenie twardego, brutalnego człowieka, któremu niebezpiecznie się przeciwstawiać.

Spojrzałam na filiżankę z gorącą czekoladą.

- Czy myślisz, że powinnam kogoś o tym zawiadomić? Zamiast odpowiedzi podszedł do telefonu. Słyszałam, jak nakręca numer, a potem rozmawia. Powoli zaczynało do mnie docierać, co robi. Gdy skończył, oznajmił:

- Nasz szeryf wyśle nurka, żeby wydobył to, co widziałas.

Zadowolona jesteś?

- Dziękuję. - Zachodziłam w głowę, dlaczego się tym zajmuje.

- Te jeziora są naprawdę głębokie. Nie kłamie. Często się w nich ktoś topi. Mogłabyś poprawić statystykę.

Jego muskularne ramiona i silne nogi potrafiłyby wyrządzić dużo szkody w bójce. Miał też wielkie dłonie. Spoczywały teraz spokojnie, zaciśnięte jednak w pięść mogły skutecznie zranić każdego.

Przypomniałam sobie ich dotyk, gdy masowały moje ramiona, i mocniej zacisnęłam rękę na filiżance. Żeby strzelać, nie trzeba mieć mięśni, pomyślałam. Wystarczy palec na cynglu. Ale nie jego palec. Nie.

Wypiłam duszkiem czekoladę.

- Jak myślisz, czy moje ubranie jest już suche?

- Nie. - Dorzucił do ognia polano.

Miał duże ręce o mocnych palcach. Mogły one równie dobrze obchodzić się z bronią, rozpalać ogień, jak i bić przeciwnika po

twarzy. Umiały też masować kobiece ciało, aż napięcie przeistaczało się w ukojenie i radość...

Na litość boską, co mnie naszło?

Usiadł znowu, tym razem na brzegu kominka, obok mojego pufa, tak blisko, że nasze kolana niemal się dotykały.

Odsunęłam nogi. Będę bezpieczna dopóty, dopóki nie dam mu się dotknąć.

Ciężar, który mnie przytłaczał, zelżał nieco, ustępując miejsca dziwnemu znużeniu. Zdałam sobie sprawę, jak jestem ubrana. Miałam na sobie tylko jego szlafrok. Dopóki siedział dalej, nie pamiętałam prawie, w jakiej jestem sytuacji. Czułam się całkowicie bezpieczna i ubrana, nawet wtedy, gdy wdzięczyłam się do niego i flirtowałam, aby odwrócić jego uwagę od mojego odkrycia.

Teraz, gdy usiadł tak blisko, prawie - choć przecież niezupełnie - mnie dotykając, uprzytomniłam sobie wyraźnie, że jestem z nim sam na sam. Z człowiekiem, który chciał może uwieść żonę swojego brata i być może był współwinnym śmierci mojego brata, a ja byłam w stanie myśleć jedynie o tym, jak bardzo mi się podobał i że jestem prawie naga. Jeszcze trudniej było zrozumieć, że nadal mnie pociągał, a ja nie miałam zupełnie sił, by mu się oprzeć.

Ależ był atrakcyjny, z tą swoją cerą pirata i silnym, zręcznym ciałem! Siedział blisko mnie, a w jego sposobie bycia, jakże trudnym do opisania, było tyle erotyzmu! Gdy zdałam sobie sprawę, że pragnął mnie, że troszczył się o mnie i że miękkość i łagodność w jego oczach zapowiadają poufałość, przestałam panować nad swymi reakcjami.



Przenikały mnie dreszcze. Nie ukrywał zupełnie swego pożądanego, a mnie to wcale nie odpychało.

Uśmiechnął się najbardziej uwodzicielskim uśmiechem, jaki widziałam w życiu na twarzy mężczyzny. Kąciki jego ust lekko uniosły się pod ciemnymi wąsami do góry. Byłam na tyle blisko, że widziałam żółte plamki na brązowej tęczówce oka. Nadawały jego spojrzeniu odcień starego złota, w którym kryła się pełna czułości kpina.

Wiedział dobrze, o czym myślę. Zauważył też, kiedy zaczęłam o tym myśleć. W oszłomieniu zastanawiałam się, czy sobie tego wszystkiego nie zaplanował, ale było mi wszystko jedno.

Nie próbowałam go powstrzymać, gdy sięgnął w kierunku skraju białego szlafroka, przykrywającego moje osłabłe nogi.

- Tędy właśnie wpada chłodne powietrze - powiedział z tym swoim cholernym, uwodzicielskim uśmiechem. Naciągnął szlafrok tak, by przykryć odsłonięte kolano. Uważał, by nie dotknąć przy tym mojej skóry.

- Ciepło mi teraz - odpowiedziałam jak uczennica.

- To dobrze. - Jego matowy głos czarował mnie. - Ale lepiej bądź nadal okryta. - Palce przedostały się pod gruby aksamitny materiał, jakbym dawała na to przyzwolenie dlatego tylko, że siedziałam w bezruchu. Jego ręka okrążyła moje kolano, a potem obrała drogę w dół łydki, pozostawiając po sobie smugę ciepła. Objęła na krótko kostkę nogi, by spocząć na podbiciu. Uniósł moją stopę, a wtedy szlafrok, którym mnie przed chwilą owijał, rozsunał się, ukazując nagie udo i łydkę.

Nie mogłam się poruszyć. Czułam, jakby moją nogę, unieruchomioną na jego koszuli, parzyło ciepło bijące z jego ciała. W łonie poczułam wielką pulsującą próżnię, która domagała się spełnienia.

Zaczęłam się zastanawiać, czy nie wsypał mi czegoś do czekolady. Jakiegoś lubczyku...

- Masz zupełnie zimne nogi - skonstatował z wyrzutem. - Daj mi drugą, przysunę je do ognia.

Bez słowa protestu podniosłam drugą nogę. Przesunął się trochę, kładąc moją drugą stopę na swoim kolanie i obracając podeszwy w kierunku gorących płomieni. Cudowne ciepło przenikało teraz wszystkie pory mojego ciała.

Byłam pewna, że Jason będzie się ze mną kochać i że nic go przed tym nie powstrzyma. Ja zresztą wcale nie chciałam go powstrzymać. Nigdy w całym swoim życiu nie pragnęłam jeszcze tak bardzo żadnego mężczyzny.

Masował moją lewą stopę powoli i czule, w sposób, który skutecznie zniweczył moje próby obrony.

- Co za śliczne nogi. A tu jest pęcherz. To na pewno po tych wszystkich wycieczkach. A to co?

Patrzył na moje palce. Uwodzicielski uśmiech zastygł na jego twarzy, jakby zapomniał, co go wywołało. Drgnęłam.

Zapomniałam o moich stopach!

Przypomnienie ułomności w tym właśnie momencie było podwójnie przykre. Krępowало mnie, że się o tym dowiedział i nie chciałam, by mnie przestał dotykać.

Ścisnęłam palce mocno, a potem umyślnie rozluźniłam, pozwalając, by je rozciągnął i przejechał palcem wzdłuż błony.

- To rodzinne. - Byłam poirytowana. Jeżeli moje stopy wzbudzą w nim wstręt, oznaczać to będzie nagły koniec jego zainteresowania. Duma nie pozwoli mi pragnąć mężczyzny, który mnie nie chce. - Taka się urodziłam.

- Aha. - Trzymał nadal moje stopy, ale pożądanie, które promieniowało z niego przez ostatnie dziesięć minut, zniknęło bez śladu. Nie puszczał moich stóp, lecz trzymał je mocno. Na twarzy miał wyraz zamyślenia, jakby próbował coś zrozumieć.

- Maleńkie nóżki. Zazdroszczę im, bo należą do ciebie. - Podniósł najpierw jedną, a potem drugą do ust, całując powoli wszystkie palce po kolei.

Siedziałam jak posąg, w głowie mi się kręciło, a każdy palec, którego dotknęły jego usta, palił mnie jak ogień. Przyglądał im się przez dłuższy czas, a potem opuścił moje nogi na dół. Jedna ręka zawahała się tam, gdzie szlafrok rozchylił się nieco.

Czekałam w udreće, pragnąc go i bojąc się zarazem...

Spojrzał mi w oczy i cicho westchnąwszy, zawinął mnie szczelnie w szlafrok.

- Anno, czy zdajesz sobie sprawę, że wszystko jest wypisane na twojej twarzy? Prędzej czy później będziesz musiała dojść z nami do porozumienia.

- Suszarka się zatrzymała - wybąkałam.

Rzucił na mnie spojrzenie, które powiedziało mi, że wie, czego się boję, ale że mi ustąpi - do następnego razu.

- Dobrze, zobaczmy, co się da zrobić, żeby doprowadzić cię do porządku.

Wcale nie byłam taka pewna, czy ktokolwiek będzie w stanie kiedykolwiek doprowadzić mnie do porządku.

RS

Następnego dnia oglądałam przez lornetkę ekipę, która przybyła ze sprzętem, by stawić czoło lodowatej wodzie jeziora.

Zatelefonowała Simone. Rozmawiała w niepodobny do siebie sposób.

- Brent mówi, że zobaczyłaś w wodzie rewolwer. To prawda?

Byłam ostrożna.

- Nie wiem, co to było.

Nie powiedziałam jej, że widziałam, jak Jason wyrzucał coś z jej ganku.

- Jeśli widziałaś rewolwer, to z pewnością nie był to ten, z którego został zabity Alan McKenzie - wyszeptała.

- Co? - Myślałam przez chwilę, że ją źle zrozumiałam. -

Dlaczego nie?

Zaśmiała się z goryczą.

- Już ci przecież mówiłam. Tamten rewolwer jest bezpiecznie schowany w domu Jasona. To, co widziałaś, może mieć jakiś związek z tą sprawą, ale to nie jest ten rewolwer.

- Simone...

W tej samej chwili usłyszałam trzask odkładanej słuchawki.

Złapałam kurtkę i pojechałam do domu Simone. Wpuściła mnie Jenny, jak zwykle chłodna i ponura. Christopher starał się utrzymać na nóżkach i podążał za nią chwiejnym krokiem. Podniosła go pomimo protestów i nie puszczała z rąk, prowadząc mnie przez część

mieszkalną, obok basenu aż na werandę. Na jej twarzy jak zwykle gościł wyraz nudy, pomimo tego, co się działo na dnie wąwozu.

Na werandzie stały ławki, dla których oparcie stanowiła barierka. Simone siedziała na jednej z nich z podwiniętymi nogami i patrzyła w dół przez lornetkę.

Na mój widok opuściła ją i zwróciła się do mnie, nie okazując zbytniego zainteresowania. Włosy miała związane w koński ogon, na twarzy śladu makijażu. Wyglądała jak dziecko, które dochodzi do siebie po chorobie.

- Dzień dobry, Anno.

Usiadłam przy niej. Niektóre postacie na dnie wąwozu ubrane były w brązowe mundury, kilka miało na sobie ubrania cywilne. Jedna z nich, w jasnej, żółtej kurtce, była wyższa od pozostałych. Na jej widok zalała mnie fala radości.

Nie mogłam się doczekać, aż Jenny znajdzie się poza zasięgiem słuchu.

- Simone, co miałaś na myśli?

Ręce jej zacisnęły się w pięści, gdy usłyszała moje pytanie. Można się było w niej dopatrzeć przebiegłości, jaką są obdarzone czasem dzieci, które wiedzą o czymś, czego wiedzieć nie powinny.

- Widziałam cię wczoraj w wąwozie. Widziałam, jak wpadłaś do wody. Dużo czasu minęło, zanim Jason odwiózł cię do domu. - Utkwiła we mnie oskarżycielskie spojrzenie. - Zakochałaś się w nim, prawda? Mimo że cię ostrzegałam.

Miałam dobre wytłumaczenie, dlaczego byłam u Jasona.

- Gdyby nie było go w pobliżu, dostałabym hipotermii, a już na pewno bym się zaziębiła. Byłabym niewdzięczna, nawet nieuprzejma, gdybym nie przyjęła jego pomocy i gościnności.

Pokłóciłam się z nim o drzwi w łazience, ale Simone nie musiała o tym wiedzieć.

Spojrzała znowu na ludzi w wąwozie.

- Ma kobietę w północnej części miasta. Czasami chodzi z innymi kobietami, ale zawsze wraca do Crystal.

Poczułam się tak, jakby mnie ktoś kopnął w brzuch.

- Nic mi nie musisz opowiadać o Jasonie. On nie jest w moim typie.

Uśmiechnęła się do mnie cynicznie, co niezupełnie szło w parze jej dziecinną buzią.

- Jason jest w typie każdej kobiety. - Simone była pełna pogardy.  
- Potrafi być czarujący, jeśli tylko zechce. Widziałam, jak kobiety się zachowują, kiedy tylko zaczną się do nich zalecać.

- Nie bądź śmieszna, Simone. Znam go przecież.

Czy znam go? Jak miałabym wytłumaczyć Simone swoje uczucia wobec Jasona, kiedy właściwie nie poznawałam samej siebie?

Ręka Simone dotknęła mojego rękawa. Mignęła mi na chwilę przed oczami twarz Jasona, gdy śmiał się zapewniając, że lubi najbardziej blondynki.

Czy rzeczywiście próbował uwieść żonę swego brata? Ale dlaczego bym miała wierzyć Simone? Wiedziałam przecież, jaka jest.

- Nie gniewaj się - poprosiła Simone smutnym głosem.

- Boję się o ciebie. Nie mam tu żadnych przyjaciół poza tobą. Nie chciałabym, żeby cię ktoś skrzywdził.

- Nie mam zamiaru dać się skrzywdzić, zapewniam cię, Simone. Co miałaś na myśli, gdy powiedziałaś, że to, co jest na dnie jeziora, musi mieć związek ze śmiercią Alana McKenzie?

Wzruszyła ramionami, ale milczała. Spróbowałam innego tematu.

- Mówiłaś, że widziałaś, jak wpadałam do wody. Wydaje mi się, że ktoś do mnie strzelił. Czy widziałaś kogoś na dole? Poza mną, Jasonem, Mattem i Lewisem?

Jej oczy zrobiły się okrągłe.

- Ktoś strzelał do ciebie? Co masz na myśli? Czułam się głupio, powtarzając swoją historię. Simone wstała i zaczęła przemierzać werandę ze zmarszczonymi brwiami.

- Dlaczego ktoś miałby do ciebie strzelać? - Zakreśliła się w kółko. - Chyba że zrobił to Jason. Był tam przecież. Z tej właśnie strony. Może myślał, że znalazłaś coś, co mogłoby go skompromitować.

Pokręciłam głową.

- Nie. Tak się złożyło, że Matt obserwował go, gdy to się stało. - Poprzedniego wieczora wypytałam Matta dokładnie o wszystko. - No a poza tym - dodałam ironicznie - trzeba się na coś zdecydować. Albo chce mnie uwieść, albo zabić.

- Wszystko jest możliwe. - Simone zadrżała i spojrzała w stronę wąwozu. - Zobacz. - Ton jej głosu się zmienił. Odraza znikła, jej



miejsce zajęło coś innego. Nie umiałam powiedzieć, czy była to nadzieja, czy strach.

Poniżej nas wyciągano nurka w mokrym kombinezonie.

Jeśli można było coś na tę odległość zobaczyć, wydawało się, że wręcza on jakiś przedmiot człowiekowi stojącemu obok. Sprzęt był już spakowany i wszyscy wsiadali teraz do różnych pojazdów.

Ciężarówka Jasona odjechała jako jedna z ostatnich.

Gdy wróciłam do domu, zadzwonił do mnie, by mi wszystko opowiedzieć.

Nie znaleziono broni, znaleziono jednak torbę plastikową. Był w niej skórzany portfel bez pieniędzy, a także portmonetka, pamiątkowy pierścionek z uniwersytetu w Georgii i srebrny zegarek ze srebrną bransoletą.

- Pewnie zobaczyłaś odblask zegarka - powiedział Jason ściszym głosem. - Rzeczy należały do Alana McKenzie, Pomyślałem sobie, że powinnaś o tym wiedzieć.

Zacisnęłam kurczowo słuchawkę, przypominając sobie rękę i ramię Jasona w kształcie łuku.

- Jak się tam znalazły?

- Tyle wiem co ty.

Rzeczy, które należały do mojego brata. A Simone wiedziała wszystko.

We śnie błagałam Alana:

- Alan, to nie on. Jason nie mógłby cię zabić.

- Na litość boską, Anno. Czasami jesteś taka niemądra. -  
Powinien to być właściwie powiedzieć z gniewem, tylko że Alan nigdy się nie złościł.

- Powiedz mi, Alan - błagałam.

Nie odpowiadał mi jednak. Kiwał tylko ze smutkiem głową. Konieczność natychmiastowych rozwiązań nie pozwalała mu na cierpliwość.

- Nie ma teraz czasu na twoje bezsensowne miłosne rozterki. Potrzebuję pomocy, i to szybko. Czy nie rozumiesz?

- Nie - płakałam. - Nie rozumiem i nie mogę już tak dłużej! Powiedz mi i skończmy z tym!

Obudziłam się zastanawiając, czego ja właściwie chciałam się od niego dowiedzieć. To było takie ważne, a ja czułam się tak bardzo zagubiona.

- Masz tu nowe krzesło, Lois. - Jason Forrester trzymał krzesło, podczas gdy dostawca biurowych mebli wnosił resztę zamówienia.

- Świetnie, stare już się prawie rozleciało. - Lois była młodą osobą, niedawno ukończyła naukę. Paplała bez ustanku o życiu towarzyskim, które według niej polegało najwyraźniej na flirtach z różnymi chłopakami, a z drugiej strony na wyprawach na zakupy do Chattanooga i Atlanty.

Letycja wzbudzała w niej szacunek, Brenta traktowała z lekką pogardą i zdecydowanie nie widziała świata poza Jasonem.

Jason oczywiście nie robił nic, by ostudzić jej uczucia, ale trzeba przyznać, że nie czynił też nic, by je rozbudzać.

Przysunął teraz do niej krzesło i zakręcił nim przed nią w kółko z fantazją.

Opis Simone nie pasował do niego. Nie wyglądał na sadystę ani na człowieka niewrażliwego czy zdeprawowanego.

Nie chciałam, żeby był taki, jak go przedstawiała. Chciałam, by był czuły, troskliwy i wierny. Taki, jakim go znałam.

Przerzuczał jakieś papiery.

- Lois, wciągnij je do rejestru, a potem znajdź wszystkie broszurki z tej listy. Muszę to wszystko zabrać do Atlanty.

- Oczywiście, Jace. - Wzięła listę od Jasona i przyjrzała się jej. - O Boże, będzie ich chyba ze dwadzieścia pięć!

- Proszę, zrób to zaraz, jeśli możesz. - Starał się wydobyć z siebie cały swój wdzięk. - Wszystkie są w gabinecie Letycji.

Lois podskoczyła i zostawiła komputer. Właściwie powinna była tak zrobić, bo Jason był przecież jej szefem, ale moim zdaniem nic by się ani jej, ani Jasonowi nie stało, gdyby została jeszcze chwilę i skończyła wprowadzać dane do komputera.

Zaczęłam odfajkować kolejne pozycje na zamówieniu zaopatrzeniowym, ale nagle mi przerwano. Na rogu biurka przysiadł ktoś o wysportowanym ciele.

- Na krześle byłoby wygodniej - zauważyłam nie podnosząc wzroku i mając nadzieję, że nikt nie mógł dostrzec gołym okiem nagłego przepływu krwi w moich żyłach. Spłowiałe niebieskie dzinsy przylegały ciasno do jego biodra i uda, które znalazły się tuż przy mnie... Mogłam je dotknąć.

- W przyszłą sobotę w Amerykańskim Związku Kombatantów odbędzie się zabawa bożonarodzeniowa. - Położył rozpostartą rękę na papierze, nad którym pracowałam. Widziałam jedynie jego duże palce i czarne włosy odbijające się od opalonej skóry.

Ociągając się podniosłam wzrok. Miałam nadzieję, że nie będzie w stanie przeczytać na mojej twarzy, co się ze mną dzieje.

- Tak, wiem o tym.

Na głowie miał baseballową czapkę zsunietą do tyłu, tak że daszek osłaniał ciemne, kręcone włosy. Koszmarna żółta kurtka była rozpięta, a kołnierz postawiony. Jej krój sprawiał, że miał co najmniej półtora metra w barach.

- To wielki bal z całą masą jedzenia i tańcami. Miałem nadzieję, że pójdziesz ze mną.

Na jego twarzy igrał uwodzicielski uśmiech, przez który przebijała pewność, że doskonale wie, co myślę. A mnie od tego robiła się na rękach gęsia skórka. Wahałam się, niepewna, jaki sposób postępowania wybrać. Podobne rozdarcie przeżywałam już w dziesiątej klasie.

- Nie mogę z tobą pójść - powiedziałam w końcu. Wiedziałam, że moja decyzja jest słuszna z moralnego punktu widzenia, ale nie przeszkadzało mi to czuć się nieszczęśliwą. - Umówiłam się już z Mattem.

Jason zachował kamienny wyraz twarzy, choć jedna brew mu drgnęła.

- Mówisz o tym nauczycielu, który pozwolił ci wpaść do wody?

- To nieprawda!

- W każdym razie na pewno ci w tym nie przeszkodził. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak bliska byłaś utonięcia.

Jego troska rozgrzała mi serce.

- Zdaję sobie sprawę. Nie chcę tylko się ciągle nad tym rozwodzić.

Poruszył się niecierpliwie.

- Czy twój mąż przypominał Gravena?

- Bob? Dlaczego o to pytasz?

- Tak się zastanawiam, czy to dlatego ze mną walczysz. Za mało jestem dla ciebie uczony.

Nieudolnie próbowałam się wytłumaczyć.

- Ja wcale... ty przecież nie...

Nachylił się nade mną. Jego gardłowy głos przenikał teraz prosto do mojego ucha.

- Ze mną byłoby ci milej. Spróbowałam przybrać bardziej oficjalny ton.

- Być może, ale już obiecałam Mattowi.

- A pani Anna Levee nigdy nie łamie słowa. - W jego głosie pobrzmiwała irytacja. - Pani Anna Levee poważnie traktuje wszystko, co mówi.

Wpadłam w panikę. Przez chwilę sądziłam, że jest złośliwy, że wie o moich kłamstwach.

Wtedy właśnie uśmiechnął się z żalem i odetchnęłam. Skąd by mógł wiedzieć?

Wyszarpnęłam fakturę spod jego ręki i uniosłam ją w górę.

- Muszę się teraz tym zająć. - Udawałam, że czytam uważnie listę dostaw, ale trudno mi było zapomnieć o jego bliskości.

- Dobrze. - Z ulgą zobaczyłam, że wstaje i otrzepuje dżinsy. - Ciekaw jestem, jakie ty nosisz okulary?

Spojrzałam na niego podejrzliwie.

- Nie rozumiem.

- Nigdy jeszcze nie widziałem okularów, przez które można czytać do góry nogami.

Zrobiłam się purpurowa.

- Wynoś się! - krzyknęłam. - Wynoś się i daj mi pracować!

- Już się robi. Zarezerwuj dla mnie jeden taniec, dobrze?

Wyszedł nie czekając na broszurki, o które prosił Lois.

Broszurki, które absolutnie musiał mieć.

Do końca dnia byłam w złym nastroju, żałując, że byłam dla niego taka szorstka.

A nade wszystko pragnęłam pójść na tańce właśnie z nim, a nie z Mattem.

Życie jest dziwne.

Nigdy nie przypuszczałam, że w ciągu paru miesięcy zostanę bez męża, brata i matki. Nigdy nie przypuszczałam, że wyląduję w małej dziurze, gdzie wszyscy się znają. Nigdy też nie przypuszczałam, że będę tak niebezpiecznie blisko zakochania się w człowieku równie odległym od mego ideału.

Nigdy też, ani przez chwilę, nie przypuszczałam, że uwierzę w duchy.

Lecz duch Alana - uznałam, że moje sny nie były niczym innym niż obcowaniem z nim - nie przestawał mnie nawiedzać.

Gdy znalazły się jego osobiste rzeczy, uświadomiłam sobie, że to on mnie na nie naprowadził. Nie podeszłabym przecież inaczej do tego właśnie jeziorka, w tym akurat czasie. Alan kierował mnie ku nieznanemu przeznaczeniu i mogłam tylko ślepo wykonywać jego wolę.

Dowiedzieliśmy się od jednego ze znajomych Lois z biura szeryfa, że rzeczy Alana nie spoczywały na dnie jeziorka zbyt długo. Badania wykazały, że leżały one w wodzie od dwóch do sześciu tygodni.

Pełna przygnębienia przyjąłam te fakty do wiadomości.

Rzeczy Alana musiały się znaleźć w wodzie za sprawą

Jasona. Miałam ciągle przed oczami jego rękę wyciągniętą do tyłu, przygotowującą się do wyrzucenia czegoś do wąwozu. W żaden sposób nie umiałam wykreślić tego obrazu ze swej pamięci.

Nie udało mi się też nic wydobyć z Simone. Wszędzie spotykały mnie pod tym względem niepowodzenia.

Piątek, poprzedzający zabawę z okazji Bożego Narodzenia, był w biurze od rana wypełniony pracą. Dopiero gdy zrobiło się prawie wpół do dwunastej, mogłam zanieść depozyt do banku.

Po powrocie zobaczyłam stosy długich, metalowych prętów zalegające na naszym parkingu i zajmujące wszystkie miejsca do parkowania, tak że musiałam zostawić samochód przy sąsiednim domu.

Brent, z rękami w kieszeniach dżinsów, ze zrezygnowaną miną przyglądał się temu rozgardiaszowi. Przybrał pozę, która przypominała mi Jasona, i ogarnęła mnie tęsknota za nim. Pomimo wydarzeń, których byłam świadkiem, nie mogłam uwierzyć, by Jason mógł popełnić cokolwiek złego. Skoro wyrzucił rzeczy Alana, był jakiś powód. Musiał mieć jakiś powód.

- Co się tu dzieje? - spytałam.

- Ciężarówka pomyliła nasz adres z adresem budowy stajni. Lois myślała, że może chcieliśmy z jakiegoś powodu tutaj przechować pręty i pozwoliła je tu złożyć.

- Żartujesz!

- Niestety nie. Nadjechałem, kiedy kierowca wyładowywał ostatnią partię.



- Dlaczego nie kazałeś mu załadować ich z powrotem? - Brent potrafił być czasami denerwujący.

- Próbowałem to zrobić. - Nie zdawał sobie zupełnie sprawy, jak bardzo irytowała mnie jego niemożność stawienia czoła cemukolwiek, co wybiegało poza normalność. - Powiedział, że przepisy zabraniają mu brać z powrotem to, co zostało już wyładowane. Ale bądź spokojna, wezwałem już ludzi stamtąd, żeby przyjechali i zabrali te prety.

- Oby przyjechali jak najszybciej.

W tej samej chwili nadjechała z hałasem wielka ciężarówka.

- Zdaje się, że to oni. Aha, przyjechała ze mną Simone. Na drugą umówiła się u fryzjera. Myślała, że zjesz z nią lunch. Nie umówiłaś się jeszcze z nikim?

- Oczywiście, że nie. Pójdę już do biura. - Raz jeszcze z niepokojem spojrzałam na stopy żelastwa. - Pewien jesteś, że sobie poradzisz?

- O, tak. Migiem się z tym uwiniemy. Zajmij się Simone, dobrze? - Zawahał się, a potem dodał: - Ona bardzo dobrze się czuje w twoim towarzystwie. Dawno nie widziałem jej tak zadowolonej. Dobrze jej robi posiadanie przyjaciółki.

- Ma przecież Letycję. - Podejrzewałam głęboko, że zadowolenie Simone brało się raczej z posiadania przyjaciela nazwiskiem Matt Graven.

Brent machnął ręką.

- Mama jest przecież starsza. Nie zawsze ma się z nią kontakt. Simone potrzebny jest ktoś w jej wieku. Bardzo ci jestem wdzięczny, że spędzasz z nią czas, no i w ogóle...

Zabrzmiało to dziwnie, ale zrozumiałam, o co mu chodzi.

- Nie ma o czym mówić. - Za nic w świecie nie chciałabym być osobą, która by mu miała otworzyć oczy.

Uśmiechnął się do mnie nieśmiało. W jego oczach pozostał jednak ukryty niepokój, który zauważyłam już, gdy spotkałam go po raz pierwszy.

Niewykluczone, że wszystko wiedział.

A może kryła się za tym zupełnie inna przyczyna. Czy to możliwe, że Simone mówiła mi prawdę na temat rewolweru? Czy możliwe, by Brenta można było obwiniać o śmierć Alana? Jeżeli tak, Jason mógł schować rewolwer, żeby uchronić brata przed więzieniem. Gdyby zaś Simone wiedziała, że Brent zabił Alana, mogłoby jej zależeć na znalezieniu rewolweru... Mając go, zyskałaby władzę nad Jasonem.

Dlaczego by jednak Brent chciał zabić Alana?

Podobne rozważania pozbawione były sensu, chociaż zastanawiałam się mimo wszystko, co by powiedział Brent, gdyby się dowiedział o jej szalonym pomysle przeszukania domu Jasona.

Biuro było puste. Lois wyszła już na lunch. Zastanawiałam się, gdzie może być Simone. Kiedy wkładałam torebkę do szuflady biurka, usłyszałam głosy dobiegające zza pół-przymkniętych drzwi biura Jasona. Gdy przechodziłam obok nich, by powiesić płaszcz, usłyszałam jego głos. Jason mówił cicho i spokojnie:

- Znam cię przecież. Będiesz szczęśliwa dopiero wtedy, kiedy ktoś zacznie cierpieć. Nie pozwolę na to, Simone.

Zatrzymałam się z płaszczem w rękę, bezczelnie podsłuchując. Simone odpowiadała upartym głosem małej dziewczynki.

- Nie pozwolę, żebyś mnie traktował w ten sposób. Za dużo sobie pozwalasz. Radzę ci, przestań.

- Dobrze wiesz, kiedy przestanę - powiedział szorstko.

- Nigdy ci nie będzie dość, prawda? Będiesz mnie prześladował do końca życia. Gdybym tylko miała ten rewolwer, pożałowałbyś. Nie uda ci się go schować na zawsze.

Serce ścisnęło mi się w piersi. Mówił tak cicho, że prawie nie słyszałam odpowiedzi.

- Na zawsze może nie, ale na tak długo, jak długo będzie potrzeba.

Potem roześmiał się. Dźwięk tego szyderczego śmiechu zmroził mnie na całym ciele.

- Na tak długo, jak długo będzie potrzeba, Simone. - Powtórzył to zdanie wyraźnie. - Wiem, co się dzieje między tobą a Mattem Gravenem. Kusi mnie, żeby powiedzieć Brentowi prawdę i pal łąco, co będzie potem.

- Jaką prawdę? Że jego brat jest sadystą, któremu sprawia przyjemność zadawanie mi cierpienia?

- Powiem mu o Christopherze.

- O Christopherze! - Po okrzyku nastąpiła cisza. Gdy odezwała się po chwili, w głosie jej nie było już emocji, tylko powściągliwość. - Co masz na myśli?

- Nie rób ze mnie głupiego. Doskonale wiesz, co mam na myśli.

- Nie wiem. Czy grozisz mi odebraniem dziecka? -Odwaga zaczęła jej trochę wracać, ale była cały czas opanowana. - Potwór taki jak ty mógłby rzeczywiście coś podobnego wymyśleć.

- Mnie przedstawiasz zawsze jako potwora, a siebie jako uciemiężoną cnotę. - Jace świadomie kpił sobie z Simone. - Niczym nie grozę. Pojęcia nie mam, dlaczego nie wiedziałem dotąd, co się dzieje pod moim nosem, ale skoro już wiem, sądzę, że i Brent powinien się dowiedzieć.

- Ty nędzniku!

Wstrzymałam oddech słuchając tej wymiany zdań, wpatrzona w drzwi. Mówiąc te słowa Simone rzuciła się na Jasona. Pchnęła go do tyłu tak, że znalazł się w zasięgu mojego wzroku.

Daremnie waliła go pięściami. Uchwycił je jedną ręką i przyciągnął do siebie. Przez chwilę walczyła, aż przygniótł ją do szafki.

Widziałam jego profil. Krwawiła mu szczeka w miejscu, gdzie go zadrapała. Zafascynowana patrzyłam, jak usta rozchylają mu się w wilczym uśmiechu.

Szybkim ruchem pchnął Simone w bok i złapał swą wielką ręką za szyję. Trzymał ją tak zdaną na jego łaskę. Nachylił nad nią twarz, niemal jej dotykając.

- Więcej tego nie rób. Mógłbym skrócić ci kark jak zapałkę. I następnym razem to zrobię.

Był zimny i groźny. Nie znałam go takim.

Simone szamotała się, szarpiąc i drapiąc jego rękę, nie była jednak w stanie uwolnić szyi od żelaznego uścisku. Na jej twarzy zamiast złości gościł teraz strach. Zrobiła się czerwona, gdyż ucisk wzmagał ciśnienie w jej głowie.

Patrzyłam na to przerażona, ale nie byłam w stanie się ruszyć.

- Mógłbym ci skrócić kark i nic by mi się nie stało, gdybym opowiedział o tragicznych okolicznościach. -Pchnął ją tak brutalnie, że upadła na kolana. - Wystarczy, jak powiem, że moja niezrównoważona bratowa zaatakowała mnie i skrzyła kark, gdy ją odepchnąłem.

Uniosła obydwie ręce do szyi. Próbując złapać oddech, wydała z siebie chrapliwy, charczący głos.

Stał nad nią, a już sama jego postać wzbudzała przerażenie.

- Zapamiętaj to sobie, kiedy będziesz obmyślała swoje następne intrygi.

Musiałam się głośno poruszyć, bo odwrócił się. Stałam jak wryta. Oczy miał czarne, twarz pirata zahartowaną latami rabunków i grabieży.

Po chwili wszystko zmieniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Myślałam, że śnię.

- Dzień dobry, Anno. Simone przyjechała z Brentem specjalnie po to, żeby się z tobą zobaczyć. Miło pewnie spędzicie czas!

Simone wyszła z pokoju pocierając szyję. Ukradkiem zerknęła na Jasona. Idąc uważała, by się do niego nie zbliżyć. Gdy doszła do mnie, odwróciła się i spojrzała na niego ponuro.

- To jeszcze nie koniec!

Jason chrząknął. Pirat zniknął, jakby go nigdy tutaj nie było.

- Możesz z tym skończyć, kiedy tylko zechcesz. Wiesz, jak to zrobić.

Pożegnał nas wzruszeniem ramion i podszedł do komputera.

Skończyć idąc z nim do łóżka? Czy o to mu chodziło?

Przyznał tylko, że miał gdzieś schowany rewolwer. Czy nim właśnie został zabity Alan?

Wzięłam Simone na lunch, wyprowadzając ją pospiesznie z biura, by ukryć swoje zmieszanie.

Jason nie zaprzeczył, gdy obwiniła go o posiadanie rewolweru. Zanim zaczął jej grozić, drażnił się mówiąc, że będzie rewolwer ukrywał tak długo, jak długo to będzie potrzebne! Widziałam to na własne oczy i słyszałam na własne uszy.

- Ojej, moja szyja - jęczała Simone, gdy jechałyśmy moim samochodem do restauracji w Rahuncie. Wyciągnęła puderniczkę i oglądała w lusterku szyję. - Czy mam sińce? Czy możesz mi powiedzieć, w którym miejscu mnie trzymał? Myślałam, że mnie udusi. Widziałaś to?

- Tak. - Zerknęłam na nią. - Nie, nic nie widać. Nie ma żadnych śladów, widzę przecież.

- Słyszałaś, co mówił. - Zatrzasnęła puderniczkę. Mimo przerażenia, odzyskiwała dawną werwę. - Widzisz, ma jednak rewolwer. Sam się przyznał.

- Słyszałam, co mówił. - Byłam pełna rezerwy. Nie potrafiłam jeszcze uporządkować sobie dla własnej satysfakcji wszystkich oskarżeń i wyznań, jakie słyszałam w biurze.

- Widziałaś, co mi zrobił. - Gdy rozcierała szyję, jej twarz skurczyła się strachem na wspomnienie tego, co ją spotkało. - Omal mnie nie zabił. Myślę, że gdybyś tam nie przysłała, zabiłby mnie z pewnością.

- Widziałam.

- Pomożesz mi teraz, prawda? Kiedy już wszystko słyszałaś? - Wydawała się zagubiona. Drobną ręką wyciągnęła się do mnie i dotknęła mojego ramienia. - Pomożesz mi, prawda?

- Nie wiem. Zobaczymy. - Pierwszy raz zrozumiałam, dlaczego moja matka zawsze mówiła „zobaczymy”, ilekroć zamierzała powiedzieć „nie”. Gdybym powiedziała po prostu „nie”, Simone nadal by mnie prosiła, dopóki bym jej nie ustąpiła dla świętego spokoju.

A jeżeli jednak miała rację? Jeżeli Jason naprawdę ma rewolwer, z którego zabito mojego brata?

Nie chciałam o tym myśleć. Nie mogłam o tym myśleć. Simone westchnęła i oparła się wygodnie.

- Będziesz się pewnie bała mi pomóc po tym, co widziałaś. On jest niebezpieczny. A może nawet obłąkany. W każdym razie rozumiesz teraz, dlaczego nie wolno ci się w nim zakochać. Potrafi być czarujący, ale to zły, niegodziwy człowiek.

- Potrafię o siebie dbać - powiedziałam szorstko, nie chcąc się przyznać nawet przed sobą do swoich uczuć wobec Jasona. - Co on mówił o Christopherze? Co chce wykorzystać przeciwko tobie?

- O, słyszałaś i to. - Powieki o długich rzęsach opadły w dół. - Widzisz, ja nie zawsze jestem dobrą matką. Staram się jak mogę, ale to dla mnie zupełnie nowa sytuacja i nie ma nikogo, kto by mi

pomógł. Zapomniałam kiedyś zamknąć ogrodzenie basenu. Christopher podszedł do wody, ale na szczęście nadeszła Jenny. Ledwie zamoczył sobie nóżki. Jenny opowiedziała wszystko Jasonowi, a ten oskarżył mnie, że chcę utopić małego. - Chcąc dać upust swemu oburzeniu, dodała: - Jakbym potrafiła utopić własnego synka.

- Jak mógł tak pomyśleć?

- Wcale tak nie myślał - odpowiedziała Simone z rozdrażnieniem. - Posłużył się tym, żeby moje życie zamienić w piekło. Grozi mi zawsze, że powie o tym Brentowi. Powinnam była zresztą sama mu o tym wtedy powiedzieć - dodała rzucając na mnie spojrzenie z ukosa - ale Christopherowi nic się przecież nie stało i nie chciałam Brenta niepokoić. Może też wstydziłam się, że byłam tak nieostrożna.

Nie odzywałam się, próbując coś z tego wszystkiego zrozumieć. Po chwili zapytała:

- Ale nie myślisz chyba, że jestem bardzo złą matką? Powiedz! Nie zniosłabym, gdybyś tak myślała.

- Nie bądź niemądra, Simone. - Brent powinien pomyśleć, zanim się zdecydował zostawić jedno dziecko pod opieką drugiego. Simone jest, jaka jest, i nic na to nie można poradzić. Mogła być lekkomyślna, ale nigdy by przecież nie skrzywdziła własnego dziecka. Simone westchnęła z ulgą.

- Tylko z tobą można rozmawiać. Z nikim więcej nie mogę. Nawet z Brentem.

- A z Mattem? - wymknęło mi się.



- Z Mattem? - powtórzyła zdumiona. - Matt jest bardzo miły, ale on jest tak samo nudny jak Brent. Ufam tylko tobie. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby mi ciebie zabrakło.

W czasie lunchu odniosłam wrażenie, że Simone zastanawia się, czy by mi jeszcze czegoś nie wyznać. Zdecydowała się, gdy skończyłyśmy jeść i wsiadałyśmy do samochodu. Miałam ją podzucić do fryzjera.

- Tę torbę, która została znaleziona... - zaczęła i zaraz urwała.

Uruchomiłam samochód, starając się nie wykazywać zbyt dużego zainteresowania, aby jej nie spłoszyć.

- Co się stało z tą torbą? Zaczerpnęła oddechu.

- Jason wrzucił ją do wody.

- Jason? - Zdziwiłam się, że mi to mówi. - Dlaczego?

- Dlatego, że dał ją Brentowi do przechowania. Znalazłam ją przypadkiem. Chciałam ją zanieść na policję, ale zanim to zrobiłam, Jason dobrał się do niej. - Wzruszyła przy tym wymownie ramionami.

- Kiedy ją wrzucił do wody? - Sama nie wiem, dlaczego domagałam się kolejnych odpowiedzi, przyciskając ją do muru, ale słowa płynęły same, zanim je mogłam powstrzymać.

- Wyrzucił ją z mojego ganku parę tygodni temu. Próbowałam go powstrzymać, ale... - Znowu wzruszyła ramionami. - Sama widziałaś, jaki jest silny.

Było to jakieś wytłumaczenie. Czy na pewno? Może było jeszcze inne, zupełnie proste? Jeżeli rzeczy Alana ukryte zostały w domu Brenta, wydawało się bardziej prawdopodobne, że to on, a nie Jason je ukradł. Może to Brent zabił Alana, a potem namówił Jasona,

by schował narzędzie mordy? A jeżeli Jason nie wiedział, że Brent ma kosztowności Alana, czy nie zareagowałby tak właśnie, jak to widziałam, gdyby się o tym dowiedział?

Dlaczego jednak Brent miałby zabić Alana? I kim była ruda kobieta, która zastawiła w lombardzie monetę Alana?

Zdrowy rozsądek mówił mi, że pragnąc odpowiedzieć na te pytania, porywam się trochę z motyką na słońce.

Serce zaś mówiło mi, że wszystko jest możliwe, jeśli tylko oczyszczało Jasona z zarzutów.

Gdy wróciłam do pracy i zamknęłam za sobą drzwi, Jason wyszedł ze swego pokoju. Zwijając jakieś plany, pewnym krokiem i z wyzywającą miną szedł w stronę mojego biurka. Dżinsy opinały mu biodra. Sportowa koszula w kratę była rozpięta pod szyją, podwinięte rękawy odsłaniały muskularne ręce.

Oczy, które zdawały się tak czarne, gdy utkwione były w Simone, zmieniły się w spływający na mnie złocisty pył.

Nie chciałam go widzieć. Wolałabym, by go tu nie było.

W następnym momencie, gdy zobaczyłam, jak zapina guziki koszuli szykując się do wyjścia, poczułam się samotna i nieszczęśliwa.

Niech go diabli wezmą!

Doprowadził mnie do stanu absolutnego oszołomienia.

Zawsze do tej pory wiedziałam, na czym stoję i dokąd zmierzam. Całe moje życie było zaplanowane i starałam się zawsze z rozwagą wykonywać poszczególne założenia tego planu.

Gdy jednak spotkałam Jasona, moje życie zaczęło przypominać wędrówkę po labiryncie, z którego nie ma wyjścia. Nie mogłam go znaleźć, gdyż, jak podejrzewam, nie chciałam tego. Czy dlatego nie byłam w stanie wytłumaczyć sobie snów? Bo lękałam się, co mi powiedzą? Czy podświadomie obawiałam się, że Alan, gdyby przemówił, oskarżyłby Jasona?

- Muszę pędzić do Tennessee - oświadczył. - Aha, coś ci przyniosłem - powiedział wciągając na siebie tę straszliwie żółtą kurtkę.

- Mnie? Mnie coś przyniosłeś?

- Tak, proszę pani. Chwileczkę. - Poszedł do swego pokoju, a ja z niepokojem oczekiwałam na jego powrót.

Wrócił niosąc ciężką torbę, którą opuścił na moje biurko. Spojrzałam obojętnym wzrokiem.

- Podściółka dla kota? Po co mi to? Nie mam przecież kota.

- Nie masz? - uśmiechnął się szelmowsko. - A to co?

Z zapiętego do połowy na zamek błyskawiczny skafandra z kapturem wyłoniła się małeńka główka. Wydała z siebie żalosne miauczenie. Patrzyły na mnie żółte oczy osadzone w brązowym futerku.

- O, Jace! - Wyciągnęłam rękę.

- Kotka wnuczki Maggie okociła się, wszystkie zostały już rozdane, poza tym jednym. Powiedziałam Maggie, że go weźmiesz.

Cofnęłam rękę tak szybko, jak ją wyciągnęłam.

- W żadnym razie nie mogę go wziąć. Dziękuję ci, ale będziesz go musiał zostawić sobie.

- Tak naprawdę to on wcale nie jest dla ciebie - odpowiedział wesoło, przecząc sam sobie. - Pamiętasz, jak narzekałyście z Lois na świerszcze w magazynie? Pomyślałem sobie, że mając dobrego kota w biurze łatwo się będzie ich pozbyć.

Zmarszczyłam czoło.

- To było miesiąc temu. Przez ten czas zrobiliśmy dezynsekcję, a poza tym się ochłodziło. Twoja matka nigdy ci nie pozwoli trzymać tutaj kota.

Połaskotał zwierzątko za uchem.

- Na pewno pozwoli. Kiedy jej wytłumaczę, jak świerszcze męczą nasze urocze pracownice, z pewnością będzie zadowolona, że ma takiego miłego kota w biurze.

Spojrzał na niego z dumą. Zaczerwieniłam się i nie mogłam wykrztusić słowa.

- Przyniosłem również pudełko na podściółkę - dorzucił nie zwracając uwagi na moje zakłopotanie. - Możesz je postawić w magazynie.

- Ja? Mogę je postawić? - Zapomniałam od razu o krepującej dla mnie rozmowie o świerszczach. - To twój kot. I ty mu postawisz pudełko.

- Postawiłbym, ale nie mam czasu - odparł obłudnie. - Muszę jechać zaraz na budowę stajni i zobaczyć, czy przywieźli już pręty i czy stawiają je w odpowiedni sposób. Musisz się więc zająć tym sama. - Przytulił kociaka do mojej twarzy, nie zwracając uwagi na jego protesty. - Widzisz, lubi cię. Bardzo prędko się tu zadomowi.

Wkładając mi do rąk ciepłą małą kulkę, uśmiechnął się do mnie zachęcająco.

- Posłuchaj tylko, jak mruczy. W szafce jest dla niego śmietanka, a jedzenie przy zlewie. A na potem masz otwartą puszkę w lodówce.

Wyszedł machając wesoło ręką.

Ogarnięta bezsilną złością, postawiłam kotka na biurku.

Patrzyliśmy na siebie, a jego otwarte źrenice przypominały mi inną parę brązowych oczu.

Kotek zapiszczał niezdecydowanie, a jego ogon uniósł się prosto do góry. Ośmielił się i zamiauczał żałośnie.

- Męski szowinista - mruknęłam, słysząc odgłos odjeżdżającej ciężarówki Jasona. - No tak. - Uniosłam brwi przypatrując się małemu stworzonku. Ciągle miaucząc, kotek obwąchiwał torbę z podściółka. - Najpierw to co najważniejsze, co? Ustawmy ci więc klozecik.

Jak to możliwe, by ten sam człowiek, który tulił kotka, mógł poniewierać Simone?

Ciągle pamiętałam, co powiedział o rewolwerze.

Nie wierzyłam we wszystko, co mi mówiła Simone, ale trudno było zlekceważyć to, co słyszałam na własne uszy. Sposób, w jaki Jason się zachował, znowu nie pasował do człowieka, którego znałam. Trudno było pogodzić z sobą brutalnego pirata z czułym przyjacielem.

Nie czułam się szczęśliwa, gdy pokazywałam nowemu mieszkańcowi biura jego toaletę i gdy dawałam mu śmietankę, którą Jason zapobiegliwie przygotował.

Co on takiego dokładnie powiedział? Że może trzymać broń schowaną tak długo, jak długo będzie potrzeba. Jak będzie potrzeba? Co za potrzeba?

RS

Tej nocy zdominowała moje sny rudowłosa kobieta.

Przypominała postać z nierealnego świata. Miała długie i falujące włosy. Spływały do przodu, osłaniając jej twarz, gdy uklękła przy moim leżącym bracie i wzięła coś z jego piersi. Nie był martwy, ale leżał nieruchomo, związany niewidzialnymi sznurami. Gdy kobieta wstała, trzymając coś w ręce, włosy wirowały wokół jej twarzy niczym czerwona zawierucha. Można by pomyśleć, że rozsypywał je wiatr. W ręce miała rewolwer: wzniosła go wysoko do góry, jakby składała ofiarę bogom.

Oczy Alana poruszyły się - ciało pozostało nieruchome, skrępowane niewidzialnymi więzami - i spojrzały prosto na mnie.

- Nie pozwól jej na to, Annabelle. - Jego usta nie drgnęły nawet, zrozumiałam więc, że to jego duch rozmawia bezpośrednio z moim, a rozpacz sprawia, że myśli jego są słyszalne. - Annabelle, powstrzymaj ją.

Ponieważ prośby były tak usilne, ruszyłam za nieznaną kobietą, ani razu jednak nie widziałam jej twarzy.

Szłyśmy wśród urwistych skał i głazów, pośród kolczastych drzew i pomiędzy skalistymi grzbietami, które rzucały cień. Biegła przed siebie tańcząc, czasem wynurzając się z cienia, zawsze parę kroków przede mną, nigdy w zasięgu mojej ręki, a rade pukle jej włosów migotały jak płonąca pochodnia.

Wspinałyśmy się wyżej i wyżej, aż wreszcie znalazłyśmy się pośród chmur. Otoczyły mnie i nie mogłam dostrzec ani jej postaci, ani włosów, ani w ogóle nic poza gęstą, białą mgłą. Wyciągnęłam rękę, ale natrafiłam na pustkę. Czułam, jak ogarnia mnie straszne przerażenie, gdy spróbowałam zrobić krok naprzód, ponieważ poczułam, że pogrążam się, spadam...

- Alan! - Mój własny głos, wypowiadający krzykiem jego imię, obudził mnie nagle.

Poduszkę miałam moką od łez, serce waliło mi jak szalone. Moją sypialnię przenikał spokój, który spływał z gór.

- Alan - szepnęłam zrozpaczona.

Następnego dnia poznałam Tiffany Underwood. Przyszła do salonu piękności, gdzie się czesałam przed bożonarodzeniowym balem. Poznałam ją od razu. Oszalamiająca urodą, ruda dziewczyna wkroczyła na salę z taką miną, jakby to do niej należał cały zakład. Jej wspaniałe włosy przypominały włosy kobiety z mojego snu.

- Dopiero przyjechałam ze szkoły - zwróciła się do Kay. Głos miała niski. Jej porcelanowa cera i okrągłe kształty przypominały Simone. - Znajdziesz dla mnie chwilę?

Fryzjerka, która kończyła strzyc włosy siedzącemu przy mnie mężczyźnie, była dość wylewna.

- Oczywiście, Tiffany. Jedną chwileczkę. George już mi płaci. Zamiotę tylko podłogę i już możemy zaczynać.

Moja mama, która spotkała ją po śmierci Alana, powiedziała mi, że Tiffany zupełnie się załamała.



- Biedne dziecko. - Oczy mamy były czerwone i zapuchnięte. - Z tego, co mi mówił Alan, bałam się, że to uczucie tylko z jego strony. Znali się przecież tylko parę tygodni. Ale po spotkaniu z nią zrozumiałam, że kochała go tak samo jak on ją.

Może to i prawda, ale w półtora roku później Tiffany Underwood miała się dobrze, nad wyraz dobrze - wyglądała jak kot, któremu nie żałowano śmietanki.

Stare powiedzenie mówi, że czas leczy wszystkie rany. Nie mogłabym obwiniać Tiffany, że żyje dalej własnym życiem. Była młoda i piękna, mogła mieć innych chłopców. Jakim prawem miałabym ją potępiać, że zostawiła przeszłość za sobą?

Charles twierdził, że to nie Tiffany Underwood sprzedała monetę, ale pracownik lombardu nie pamięta zapewne, jak wygląda klient, który był u niego przed tygodniem, a zwłaszcza przed miesiącem. Może Alan dał jej monetę przed śmiercią? To byłaby jedyna możliwość. Jeżeli potrzebne jej były pieniądze, a Alan przestał ją już obchodzić, mogła ją sprzedać.

Cierpiałam myśląc o Alanie, który zginął, zanim jeszcze dowiedział się, czym jest życie i czym jest miłość.

Jane suszyła mi ręcznikiem włosy, podczas gdy Tiffany dopiero je umyła. Widziałam w lustrze, jak Kay zawija biały ręcznik na jej kasztanowych lokach.

Był to typowy małomiasteczkowy salon piękności. Długie lustro biegło wzdłuż ściany, a pod nim każda fryzjerka miała własną umywalkę i przybory. Wszystkie stanowiska były dziś zajęte. Wśród

klientów było dwóch mężczyzn. Nowa moda docierała do najmniejszych miejscowości i Rahunta nie była tu wyjątkiem.

Gdy Tiffany okręciła się na krześle i usiadła przodem do lustra, Kay zwróciła się do niej z porozumiewawczym uśmiechem.

- To jest Anna Levee. Pracuje u Forresterów.

- Współczuję. - Tiffany wyraziła swoje myśli prosto i bez ogródek.

Jej otwartość zbiła mnie trochę z tropu.

- Na razie jestem zadowolona. Chociaż wiele się jeszcze muszę nauczyć.

Rzuciła na mnie spojrzenie spod długich rzęs, jakby nie bardzo jej przypadło do gustu to, co zobaczyła.

- Dam pani zupełnie bezinteresownie dobrą radę. Niech się pani trzyma jak najdalej do Jasona Forrestera i niech pani nie wierzy w to, co on mówi.

Mówiła beznamiętnym tonem, nie troszcząc się, czy ktoś ją słucha. Szum głosów przycichł nieco.

Jane, pochłonięta czesaniem moich włosów, zacisnęła wargi. Kay robiła wrażenie zaniepokojonej.

Byłam nadal ostrożna.

- Przeważnie pracuję z Letycją i Brentem, z Jasonem rzadko.

Tiffany wzruszyła ramionami.

- A, Brent. - Wyraźnie złagodniała. - Brent jest bardzo miły, ale nie ma kręgosłupa. - Nieświadomie powtarzała opinie Simone. - Wszyscy wiedzą, że Jason wszystkim rządzi. Brent robi to, co mu każe starszy brat.

- Nie zauważyłam, żeby ktokolwiek poza Letycją wydawał rozkazy.

Tiffany wydawała się już znużona.

- Letycja sądzi, że świat zaczyna się i kończy na Jasonie. Jeśli zostanie tam pani dłużej, zobaczy pani, że Jason lubi robić wszystko po swojemu. Potrafi okręcić Letycję wokół palca, a Brent... Brent jest zbyt naiwny, żeby rozumieć, co się dzieje.

- Większość mężczyzn lubi robić wszystko po swojemu. Zielone oczy patrzyły na moje odbicie w lustrze z politowaniem.

- Jace Forrester nie jest „większością mężczyzn”. Większość mężczyzn stosuje się do reguł gry, on nie. Bierze co chce i niszczy każdego, kto mu stanie na drodze.

- Jak pani chce, do góry czy w dół? - przerwała gwałtownie Jane.

Już podczas poprzedniej wizyty dowiedziałam się, co Jane myśli o Tiffany. Ja sama nie miałam o niej wyrobionego zdania. Mój brat nie mógłby się zakochać w zepsutej smarkuli.

- Może by zakręcić loki na końcach? Tak sobie myślę, żeby z jednej strony ściągnąć włosy do tyłu. - Pokazałam, jak to zrobić. - Może trochę polakierować? Jak się pani wydaje?

- Bez lakieru. - Zaczęła mi upinać włosy, przygotowując je do strzyżenia. - Ma pani szczęście. Mało kto ma na tyle gęste włosy, żeby móc je tak nosić.

- Opowiedziałam pani o Jasonie Forresterze dla pani własnego dobra - odezwała się Tiffany do mojego odbicia w lustrze. - Nikt poza mną w tym mieście pani tego nie powie.

Nie była to prawda. To samo mówiła mi Simone. I Matt. Problem polegał na tym, że nie chciałam wierzyć żadnemu z nich.

- Czy nie była z nim pani kiedyś zaręczona? - spytałam.

Umiała zapanować nad sobą. Nie zaczerwieniła się ani nie zaczęła jąkać, mimo że musiała sobie zdawać sprawę, co większość mieszkańców miasta myśli o niej, o Jasonie i o moim bracie.

Spojrzałam jej prosto w oczy w lustrze i byłam wstrząśnięta, gdy nie zobaczyłam w nich nic. Ani gniewu, ani nienawiści, ani w ogóle żadnego uczucia.

Pustka. Czy sprawiła to utrata Alana?

- Dopóki nie zamordował człowieka, którego kochałam. - Była tak otwarta jak Jason.

- Słuchaj, Tiffany. - Jane cedziła wolno słowa. - Mogłaś po prostu zerwać zaręczyny.

- Daj spokój, Jane. - Tiffany była zupełnie obojętna. - Znasz Jasona. Pamiętasz, jak pobił kiedyś Tommy'ego Berrella. A Alan był taki dobry, on nigdy by...

Opuściła wzrok, ale przedtem jeszcze oczy jej rozjaśniły się blaskiem.

- Nie mówiłam nic Jasonowi, bo wiedziałam, że Alan to nie partner dla niego. No i okazało się przecież, że miałam rację.

Wyraz twarzy Jane mówił niedwuznacznie, że nie uwierzy w nic, co wymierzone jest przeciw Jasonowi.

Gdy wychodziłam, powiedziała konfidencyjnym tonem.

- Niech pani nie zwraca uwagi na to, co mówi Tiffany. - Kiwnęłam głową w jej stronę. - Ona flirtuje ze wszystkimi.

Może i tak było, ale pełna życia, otwarta dziewczyna ze zdjęcia Alana dostała już nauczkę. Tak mi się przynajmniej wydawało. Teraz jednak byłam już przekonana, podobnie jak moja mama, że Tiffany kochała Alana.

Zatrzymałam się w sklepie, by kupić rajstopy na wieczór. Byłam tam dłużej niż zamierzałam. Zatrzymałam się jeszcze przy stoisku z pocztówkami, by wybrać coś odpowiedniego dla jednego z wnuków Boba, który właśnie kończył cztery lata. Gdy doszłam do kasy, słońce było już nisko, prawie nie było go widać za kłębiastymi, zimowymi chmurami.

Dlatego dopiero w ostatniej chwili spostrzegłam parę, która stała dwa sklepy dalej w cieniu bramy.

Tiffany nie zauważyła mnie. Nie widział mnie też stojący z nią mężczyzna. Zbyt byli pochłonięci rozmową. Bardzo poważną, jak mi się wydawało. Trzymali się za ręce nie zważając na otoczenie, jakby się dobrze znali. Zanim się rozstali, Tiffany wspięła się na palce i pocałowała go w policzek, mówiąc mu coś do ucha.

Mężczyzna odpowiedział równie cicho.

Odeszła od niego, a on patrzył, gdy szła w kierunku salonu piękności, gdzie miała zaparkowany samochód. Kiedy w końcu odwrócił się, by ruszyć przed siebie, ruchy jego były powolne, jakby myśli miał zajęte czymś innym niż najbliższe otoczenie.

Albo jakby lękiem napępiał go powrót do domu.

Szybko odwróciłam się w kierunku wystawy, aby Brent Forrester nie mógł mnie zobaczyć, gdy przechodził ulicą kierując się do swego BMW w kolorze cytryny.

Nasza grupa pokerowa miała zamiar wziąć razem udział w bożonarodzeniowym balu. Sprawiałam sobie na tę okazję prostą, czerwoną aksamitną sukienkę, którą kupiłam w jednym z eleganckich sklepów w Helen. Kolor sukienki odbijał się korzystnie od mojej karnacji i dodawał trochę życia szarym oczom, a dopasowany stan podkreślał moją szczupłą talię. Za szmaragdowy klips na uchu wetknęłam świąteczną gałązkę i gotowa byłam do zabawy.

Pewnie nie będę z mężczyzną, którego wybrało moje serce. Nie byłam nawet pewna, czy mogę mu ufać. Postanowiłam jednak dobrze się bawić, choć nie przyznawałam się, że dobra zabawa zależała od tego, czy spotkam Jasona.

Na późny wieczór zapowiadany był deszcz, ale gdy czekałam, aż po mnie przyjadą, nic na to jeszcze nie wskazywało. Powietrze było łagodne, a księżyc, wielki i biały, przypominał lśniącego ducha, który płynął majestatycznie po ciemniejącym niebie.

Z mojego domku na skraju wąwozu, w świetle unoszącego się nade mną księżycy, patrzyłam na piękne i groźne rozlewisko, które stało się w ostatnich tygodniach tak ważną częścią mojego życia. Gdyby tylko umiało mówić, gdyby mogło opowiedzieć o wszystkich ludzkich dramatach, które rozegrały się na jego brzegach i w jego głębinach... Gdyby tylko mogło mi oddać z powrotem mojego brata.

O zmroku, w zaczarowanej poświacie, wąwóz wzbudzał jak zwykle grozę. Migocące cienie przywodziły na myśl duchy, które

zamieszkiwały na spadzistych zboczach, cienie ludzi, którzy stracili życie w jego otchłani. O swym bracie myślałam zawsze ze smutkiem. Nie był to jednak gwałtowny żal. Alan odszedł. Nie byłam w stanie sprawić, by wrócił i pogodziłam się z tym. Tyle przynajmniej dał mi pobyt w Rahuncie. Gdybym tylko mogła jeszcze zrozumieć, czego ode mnie chciał...

Naszło mnie znowu uczucie, które tak często mnie nawiedzało, gdy patrzyłam na skraj wąwozu. Zawsze to samo przenikające chłodem doznanie. Bardziej niż kiedykolwiek biło od niego zło, jak gdyby ktoś obserwował mnie, mając zamiar rzucić się na mnie i wciągnąć w ciemne otchłanie, z których nie było ucieczki. Emanująca z jakiegoś źródła nienawiść rozlewała się wokół mnie, osaczała i dusiła.

Trzęsłam się cała na mojej ciepłej, oszklonej werandzie.

To nie Alan mnie tropił, lecz jakieś jakieś upiorne widmo. Straszło mnie tak, że nie byłam w stanie podziwiać majestatycznego piękna, które miałam przed oczami.

Dopiero Matt, który przyjechał z całą grupą, by zabrać mnie na bal, pozwolił mi pozbyć się tego złośliwego ducha.

W sali Amerykańskiego Związku Kombatantów, mieszczącej się na przedmieściach Rahunty, było tak wesoło, że brakło miejsca na duchy. W westybulu, do którego się wchodziło i zostawiało płaszcze w nastroju radosnego oczekiwania, królowała ogromna choinka. Z głębi płynęły dźwięki muzyki. To grała orkiestra sprowadzona specjalnie na tę okazję z Nashville.

Panowała ożywiona atmosfera, nie pozwalająca myśleć o duchach, które by mogły zepsuć wieczór. Budynek wypełniał tylko duch zabawy, jaki ogarnął przybywających gości. Mój nastrój w czarodziejski sposób uległ zmianie.

Weszliśmy do sali, której ściany udekorowane były wiankami z ostrokrzewu i świecami. Podobne maleńkie wianuszki zdobiły każdy ze stołów nakrytych białym obrusem, ustawionych wokół parkietu do tańca. Kwiaty poinsecji okalały estradę, na której orkiestra grała melodie country i western, śpiewane zmysłowym głosem przez piosenkarkę w stylu Tanyi Tucker.

Rozsiadliśmy się od razu przy stole, wstając jednak niemal od razu, by udać się do okazałego bufetu. Gdy nakładałam sobie na talerz krewetki i szynkę pieczoną w miodzie, czekając aż się zwolni miejsce przy sałatkach, zaczepiła mnie Kathy. Była to jedna z nauczycielek należąca do naszej grupy, która nosiła długie, aż do pasa, warkocze.

- Spójrz na Tiffany Underwood. Co za wspaniała suknia. Musiała kosztować majątek.

Suknia Tiffany ze złotej lamy błyszczała i lśniła, a ja zapomniałam, że miałam pozostawić swoje kłopoty w domu.

Czy Jason ją kiedyś kochał? Co miała znaczyć ta, nad wyraz przecież przyjacielska rozmowa, jaką prowadziła dzisiejszego popołudnia z Brentem? Czy kobieta jest w stanie zaprzyjaźnić się blisko z bratem człowieka, którego publicznie nazywa mordercą? Jak Brent może przyjaźnić się z kobietą, która oskarża jego brata o morderstwo?

A jeśli nie są przyjaciółmi, to czym mogą być? Kochankami?



Nie dopuszczałam tej myśli do siebie. Wydawało mi się to zbyt nieprawdopodobne.

A jednak, gdy tak stali razem, w sposobie, w jaki trzymali się za ręce, była między nimi niewątpliwie pewna zażyłość.

Czy to możliwe, że Simone zbliżyła się do Matta, gdyż podejrzewała Brenta o romans z Tiffany Underwood?

Nie spodziewałam się tego po Brencie, ale byłam już na tyle stara, że nie zrobiło to na mnie większego wrażenia. Przestało już mnie dziwić, co ludzie robią, a czego nie robią. Mając trzydzieści lat nie byłam już tak naiwna jak wtedy, gdy miałam lat osiemnaście.

Kathy wzgardziła sałatką z makaronu i zabrała się od razu do zapiekanki z brokułów. Nałożyłam sobie każdej po trochu, podczas gdy Tiffany i jej towarzystwo odeszło na drugi koniec sali.

- Ciekawe, czy są już Forresterowie? - Kathy rozejrzała się dokoła. - Gdyby tak Tiffany spotkała się twarzą w twarz z Jasonem...

- Mam nadzieję, że obydwójce są na tyle kulturalni, że jakoś by z tego wybrnęli - odpowiedziałam, starając się nie mówić zbyt ostro.

- Ooo, daj spokój - parsknęła Kathy, śmiejąc się z mojej naiwności.

Matt wraz z kolegami poszli po napoje, zostałyśmy więc we cztery. Poza mną i Kathy była jeszcze Pauline i Lindy.

Rozmowa skoncentrowała się na Forresterach, a zwłaszcza na Jasonie.

- Cóż to za mężczyzna - westchnęła Lindy. - Cudownie musi być z nim razem pracować!

Odpowiadałam wymijająco. Kiedy zobaczyły, że wiedzą o Jasonie więcej niż ja, jedna przez drugą zaczęły mi o nim opowiadać.

- Dla tutejszych mieszkańców to chodząca legenda -powiedziała Kathy.

- Naprawdę? - bąknęłam uprzejmie.

Kathy, gdyby tylko się postarała, mogłaby być naprawdę atrakcyjna. Miała ładną twarz, ale też niestety niedobry zwyczaj nerwowego podrzucania warkoczy raz do przodu, raz do tyłu.

- Na pewno znasz te wszystkie plotki - wtrąciła Lindy.

- Słyszałaś, jak chciał pokazać wszystkim, co potrafi, i wjeżdżał w wąwozie na motocyklu pod górę. Albo jak się omal nie zabił, lecąc na lotni z samej krawędzi. Mam nadzieję, że ma teraz więcej oleju w głowie.

Te dziewczyny nie były wiele lepsze od Lois, która była jeszcze w dodatku najwyraźniej w Jasonie zadurzona.

- Uważają go tu za prawdziwego człowieka gór, któremu nie ma równych - dodała Pauline. Ona jeszcze miała najwięcej rozumu z nich wszystkich.

- Nic o tym nie wiedziałam. - Nie byłam pewna, co miała na myśli mówiąc o „człowieku gór”, więc zapytałam.

- Wkrótce potem, jak tu przyjechałam, siedem lat temu, dwóch członków ekipy ratowniczej odniosło obrażenia próbując ratować człowieka, który spadł przy wspinaczce - wyjaśniała Pauline. - Jason spuścił się w dół wąską szczeliną, a właściwie prześliznął się przez wąziuteńkie szczeliny. Zawiązał na dole liny jako asekurację dla pozostałych osób, by mogły spuścić się na dół. Opowiadał mi o tym

felczer, który był z nimi. Rzadko coś robi na nim wrażenie, ale tego dnia był naprawdę pełen podziwu.

- Ja jestem pod wrażeniem, kiedy tylko na niego patrzę - wyszeptała Kathy z błyszczącymi oczami.

Pozostałe dziewczyny roześmiały się.

- Pracuję głównie z Brentem. - Miałam gorącą nadzieję, że udaje mi się ukryć moje uczucia.

- Brent! - Kathy machnęła ręką. - Jest przystojny, taki jak trzeba, ale bardziej mi się podoba Jason.

- Prawdziwy mężczyzna - zgodziła się Lindy. Z pewnością była znakomitą nauczycielką gimnastyki, ale wolałabym już, aby zmieniła temat.

- Ależ Brent jest w pewien sposób męski - wystąpiłam lojalnie w jego obronie. - A czy nie pomyślałyście sobie, że życie z takimi prawdziwymi mężczyznami może być piekłem?

- Kochana moja, kiedy ja wcale nie chcę żyć z Jasonem! Chciałabym tylko wypożyczyć go sobie na noc lub dwie. - Kathy chwyciła koniec warkocza i przejechała nim znacząco po ustach.

- Na szczęście, jeszcze się nie ożenił. - Uśmiechnęłam się szeroko. - Bo gdyby się ożenił, mógłby się zmienić w starego domatora, jakim jest Brent, i nie miałybyśmy o kim rozmawiać. A to byłoby przecież straszne.

Zachichotała myśląc, że żartuję. Nie była zbyt inteligentna, nie była nawet na tyle lotna, by zrozumieć, jak większość ludzi, o co mi chodzi.

Ogarnęła mnie fala tak wielkiej tęsknoty, że zabrakło mi tchu. Nie miałam ochoty być na tym przyjęciu z Mattem, z Kathy i innymi znajomymi. Chciałam być z Jasonem.

- Nie mogę sobie wyobrazić Jasona jako domatora. - Pauline roześmiała się na samą myśl o tym.

Zbyt wiele mnie kosztowało myślenie o nim. Miałam nadzieję zapomnieć tego wieczora o wszystkich problemach i dobrze się bawić, a tymczasem ten nieznośny facet, nie będąc nawet przy mnie, zepsuł mi całą zabawę. Niósł z sobą podobny nastrój jak moje sny z Alanem.

Kathy paplała dalej.

- Nie sądzę, żeby ktoś się palił wychodzić za niego za mąż po tym skandalu w zeszłym roku. Nawet gdyby miał kupę forsy.

- Równie dobrze może nie mieć. - Lindy rozejrzała się wokół znacząco. - Ta dziewczyna z Kanady, z którą się Brent ożenił, daje mu porządnie w kość.

- Jak słyszę, gania za pieniędzmi i mężczyznami -przypadła Kathy. Nie dostrzegła na szczęście mojej z trudem skrywanej chęci złapania i pociągnięcia jej za warkocze. I to mocno.

- Brent powinien był się ożenić z Tiffany. To by wyszło im wszystkim na dobre - stwierdziła spokojnie Pauline.

Zapomniałam o warkoczach Kathy.

- Chyba Jason?

- Jason? - Wszystkie trzy spojrzały na mnie, jakbym była stuknięta.

- Jason miał przecież poślubić Tiffany Underwood - powiedziałam.

- Tak, ale najpierw miał się z nią żenić Brent - odparła Kathy.

- Tiffany była zaręczona z Brentem?

- Tak, zanim nie wyjechał do Kanady - potwierdziła Lindy. -

Państwo Forrester bardzo się z tego cieszyli, bo żyli w przyjaźni z Underwoodami.

- Brent i Tiffany mieli się pobrać? - Próbowałam wszystko to ułożyć sobie na nowo.

- No, tak, tyle że Brent wrócił z Simone. - Lindy zamyśliła się. - Tak sobie czasem myślę, czy Jason nie zaręczył się z nią trochę dlatego, żeby wynagrodzić jej, że została porzucona przez jego brata.

Serce mi podskoczyło z radości, ale odepchnęłam radosne myśli na bok, aby zająć się bardziej palącymi kwestiami. Tłumaczyło to wzruszającą scenkę pomiędzy Brentem i Tiffany dzisiejszego popołudnia.

Ale czy na pewno? Tiffany musiała mu wiele przebaczyć, skoro była z nim w tak przyjaznych stosunkach po tym, jak zostawił ją na lodzie.

A Brent? Z pewnością był bardzo przywiązany do Simone, to się czuło, ale nie afiszował się ze swymi uczuciami. Umiał nad sobą panować. Pod tym względem bardzo przypominał Jasona, który maskował wszystko wesołym uśmiechem i z rzadka tylko dawał znać o swoich prawdziwych uczuciach.

Myślami pobiegłam znów w stronę Brenta.

A jeżeli już po ślubie z Simone Brent odkrył, że nadal kocha Tiffany? Wszyscy uważali Simone za przepiękną, brakowało jej jednak dojrzałości. A tego właśnie mógł oczekiwać od swojej żony

mężczyzna taki jak Brent. Zdarza się przecież często, że mężczyzna zakochuje się bez pamięci i kończy się to małżeństwem z zupełnie nieodpowiednią kobietą.

A może przyjął spokojnie do wiadomości zaręczyny Tiffany z bratem, bo wiedział, że Jason jej nie kochał, a ona jego? A potem, gdy pojawił się Alan, który rozkochał w sobie Tiffany naprawdę, Brent nie mógł tego po prostu znieść?

Gdy zabił Alana, mógł przybiec do Jasona ogarnięty paniką. Pasowałoby to do tego, co mówiła Letycja. Jason robił wszystko co mógł, by pomóc bratu. Potem Simone odkryła...

Gdy powróciłam ze swoich rozmyślań na ziemię, okazało się, że Kathy nadal rozmawia o Jasonie. A także o moim bracie. Gryzła przy tym marchewkę.

- Dziwne, że Jason nie zastrzelił Tiffany, tylko tego nauczyciela. Tacy ludzie jak on uważają, że wszystkie problemy da się rozwiązać przy użyciu siły. - Z jej głosu przebijał podziw.

- Zaraz, zaraz, Kathy. Jeżeli on nigdy nie kochał Tiffany, dlaczego by miał strzelać do jej kochanka?

Spojrzała na mnie tak, jakbym nie była przy zdrowych zmysłach.

- Miej do mnie zaufanie, Anno. Trochę już tu przecież mieszkam - powiedziała, pedantycznie odmierzając słowa. - Jason to władczy typ. I sądzi, że to, co należy do niego, jest jego wyłączną własnością. Bez względu na to, czy mu to potrzebne, czy nie. Wiem, co mówię. Nie na darmo przecież uczę psychologii.

Ugryzłam się w język, żeby jej ostro nie powiedzieć, ile zła wyrządzają amatorzy-psychiatrzy, którzy rozsiewają nieprawdziwe i złośliwe wiadomości o zupełnie normalnych ludziach. Nie dostrzegłam w Jasonie chęci posługiwania się siłą.

No, może poza tym jednym razem, gdy Simone zaatakowała go w biurze. Ale on przecież się po prostu bronił, tłumaczyłam sobie.

- Mnie tam wszystko jedno. - Kathy nie zdawała sobie sprawy, jak mnie korciło, żeby uderzyć ją za ten protekcyjnalny uśmiezek. - Tak sobie tylko myślę, że lepiej by na tym wyszedł, gdyby zabił Tiffany zamiast Alana.

- Poproszę o sól - wtrąciłam. Trudno mi było zachować miły wyraz twarzy.

Gdy ujrzałam towarzystwo Jasona wchodzące na salę, musiałam zebrać wszystkie siły, by udawać, że absolutnie mnie to nie interesuje. Ale przyszło mi to ciężko. Mało kto ubrany był w smoking, jak Brent i Jason, a Jason wyglądał w smokingu wspaniale. Moja czerwona suknia pasowałaby znakomicie do czerni jego ubrania. Ile bym dała za to, by móc z nim być!

Marzenie zupełnie nielogiczne i niestosowne, zważywszy moje zmieniające się ciągle opinie o Jasonie, a także fakt, że nadal przecież nie wiedziałam, jaką rolę odegrał w zabójstwie mojego brata.

Z bólem serca spostrzegłam, że nie jest sam. Pojawił się wprawdzie z grupą, do której należała Simone z Brentem, Lois ze swoim chłopakiem i jeszcze dwie pary, których dobrze nie widziałam, ale kobieta, która mówiła mu coś do ucha, najwyraźniej stanowiła z nim parę.

Była to olśniewająca rudowłosa dziewczyna, której włosy przypominały połyskujące loki Tiffany, choć na tym całe podobieństwo się kończyło.

Tiffany obdarzona była dobrym gustem dziewczyny wychowanej w sposób konserwatywny. Osoba, która wisiała na ramieniu Jasona, miała na sobie czarną sukienkę, obcisłą w biodrach, odsłaniającą do połowy piersi. Długie kolczyki, które zwisały z jej uszu, robiły wrażenie czegoś bardzo taniego, choć niewykluczone, że tylko tak wyglądały. Dłonie o paznokciach wymalowanych na wyzywający, czerwony kolor trzymały władczo Jasona za rękaw. Na powiekach musiała mieć całe tony zielonych cieni. Widziałam je z miejsca, gdzie siedziałam, mimo przyćmionego światła.

Zastanawiałam się, czy to ta, którą zabrał z sobą do Newady, a potem, czy była kiedyś w Chattanoodze. Jej kolczyki mogły pochodzić z tamtejszego lombardu.

Próbowałam nie zwracać uwagi na zazdrość, która mnie ogarniała, gdy Jasona śmiał się ze wszystkiego, co mówiła.

To ja mogłabym trzymać Jasona pod rękę, gdybym tylko nie przyjęła tak szybko zaproszenia Matta. Mogłabym...

Złapałam się na tym, że zaciskam zęby. Postanowiłam się odprężyć. To śmieszne. Ten człowiek doprowadza mnie do szaleństwa. W końcu to przecież tylko mężczyzna.

Spojrzałam na Jasona w nadziei, że zobaczę, jak robi z siebie błązna.



Pomagał usiąść swojej towarzyszce na krześle w sposób niezwykle elegancki. Uśmiechnął się do niej i spytał o coś, a ona zareagowała lekkim potrząśnięciem głowy.

Simone, która siedziała po drugiej stronie stołu, nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Włosy miała upięte do góry, tylko parę kosmyków wiło się wokół jej twarzy. Na szyi, w uszach i na dekolcie jej drogiej sukni w kolorze lawendy lśniły brylanty.

Było zupełnie jasne, co Simone myśli o towarzyszce Jasona.

Kiedy jednak mnie dostrzegła, twarz jej rozjaśniła się i pomachała do mnie z daleka ręką.

Pomachałam jej w odpowiedzi i dotknęłam ramienia Matta.

- Simone tam siedzi z Brentem.

Odwrócił się z radością. Wszystkim łatwo było dostrzec jego uczucia. Bez względu na to, co ich łączyło, Matt -najwyraźniej był zakochany w Simone.

Zrobiło mi się smutno. Simone z pewnością nigdy nie będzie chciała układać sobie życia z kimś takim jak Matt. Czekало go bez wątplenia cierpienie. A co będzie, jeżeli podzieliła się z Mattem swoim szaleńczym pomysłem przeszukania domu Jasona i spróbuje namówić go, by jej w tym dopomógł, skoro ja nie mogę...

Włosy zjeżyły mi się na głowie na samą myśl o tym. Patrząc na jego otwartą twarz wiedziałam, że zrobi wszystko, o co go tylko Simone poprosi.

Westchnęłam i spróbowałam zająć się słuchaniem muzyki. Miałam się przecież dobrze bawić. I wygnać wszystkie duchy,

przynajmniej tego wieczora. Ale łatwiej mi było nie zwracać uwagi na uczucie Matta do Simone niż udawać, że nie obchodzi mnie Jason.

Patrząc w stronę estrady, zauważyłam towarzystwo Tiffany. Chociaż dokładnie obserwowałam, nie widziałam, by Brent wymienił z Tiffany jakikolwiek uśmiech czy spojrzenie, choć siedzieli blisko siebie. Zachowywali się tak, jakby nie wiedzieli o swoim istnieniu.

Pomyślałam, że jest to trochę dziwne. Pamiętałam przecież scenę, której byłam świadkiem tego popołudnia. Zrozumiałe, że Tiffany nie chciałyby rozmawiać z Jasonem, ale nie sądziłam, że nie zechce się przyznać do znajomości z Brentem.

Nie marnowałam jednak czasu na domysły. Po raz nie wiadomo który przypominałam sobie, że jestem tu po to, by miłe spędzić czas i zapomnieć o swoich problemach.

Po jedzeniu zaczęliśmy tańce. Parkiet był wypełniony - wydawał się zbyt mały, by pomieścić wszystkie pary kołyszące się w rytm muzyki. Ułatwiało mi to decyzję nie-spuszczania wzroku z mojego partnera. Nie musiałam w ten sposób patrzeć na Jasona Forrestera.

Mimo usilnych starań nie udawało mi się zapomnieć o Jasonie Forresterze, tak jak sobie postanowiłam. Nie mogłam się opanować i rzucałam w jego stronę spojrzenia, nawet gdy tańczyłam na drugim końcu sali.

Simone bawiła się wspaniale. Rozkwitała pod wpływem podziwu, jakim ją otaczano. Była tego wieczoru w swoim żywiole. Widziałam, jak zapraszana ciągle do tańca przez tego czy innego, promieniuje radością życia. Pomyślałam sobie tylko, że powinna nieco częściej tańczyć z Brentem.

Brent był taki jak zwykle. Gdy stał, krój smokinga dodawał jego szczupłej sylwetce wdzięku, czarny zaś kolor podkreślał wyraziście jego urodę. Siedział lub stał obserwując tańczących i rozmawiając z ludźmi wokół. Co pewien czas szedł zatańczyć z żoną lub inną z kobiet z ich towarzystwa. Ani razu nie spojrzał na Tiffany, to mogę powiedzieć z pewnością.

Jason nie spojrzał na nią również ani razu.

Oczarowany był zupełnie przez swą towarzyszkę. Spojrzenia nasze raz się spotkały, ale pomachał mi tylko przyjaźnie ręką, a potem zapomniał o mnie.

Bardzo mi to nawet odpowiadało. Nie było powodu, żeby miał się odrywać od podobnie czarującej istoty po to tylko, by podejść do mnie i zagadać.

Wcale na to nie liczyłam i było mi zupełnie obojętne, czy zachowa się tak, czy inaczej. Nic dla mnie nie znaczył.

Zastanawiałam się, kiedy wreszcie będzie wypadało pójść do domu, tłumacząc się bólem głowy. Spojrzałam ukradkiem na zegarek Matta. Okazało się, że nie ma jeszcze dziesiątej. Byliśmy tu niespełna dwie godziny.

Po skocznym tańcu usiedliśmy z Mattem z kieliszkami w ręce. Umalowaną piękność prowadził ktoś właśnie od stołu Jasona w kierunku parkietu.

Jason wstał od razu, ja zaś szybko odwróciłam wzrok. Rzuciłam tylko szybkie spojrzenie spod opuszczonych rzęs, a moje serce zabiło gwałtownie.

Tak, zbliżał się do naszego stołu.

- Zatańczysz ze mną? - Jego złoto-brązowe oczy uśmiechały się do mnie.

Wyglądał cudownie w dobrze skrojonym smokingu i w muszce. Włosy i wąsy miał świeżo przystrzyżone i pachniał gardeniami.

Zwróciłam się uprzejmie do Matta, który się podniósł na widok Jasona. Mój towarzysz, tak zwykle serdeczny, zdradzał wyraźne objawy wrogości. Nie zwracałam jednak na to uwagi.

- Nie masz nic przeciwko temu?

W chwilę później byłam już w jego ramionach. Nie pozwolił na utrzymywanie bezpiecznej odległości i przycisnął mnie mocno do siebie. Jego kciuki spoczywały na mojej talii, palcami trzymał mnie za biodra, zupełnie tak samo, jak przed chwilą swoją towarzyszkę.

Ze mną nie pójdzie mu tak łatwo. Oparłam rękę o jego piersi. O ile bardziej wolałabym zarzucić mu je na szyję i złożyć swą głowę na jego ramieniu, tak jak ona to robiła.

Oparłam się pokusie i trzymałam głowę wyprostowaną.

Prawdziwa Annabelle, która wie, jak się zachować. Zbyt dumna, by iść w ślady tej wyzywającej piękności, którą przyprowadził z sobą.

Gdy spojrzałam mu w oczy, odpowiedział tym samym.

- Cieszę się, że znalazłeś sobie towarzystwo. Zdawałam sobie sprawę, że powinnam odwrócić wzrok od złocisto-brązowych oczu, które mnie chciały pochłonąć.

Jego ręce przygarnęły mnie mocniej. Gdy trzymał mnie przy sobie, czułam, jak rośnie jego pożądanie. Nie umiałam pozostać obojętna na jego uścisk. Tam, gdzie mnie dotykał, zalewała mnie fala cudownego ciepła.

- Zawsze się ktoś znajdzie. - Niedbały ton głosu pozostawał w jawnej sprzeczności z czułością i ciepłem jego oczu. - Nie ta, to inna.

Zesztywniałam, próbując się wyswobodzić z jego uścisku. Nie puścił mnie, tylko jeszcze mocniej przytulił. Zaczęłam tracić panowanie nad sobą, co mi się często w jego obecności zdarzało.

- Czy na tym polega twoja filozofia życiowa?

- Wobec kobiet? - Zawirowaliśmy w tańcu. - A dlaczego by nie? Dałem ci szansę.

- Mówiłam... - Jakim cudem mógł mi się podobać? W niczym nie przypominał mojego kochanego brata, który był, jak mało kto, troskliwy i dobry, i na którym można było polegać. - Mówiłam ci przecież, że umówiłam się wcześniej z Mattem.

- Dlaczego się nie przyznasz, że wolałabyś być ze mną? Jestem stokroć bardziej interesujący niż Matt.

Widząc podobną zarozumiałość, zaniemówiłam, ale nie na długo.

- To, co mówisz, tłumaczy doskonale, dlaczego ciągle jesteś kawalerem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Przesunęłam rękę, a moje piersi dotknęły przy tym jego umięśnionego ciała. Ten niespodziewany kontakt sprawił, że zachłysnęłam się z braku powietrza.

Uśmiechnął się szeroko.

- Zrób to jeszcze raz, proszę.

Wyładowałam na nim gniew, który ogarnął mnie na samą siebie.

- Jesteś wstrętny. Przestań mnie tak mocno przyciskać.

- Myślałem, że to lubisz. - Jason odsunął się ode mnie.

Przestaliśmy przypominać parę nastolatków pozostających we władzy hormonów. - Teraz lepiej?

Nie, nie było lepiej. Był ciągle tak blisko, że nie przestawałam być chora z tęsknoty. Ale nie zamierzałam dostarczyć mu satysfakcji i przyznać się do tego. Wolałabym umrzeć.

Tańczyliśmy przez chwilę w milczeniu, a potem zapytał znowu:

- Co miałaś na myśli mówiąc, że jestem ciągle kawalerem?

Ja też umiałam mówić bez ogródek.

- Dwukrotne zaręczyny zerwane za każdym razem z powodu innego mężczyzny. Można by się spodziewać, że się czegoś nauczysz.

- A więc już o tym słyszałaś? Kto wie, może się czegoś nauczyłem.

- Jesteś zarozumiała.

- Tylko pewny siebie. Myślę, że wiem, jak się podobać kobietom.

- Czyżby? - Uniosłam sceptycznie brwi.

- Potrafię dać kobiecie wszystko, czego tylko zapragnie - odpowiedział takim tonem, jakbym uraziła jego męską próżność. - A ona musi być na tyle szczerą, żeby mi powiedzieć, czego się po mnie spodziewa.

- Może już mówiła, tylko jej nie słuchałeś. - Gdyby słuchał, nie przyprowadziłby przecież z sobą tej rudej nimfy.

- Nic mi nie mówiła.

Na swój własny sposób Jason prosił mnie tego wieczora, bym mu zaufała, bym mu powiedziała z własnej woli to, o czym już wiedział.

Wtedy jednak nie uświadamiałam sobie tego.

Wiedziałałam dobrze, że nie rozmawiamy na tematy ogólne, lecz o nim i o mnie. Sądziłam jednak, że oczekuje po mnie wyznania, iż pragnę go fizycznie, a ja pragnęłam przede wszystkim usłyszeć prawdę o śmierci mojego brata.

Nie wiedziałam, że prosi, bym mu zaufała, nie mogłam więc powiedzieć mu, czego pragnęłam. Łatwiej było się sprzeczać. Zupełnie straciłam rozum tego wieczora. Zazdrość, pożądanie, alkohol... Musiałam być chyba trochę pijana.

- A jeśli nie może ci powiedzieć, czego chce? - Chciałam go nadal męczyć. - Może nie jesteś w stanie zaspokoić jej życzeń?

- Otóż niewątpliwie jestem w stanie to zrobić. - Poirytowany przyciągnął mnie bliżej do siebie. - Dowiodłbym tego, gdyby mi tylko dała szansę.

Stawiałam opór, odsuwałam się, ciągle będąc przekonana, że mówi tylko o seksie.

- Widzisz, na tym właśnie polega problem. Istnieją jeszcze sprawy duchowe. Inteligentna kobieta szuka czegoś więcej w mężczyźnie niż tylko umięśnionego ciała.

- Czy rzeczywiście myślisz, że tylko tyle mogę kobiecie ofiarować? - Mówił niepokojąco spokojnym głosem. - Umięśnione ciało? Czy naprawdę myślisz, że to jedyne, co ci chcę dać?

W szczerości Jasona kryła się agresja. Gwałtownie wyszarpnęłam się z jego ramienia.

- Nie wiem, co masz mi do zaoferowania i zupełnie mnie to nie interesuje. Chcę po prostu, żebyś mnie zostawił w spokoju!

Mówiąc to miałam ochotę ugryźć się w język. Chciałam przecież tylko, żeby nie zmuszał mnie więcej, bym go tak pragnęła. Nie miałam najmniejszego zamiaru upokarzać go ani deptać jego godności.

Niepotrzebnie się martwiłam. Wiedział, jak się bronić. Oczy zalśniły mu jak błyskawice.

- Może mi pani nie uwierzy, ale nie mam zwyczaju zaczepiać kobiet, dopóki nie dadzą mi do zrozumienia, że będzie im to miłe. Jak



nazwać kobietę, która na prawo i lewo wysyła sygnały, a gdy się zwróci na nią uwagę, wywiesza tabliczkę: Nie dotykaj mnie!

Ta uwaga była zupełnie niepotrzebna.

- Mówisz zapewne o mnie - odezwałam się, próbując zachować spokój.

- Zgadła pani. Proszę mi powiedzieć, o co właściwie pani chodzi? - Ironia, z jaką mówił, powinna dać mi do myślenia, ale nie zwróciłam na to uwagi. Byłam zbyt zażenowana spojrzeniami tańczących obok nas par.

- O nic mi nie chodzi! - Sądziłam, że Jason jest wytrącony z równowagi, ponieważ jego męska ambicja została zadrażniona moją odmową poddania się. Próbowałam odejść, ale zagroził mi drogę. Byłam wściekła, że przyprowadził tę kobietę i tańczył z nią w taki sposób jak ze mną. Postanowiłam mieć ostatnie słowo.

- Miałam udane małżeństwo, a nie zerwane... Nie pozwolił mi skończyć.

Chwycił mnie za przegub, obrócił w kółko, dokładnie w połowie piosenki, i wyciągnął z parkietu. Tańczący się rozstąpili, a widząc Jasona, kiwali przy tym wyrozumiale głowami.

Ciągnął mnie całą drogę, a potem rzucił na krzesło.

- Bardzo dziękuję - mruknął do zdumionego Matta, podczas gdy walczyłam o utrzymanie zewnętrznych przynajmniej pozorów godności, starając się przy tym nie spaść z krzesła. - Pańska towarzyszka jest wspaniałą tancerką. Niewykluczone, że gdy nauczy się jeszcze rozmawiać z ludźmi, można będzie w jej towarzystwie miło spędzić czas.

Uśmiechnął się nieco sztucznie, uprzejmie się skłonił, odwrócił i odszedł.

Nie pamiętam, bym kiedykolwiek w życiu była podobnie upokorzona.

- Co... - zaczął Matt. Krótco ucięłam jego pytanie.

- Nie chcę o tym mówić. - Mogłam się była tego spodziewać.

Podniosłam kieliszek i wypiałam go jednym haustem.

Ciekawość i uśmieшки skończyły się po chwili, ale moje upokorzenie pozostało. Przez cały wieczór Jason nie zbliżył się już do mnie. Tańczył za to często, i to w bardzo poufały sposób, ze swą rudowłosą znajomą.

RS

W pewnej chwili, w czasie tego koszmarnego wieczoru, Tiffany Underwood znalazła się w tańcu blisko nas ze swym partnerem. Pomachała Mattowi ręką, a do mnie przyjaźnie się uśmiechnęła.

Byłam zła na Jasona, że znalazłam się przez niego w tak niezręcznej sytuacji, ale jeszcze bardziej zła byłam na siebie za swoje pożałowania godne odpowiedzi. Co mnie, do diabła, naszło? Powinnam była zrozumieć, że stroił sobie ze mnie żarty. Miałam tylko wielką nadzieję, że nikt nie będzie miał powodu przypuszczać, że się zaczęłam w nim w idiotyczny sposób zakochiwać.

Jak mogłam być taka głupia?

Teraz nic mi już nie groziło. Po tym, jak mnie upokorzył, chęć uduszenia go była jedynym silnym uczuciem, jakie wobec niego żywiłam.

Dlaczego jednak, skoro mi na nim nie zależało, miałam ochotę przejść przez salę i rzucić mu się do kolan?

Wzięłam się w garść i udawałam, że się wspaniale bawię. Jadłam, piłam i tańczyłam z różnymi naszymi budowniczymi, z człowiekiem, który dostarczał nam sprzęt biurowy, a nawet z Brentem.

Brent, uderzająco przystojny w swym smokingu, próbował na swój delikatny sposób przeprosić mnie za Jasona.

- Jace potrafi czasem zrobić z siebie błazna. Jest porywczy, ale szybko mu to przechodzi. Jutro na pewno cię przeprosi, sama zobaczysz.

- Nie ma o czym mówić, Brent. - Lubiłam go za to, że się tak o wszystko troszczył.

Tańczyliśmy w milczeniu. Trzymał mnie delikatnie, ale tańczyć z nim było łatwo. Poruszał się spokojnie, płynął właściwie, pociągając mnie za sobą.

Ciekawość, kim jest towarzyszka Jasona, zwyciężyła moją dumę.

- Jason lubi najwyraźniej rude dziewczyny. Brent spojrział przez ramię na tańczącego brata.

- Crystal jest całkiem miła. Chodzili razem do szkoły. Kiedy się zeszłego latem rozwiodła, Jason pomógł jej wrócić do Rahunty i znaleźć pracę w banku. Zawsze dba o przyjaciół.

Czułam się źle i byłam wściekła na Jasona. Niech go diabli wezmą! Niech go diabli wezmą za to, że go tak bardzo lubię! Niech go diabli porwą za to, co ze mną zrobił na oczach tych wszystkich ludzi!

Spojrzałam na koniec sali i dostrzegłam jego brodę spoczywającą na burzy rudych włosów. Ich ciała stykały się tak, jak przed chwilą nasze.

A najbardziej niech go diabli porwą za to, że tańczy tak blisko niej.

Około wpół do dwunastej podeszła do naszego stolika Simone.

- Pójdiesz ze mną do łazienki?

Zaczynała mnie boleć głowa. Dziwne, nigdy nie miewałam bólu głowy. Pewnie od picia alkoholu, do czego nie byłam przyzwyczajona. Liczyłam, że pomoże mi zimna woda.

Zanim doszliśmy do toalety dla pań, Simone zaciągnęła mnie do pokoiku, w którym były automaty z cukierkami i papierosami.

- Widziałam, co się stało - powiedziała cichym, gniewnym głosem. - Jason jest wstrętny.

- Nie chcę o tym mówić, Simone. Chwyła mnie za ramię.

- Odpłacisz mu, jeśli znajdziemy rewolwer.

- Simone, już ci powiedziałam, że pomyślę o tym. Potrząsnęła głową.

- Możemy to zrobić dziś w nocy. Słuchaj tylko. Jason będzie tu jeszcze parę godzin, zanim odwiezie tę dziewczynę do domu. Niewykluczone, że spędzi z nią noc. A dom będzie przez cały czas pusty!

Przed oczami kłębiły mi się różne sceny. Jason odwożący Crystal do domu, całujący ją na dobranoc tak, jak całował mnie. Jason, który ją rozbierał i dotykał tak, jak mnie. Robiło mi się niedobrze na samą myśl o tym.

Simone przysunęła do mnie twarz.

- Wybieram się tam tej nocy.

- Simone! - Na chwilę zapomniałam, jak się czuję.

- Powiem Brentowi, że boli mnie głowa i że muszę wrócić do domu, a zamiast tego pojedę tam. Chodź ze mną, jesteś mi potrzebna.

Nie mogłam w to uwierzyć. W środku przyjęcia z okazji Bożego Narodzenia Simone opowiada coś o swoich szalonych planach

poszukiwania rewolweru, który mógł, ale nie musiał być użyty przez mordercę Alana.

- Musisz ze mną pójść, inaczej Brent będzie chciał zabrać mnie sam do domu. Ale jeżeli zaofiarujesz się mnie odwieźć, da nam swój samochód. Ja pójdę na pewno, ale będzie mi znacznie łatwiej, kiedy mi pomożesz.

Wszystko już zaplanowała. Gdy czekała na moją odpowiedź, wydawało się, że jest doprowadzona do rozpacz, a może nawet chora.

Miałam zamiar powiedzieć jej stanowczo i wyraźnie, że nie wezmę udziału w podobnie bezczelnym i bezprawnym przedsięwzięciu. Ale powiedziałam tylko:

- Simone, myślę, że powinnaś poczekać. Z jej twarzy przebijała rozpacz.

- Mówisz, że jesteś moją przyjaciółką. Jeśli to prawda, pomóż mi. Musisz mi pomóc! Nie dam sobie rady bez ciebie.

Obydwie szeptałyśmy w uniesieniu, nie chcąc, by nas ktokolwiek usłyszał. Wykorzystałam chwilę, w której do automatu z papierosami podszedł jakiś mężczyzna.

Wzięłam ją za rękę i wciągnęłam do toalety. Sprawiała wrażenie kruchej, bezbronnej istoty. Była bliska łez. Przy lustrach siedziały różne dziewczyny malując się i czesząc, rzuciła więc tylko na mnie pełne wyrzutu spojrzenie i sama usiadła w jednej z kabin przed lustrem.

Weszłam do sąsiedniej kabiny, usiadłam i zamknęłam oczy. Nie byłam w stanie stawić czoła ani Simone, ani zdarzeniom, które dziś

się rozegrały. W ponurym nastroju zbierałam siły na następne parę godzin tańca i na inne obfitujące w spięcia rozrywki, nieodłącznie związane z wszystkimi tutejszymi sprawami. Wtedy właśnie usłyszałam, że drzwi otwierają się, i poczułam zapach znajomych perfum.

Od razu wiedziałam, kto to jest. Tak samo pachniał Jason, gdy z nim tańczyłam.

- Lauro, tylko jedna kabina jest wolna. Wejdziesz, ja zaczekam. Chcę jeszcze zadzwonić.

Bezpieczna w swojej kabinie miałam tylko nadzieję, że nie będą tu długo siedziały. W żadnym wypadku nie chciałam się spotkać z Crystal. Usłyszałam odgłos podnoszonej słuchawki telefonu, który był tuż przy drzwiach, i odgłos wrzucanej monety.

- Jane? Mówi Crystal. Melduję się. Naprawdę bardzo ci jestem wdzięczna, że pozwoliłaś Timowi zanocować z Martym.

Słuchała odpowiedzi.

- Zawsze spędzam mile czas z Jasonem. Tak, tak, zgadłaś. Liczę, że zostanie. - Zachichotała. - Oczywiście, zabierz ich do kina. O której się zaczyna? O jedenastej?... Cudownie. Nie szkodzi więc, że się nie wyśpię. Przyjadę po Tima jutro po południu. Świetnie. Dziękuję, Jane. Kochana jesteś.

Usłyszałam odgłos spuszczonej wody. Jakiś głos zapytał:

- Dzieciak w porządku, Crystal?

- W porządku. Zaraz skończę i pójdziemy na podbój sali.

Wszystko gotowało się we mnie ze złości. Byłam tak wściekła, że z trudem mogłam oddychać. Tańczył ze mną przecież, trzymał

mnie przy sobie, a potem, choć wiedział doskonale, co ze mną robi, miał zamiar Spędzić noc z inną.

Wolałam nie myśleć, co będą robili. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że mogłabym być zdolna do gwałtownych czynów. Minęło pięć minut, zanim moja złość nie opadła, zostawiając mnie pustą w środku i bez sił. Drzwi otwierały się i zamykały parokrotnie, aż wreszcie zapadła błogosławiona cisza.

Nie cieszyłam się nią długo.

Simone nadal siedziała w kabinie przed lustrem.

- Anno, zostaliśmy same. Słyszałaś wszystko?

- Tak. - Mówiłam spokojnym i opanowanym głosem.

Wiedziałam, że będzie ze mną wszystko dobrze, gdy tylko ustąpi ta straszliwa, bolesna pustka.

- Jason będzie przez całą noc u Crystal. Słyszysz, całą noc.

Proszę cię, pójdz ze mną!

Rękami trzymałam się za głowę, starając się głośno nie jęczeć.

Gdy wyszłam, Simone już na mnie czekała. Pozostałe kabiny były puste.

- Jeśli nie pójdziesz ze mną, pójdę sama - zagroziła. - No więc jak?

Drzwi otworzyły się znowu i do toalety weszły dwie kobiety.

- Dobrze.

Dlaczego się zgodziłam?

Po latach ze zdumieniem myślałam, jak łatwo było mną kierować. Ale po latach trudno było pamiętać, jak wielkie było moje



rozczarowanie i ból. Po latach trudno było pamiętać szaloną, palącą zazdrość, która tłumiała zdrowy rozsądek.

Pamiętałam tylko, jak próbowałam sobie wszystko wytłumaczyć.

Ktoś musi czuwać nad Simone, tak sobie właśnie mówiłam. Jeśli z nią nie pojedę, nie wiadomo, co się może stać.

No i sprawa rewolweru.

Gdyby Jason miał cokolwiek wspólnego z morderstwem Alana, chciałabym o tym wiedzieć. Jeżeli ukrył rewolwer, najlepszym rozwiązaniem będzie znaleźć go i dowiedzieć się, dlaczego to zrobił?

Nie wierzyłam, by był mordercą. W ten sposób właśnie mogłam się o tym przekonać.

Matt był zdumiony dowiadując się, że wychodzę z Simone.

- Ależ dlaczego?

- Simone nie chce, żeby Brent porzucał gości.

- Pojadę z wami - powiedział wstając.

- Nie, nie, zostań i baw się dobrze. Jutro się zobaczymy. - Gdy nalegał, pochyliłam się i szepnęłam: - Simone chciałaby być tylko ze mną. To damska sprawa.

Usiadł od razu, tak jak się spodziewałam, choć wyraźnie go dotknęło, że Simone prosiła o pomoc mnie, a nie jego.

Brent siedział przy stole sam. Simone nachyliła się nad nim i coś mu szeptała do ucha. Wstał, gdy zobaczył, jak przedzieram się przez tłum.

- Anno, strasznie mi przykro. Nie sądziłem, że Jason aż tak bardzo wytrącił cię z równowagi.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała prędko Simone i wzięła mnie za rękę. W drugiej ręce ścisnęła pęk kluczy. - Zostanę z nią trochę, więc nie martw się, gdybyś mnie nie zastał w domu.

Mimo to, gdy wychodziłyśmy z sali, niepokój rysował się na twarzy Brenta silniej niż kiedykolwiek. Przypomniałam sobie później, jak bardzo znękaną i bladą miał wówczas twarz, jak jego zapadłe oczy śledziły nasze odejście z niepokojem przechodzącym w przerażenie. Było to już wtedy, gdy dowiedziałam się prawdy, gdy zrozumiałam, pod jak straszliwą presją musiał żyć i jak ta presja dawała mu się we znaki.

Ale tego wieczoru byłam zbyt pochłonięta własnymi sprawami, aby zajmować się Brentem. Czułam zbyt wielkie oburzenie i obrzydzenie, pamiętając Crystal w ramionach Jasona.

- Co powiedziałaś Brentowi? - spytałam, narzucając w holu płaszcz.

- Że Jason tak bardzo wytrącił cię z równowagi, że nabawiłaś się migreny i poprosiłaś mnie, żebym cię zabrała do domu - odpowiedziała Simone, bardzo z siebie zadowolona. Włożyła długie futro z norek. Było ono nad wyraz pretensjonalne i raziło przy innych, mniej ekstrawaganckich okryciach. - Powiedziałam mu także, że nie będziesz chciała jechać razem z bratem Jasona. Dlatego Brent nie upierał się, żeby nas odwozić.

Mądrze chyba zrobiłam mówiąc Mattowi, że to damskie sprawy.

Oklamałam biednego Matta. I oklamałam Brenta. Moje sumienie robiło co mogło, bym się opamiętała, ale ja odrzucałam jego wyrzuty bez wahania. Nie czułam się zupełnie sobą. Stałam się nierozważna,

zaczęło mnie pociągać ryzyko. Zupełnie jakby jakiś lekkomyślny duch zgłosił pretensje do mojego ciała i wyrzucił ze mnie rozwagę i ostrożność, które stanowiły zawsze o mojej istocie, napęliając mnie w zamian brawurą i przebojowością.

Jason Forrester może sobie umieścić mnie w tej samej kategorii co wszystkie swoje kobiety, ale jeszcze tego pożałuje. Tak sobie rozmyślałam w swoim nieszczęściu. Jeszcze mu pokażę.

Miałam niemal nadzieję, że znajdziemy jednak ten rewolwer i Simone zatriumfuje. W głębi duszy wiedziałam, że nie znajdziemy niczego, ale puszczałam wodze wyobraźni i zastanawiałam się, co będzie, gdyby jednak stało się inaczej. Jason musiałby się wtedy tłumaczyć. I dobrze by mu to zrobiło.

Omawialiśmy nasze plany w drodze. Postanowiliśmy zostawić samochód przed moim domem i pójść do Jasona na piechotę, brzegiem wąwozu. Simone przysięgała, że wie, gdzie broń jest schowana i że poszukiwania nie zabiorą nam więcej niż dziesięć minut.

Szalona odwaga, której źródłem były alkohol i złość, zaczęła powoli ustępować. Gdy zaparkowałyśmy BMW Brenta, zaczęłam na nowo wszystko przemyśliwać.

- Simone, czy jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

- Tak - warknęła. - A ty mi obiecałaś pomóc. Zacisnęłam zęby i przygotowywałam się, by dotrzymać słowa.

Simone włożyła jedną z moich ciemnoszarych bluz. Nogi miała mniejsze ode mnie, ale uznała, że da radę wyruszyć w moich tenisówkach, gdy założyła dwie pary skarpet, wypchała trochę

szmatkami palce i zawiązała mocno sznurowadła. Dałam jej beret na głowę, by przykryła swe jasne włosy, a na rękach miała własne rękawiczki.

Sama zdjęłam swą piękną, czerwoną suknię, która przyniosła mi tak niewiele radości, aby włożyć stare džinsy, gruby, czarny sweter i nowe buty sportowe. Przewracając zawartość szuflad znalazłam starą czapkę z Uniwersytetu w Georgii, która należała kiedyś do Alana.

I tak, uzbrojone w latarkę, wyruszyliśmy krawędzią wąwozu do domu Jasona Forresterera.

RS

Noc nie była specjalnie jasna, ale nie była też szczególnie ciemna. Była to zwykła noc, taka jakie bywają w zimie w Georgii, jedna z wielu, jakie widziałam w życiu.

Moje nerwy kazały mi widzieć za każdym drzewem upiorne postacie, a każdy odgłos wiatru jęczącego pośród drzew zdawał się być oddechem kogoś, kto tylko czekał na Simone i na mnie. Płynące chmury przesłaniające co chwila księżyc rzucały cienie na ścieżkę przed nami. Moja wyobraźnia zamieniała je w zaklęte duchy, które odbywały swe nocne, rytualne tańce po to, by nas schwytać w swe sidła.

Gdy po latach myślałam o tym wszystkim, nie potrafiłam zrozumieć, jak mogłam tak niefrasobliwie iść za Simone, nie zdając sobie sprawy z tego, co miało dalej nastąpić. Ale wtedy wiedziałam tylko, że jestem na drodze w ciemnościach. Ciągle się spodziewałam, że pojawi się teraz to coś, z czego promieniowało zło i co tak często mnie prześladowało.

Miałyśmy z sobą małą latarkę, ale księżyc oświetlał wystarczająco ścieżkę. Prawie nie rozmawiałyśmy. Nie bardzo było o czym.

Podejrzewałam, że Simone boi się tak jak ja, że jej serce także bije jak oszalałe i że jest również bliska nerwowego załamania.

Ale ona przynajmniej wierzyła w to, co robi, podczas gdy ja...

Ja powoli przytomniałam.

Idąc, raz jeszcze przeanalizowałam nasz sposób myślenia.

Zabawa skończy się nie wcześniej niż o pierwszej lub nawet później. Minęła właśnie północ. Jeśli Jason spędzi noc u Crystal - serce skurczyło mi się, gdy wyobraziłam sobie ich razem - będziemy miały czas do rana na przeszukanie jego gabinetu. Simone przysięgała, że wie, gdzie Jason schował rewolwer, a więc z pewnością znajdziemy go, zanim powróci.

Wyglądało to więc rozsądnie, a złe przeczucia, które mnie naszły, były pozbawione sensu.

Byłam przygnębiona pewnie dlatego, że Jason był z Crystal. Myśl, że będą razem w łóżku, sprawiała mi niemal fizyczny ból. I nic nie pomagało besztanie siebie, że jej po prostu zazdroszczę, ani kpiny, że mam chyba obsesję na punkcie Jasona. Serce bolało mnie nadal.

Gdyby tylko dało się uspokoić ducha Alana i opuścić to nieszczęsne miejsce...

Nienawidziłam je... Ależ nie, kochałam. A właściwie sama już nie wiedziałam, co czuję. Czułam się nieszczęśliwa i żałowałam, że kiedykolwiek zetknęłam się z Jasonem Forresterem.

Garaż przylegający do domu, w którym Letycja trzymała zwykle samochód i w którym stał mustang Jasona, był teraz pusty.

Wiedziałam, że tak będzie. Nie pojechałby przecież po Crystal swym poobijanym pick-upem.

Pick-up stał obok kuchni w cieniu. Wszędzie panował śmiertelny spokój i cisza. Nappełniało mnie to podobnym strachem jak wędrówka przez las.

Przekradłyśmy się przez podwórko.

- Wrrrr!

Obydwie z Simone podskoczyłyśmy ze strachu, ale był to tylko stary pies Jasona.

- Cześć, Digger. - Wyciągnęłam do niego rękę. - Nie poznajesz mnie?

Poznał i zaskowyczał z radości. W świetle księżyca widziałam, jak macha ogonem.

- Głupi pies - mruknęła Simone, przyciskając rękę do piersi.

Powoli zbliżałam się do ganku, Simone szła za mną. Nie byłam bardziej tchórzliwa od niej, ale na progu domuomalże nie zawróciłam. Białe kontury, który wynurzyły się przede mną, zbyt mi przypominały dom z moich snów.

- Simone...

- Na parapecie okna sypialni leżą zapasowe klucze -powiedziała Simone. Niesamowita cisza wywarła i na niej wrażenie. - Zaraz je przyniosę.

Myśli kłębiły się i rozbiegały w mojej głowie, gdy próbowałam odnaleźć w nich wspomnienie białego pałacu.

Nie miałam wyboru. Zabrnęłam już tak daleko, że musiałam iść dalej. W snach wchodziłam chętnie do środka. Nie było tam nic, co by mogło mi wyrządzić krzywdę. Przerazał mnie jedynie czarny zamek.

Czyż nie po to przyjechałam do Rahunty? Czyż nie miałam dowiedzieć się wszystkiego o zabójstwie Alana? Nagle zrozumiałam, że wszystko to działo się za sprawą mojego brata. Stawiałam kolejny krok na ścieżce, którą cierpliwie mnie prowadził, kolejny krok, który

miał mnie doprowadzić do odkrycia tego, co zamierzał mi powiedzieć.

W najbardziej nawet irracjonalnych działaniach pojawia się czasem moment jasności, gdy człowiek dochodzi do przekonania, że czyni to właśnie co trzeba, że podejmuje się właśnie tego, co można zrobić, bez względu na to, co myślą o tym inni ludzie lub co podpowiada zdrowy rozsądek.

Przeżyłam właśnie taką chwilę, gdy zdecydowałam się przyjechać do Rahunty. Po raz drugi czułam, że nadeszła, gdy stałam tej nocy i czekałam na Simone. Duch Alana krążył dookoła, ponagłając mnie i dodając odwagi. Obecność jego była tak pewna, jak pewne było, że na głowie mam jego czapkę.

Od tej chwili stałam się narzędziem w rękach losu. Cokolwiek miało się wydarzyć tej nocy, było mi sądzone. Wiedziałam to z całą pewnością.

Weszliśmy przez drzwi kuchenne. Simone szła pierwsza, a ja za nią, wahając się tylko przez moment.

W kuchni panowała martwa cisza. Wszędzie unosił się delikatny zapach jajek z bekonem. Simone przeszła kuchnię szybkim krokiem.

Po drodze zauważyłam zaciszny pokój, w którym wokół dużego telewizora ustawione były meble pokryte podniszczonym sztruksem. Do kuchni przylegała wnęka, która stanowiła jadalnię. Za pokojem telewizyjnym, od frontu domu, znajdował się salon, gabinet zaś po drugiej jego stronie, naprzeciw jadalni.



Kierowałyśmy się w stronę gabinetu, tam, gdzie siedziałam kiedyś przy kominku na pufie, a Jason trzymał moje stopy. Wchodząc czułam niemal, jak całuje z miłością moje palce, jeden po drugim.

- Potrzebne jest światło. - Pomimo spokojnego głosu czuć było, że Simone jest podniecona.

Zapaliłam latarkę i snop światła rozświetlił pokój.

- Nie możemy zapalać górnej lampy. - Na biurku stała mała lampka. - Zapalmy może tę.

Postawiłyśmy ją na podłodze, by rzucała światło na półki przy kominku.

Nie znałam się zupełnie na ruchomych ceglach i tajemnych listwach w ścianie, czy temu podobnych historiach spotykanych często w romantycznych powieściach lub starych opowiadaniach z dreszczykiem. Stałam tylko i patrzyłam, jak Simone próbuje bezskutecznie poruszać kolejne listwy.

- Nie mogę znaleźć - powiedziała w końcu z wyraźnym zawodem. - Wiem, że to gdzieś tutaj. Jedną z tych półek naprzeciwko kominka można wyjąć, a z tyłu jest otwór.

Uklękłam i zaczęłam badać wnętrze szafki.

- Dlaczego Brent powiedział ci, gdzie to jest? - Adrenalina przestawała działać.

Wydała z siebie niski, gardłowy, pełen zadowolenia śmiech.

- Mam taki środek uspokajający, który lekarz mi dał, kiedy byłam chora. Pheno... pheno... coś takiego. - Była po drugiej stronie kominka.

- Phenobarbital?

- O, właśnie. Matt powiedział mi, że to wykrywacz kłamstwa. - Simone zachichotała. - Któregoś dnia dodałam go trochę do kieliszka Brenta.

- Ależ Simone! - Byłam zupełnie przerażona. - To bardzo niebezpieczne. Nie wolno mieszać alkoholu z takimi lekarstwami.

- Wcale nie - rzuciła pogodnie. - Skutek był doskonały.

Czułam się, jakbym rozmawiała z małym dzieckiem. Zupełnie nie trafiało do jej świadomości, że mogła zabić swego męża. Była to dla niej czysta abstrakcja. Ktoś powinien porozmawiać z nią i wytłumaczyć tej głupiej istocie, ile szkody może wyrządzić podobnymi wyczynami.

Rozpoczęłam na nowo poszukiwania, ale żadna z nas nie mogła znaleźć nic, co by choćby przypominało jakiś otwór. Gdy już podniosłam krzesło i dobrałam się do górnej półki, miałam ochotę zrezygnować.

- To nie może tam być - powiedziała Simone ze złością, widząc co robię. - To jest zwykłe małe wgłębienie zasłonięte tymi półkami. Brent mówił, że korzystali z niego razem z Jasonem, gdy byli mali, musi się więc znajdować gdzieś na dole.

- No to gdzie ono jest? - Miałam prawo być tak samo zdenerwowana jak ona. Może jej było wszystko jedno, ale ja nie miałam ochoty iść do więzienia za bezprawne wejście do cudzego domu. Nie pochwalałam jej flirtów z Mattem Gravenem, a po tym, jak mi opowiedziała o przygotowaniu drinka dla Brenta, zaczęłam się zastanawiać, czy miała dobrze w głowie.

Zamieniłyśmy się miejscami po raz drugi, gdy nagle światła reflektorów rzuciły silny blask na ściany w głębi domu, tłumiąc słabe światelko lampki.

- Na pewno ją tu wiezie! - Wpadłam w panikę.

- Niemożliwe! - Simone była równie przerażona jak ja. - Nigdy by jej nie przywiózł do domu Letycji!

Zgasiałam lampę mając nadzieję, że nie zauważyli jej słabego światła, i ruszyłam w stronę kuchni. Serce waliło mi w piersiach, lecz mimo to było sparaliżowane strachem na myśl o tym, że odkryją nas, wracając razem do domu.

Nigdy nie powinnam była ulec prośbom Simone. Co mnie naszło?

Było już za późno, by wysunąć się niepostrzeżenie. Gdy podeszłyśmy do drzwi, zatrzeszczały właśnie schody na ganku od tyłu.

- Cześć, Digger - usłyszałam znajomy głos. - Jak się masz?

Przeklinałam naszą głupotę. Nie byłyśmy nawet w stanie przewidzieć, że wchodzić będą najczęściej używanymi schodami. Pociągnęłam Simone za rękę i uciekłyśmy, jak można najciszej, do salonu. Mogłyśmy mieć tylko nadzieję, że uda nam się ukryć, dopóki nie wejdą na górę.

Nie pozwalałam sobie rozmyślać o tym, co będą tam robili.

Nie słysząc było jednak żadnych głosów.

Czy Jason był sam? Słyszałam przecież jego głos. A jeżeli to nie był Jason, lecz ktoś inny?

Wcisnęłyśmy się za kanapę. Serce biło mi jak oszalałe, słysząc je pewnie było w całym domu.

Zapaliło się światło.

Z kuchni dochodziły różne odgłosy. Otwieranie i zamykanie drzwi w lodówce, woda lecąca do zlewu. Światło w kuchni zgasło, a zapaliło się światło w holu. Słysząc było kroki wolno przemierzające korytarz, a potem wchodzące po schodach. Światła w holu ponownie zgasły. Na dole zapadła ciemność.

Serce łomotało mi jak szalone - cud, że nie pękło. W życiu swoim nie zrobiłam jeszcze nic podobnego. Jeżeli zostanę odkryta, nigdy nie pozbędę się uczucia upokorzenia.

Sama to wszystko na siebie sprowadziłaś, dziewczyno, mówiłam sobie surowo. Nie musiałaś wcale ustępować

Simone. Sama jesteś sobie winna. Przysięgałam sobie nigdy nie brać do ust nic mocniejszego od lemoniady.

Wszystkie te obietnice nie złagodziły jednak łomotania w skroniach. Uczynił to dopiero odgłos kroków na górze. Uspokoiliam się trochę, gdy cisza spowiła dom.

Po paru minutach Simone wydobyła się z ukrycia, a ja za nią. Czołgała się przez salon w stronę drzwi na werandę, a potem próbowała przekręcić gałkę. Drzwi nie puściły.

Dałam jej znak, by się usunęła, i próbowałam otworzyć sama.

Drzwi jednak nie poddawały się. Macałam powyżej gałki, szukałam po omacku, aż wreszcie odkryłam na górze zasuwę.

Czułam oddech Simone na szyi, gdy bezskutecznie walczyłam z zasuwą. Pociągnęłam mocniej, starając się robić to możliwie delikatnie, gdy nagle zasuwa ze zgrzytem ustąpiła.

Stałyśmy nad słuchując jak wmurowane, ale wokół panowała cisza.

Jeszcze raz spróbowałam otworzyć drzwi. Gałka przekreśliła się, ale drzwi nie puściły, tym razem przytrzymywane na dole. Uklęłam i znalazłam jeszcze jedną zasuwę. Kiedy się do niej zabierałam, usłyszałam, jak Simone nagle wstrzymuje oddech. Palcami przejechała mi po włosach, ostrzegając mnie, a potem zniknęła.

Gdy obejrzałam się przez ramię, zrozumiałam, dlaczego to zrobiła. W drzwiach prowadzących z holu rysowała się czyjaś sylwetka. Dzięki refleksowi poszłam w ślady Simone i rzuciłam się do ucieczki w drugą stronę salonu, tam, gdzie pod łukowym sklepieniem przechodziło się do jadalni i kuchni.

Wpadłam do jadalni, cień deptał mi po piętach, słyszałam za sobą jego oddech. Dobiął mnie odgłos otwierania frontowych drzwi. Owiał mnie prąd zimnego powietrza i usłyszałam trzask zamykanych drzwi.

Simone uciekła. A ja, gdyby mnie złapał...

Strach przypawił mi skrzydła do nóg.

Biegliśmy w milczeniu, żadne z nas nie wymówiło ani słowa. Słysząc tylko odgłosy kroków tłumione dywanem.

Dotarłam do kuchni, potknęłam się o drewnianą maślnicę, która wywróciła się z głośnym hukiem, i popędziłam do drzwi. Kopnął

maślnicę na bok, rozległ się wtedy stukot, ale nadal żadne z nas nie przemówiło ani słowa, ani nie krzyknęło.

Jednym szarpnięciem otworzyłam kuchenne drzwi, pognałam gankiem i zbiegłam po schodach. Mężczyzna przeskoczył balustradkę i gdy mijałam garaż, znowu deptał mi po piętach. Złapał mnie za sweter i okręcił dokoła.

W rozpaczy waliłam go bez opamiętania pięściami, ale schwycił je w swe duże ręce i wykręcił do tyłu.

Dopiero wtedy się odezwałam. To jedno słowo przebiło się przez ciemność jak uderzenie z bicia.

-Ty!

Nie padły żadne kłopotliwe pytania ani oskarżenia, na które musiałabym odpowiadać. Stało się to dopiero później, gdy poznałam już całą prawdę, gdy zdałam sobie sprawę, że palce u nóg zdradziły mnie dawno temu i że on zrozumiał, gdy mnie przyłapał w swoim domu, że jestem narzędziem w rękach Simone.

Ale tej nocy nic o tym wszystkim nie wiedziałam. Wpatrywałam się tylko w niego, gdy nachylił nade mną głowę, aby przycisnąć swe usta do moich z siłą, której nie sposób było się przeciwstawić. Nie próbowałam zresztą.

Pozwoliłam, nie, nawet pomogłam jego ustom zawładnąć moimi.

Nie pamiętam, by uwolnił moje ręce, ale znalazły się one w jakiś sposób na jego szyi. Czułam, jak szarpie moją czapkę, jak zrzuca ją, by okręcić sobie moje włosy wokół ręki. Przywarliśmy do siebie i tak

trwaliśmy wieczność całą, niepomni na nic poza sobą. Kiedy mnie podniósł, by zanieść do domu, nie protestowałam.

O wielu drobiazgach, których wtedy nie zauważyłam, przypomniałam sobie później.

Pachniał piwem, drożdżami, słodyczami i czosnkiem, sama nie wiem dlaczego.

Pachniał potem i perfumami o zapachu lipy i gardenii. Doskonale wiedziałam dlaczego.

Twarz miał gładką, jakby się golił tuż przed wyjściem na bal. Jego pomięta koszula była z miękkiego jedwabiu.

Postawił mnie w kuchni, ale nie umieliśmy być daleko od siebie. Odnalazł zamek błyskawiczny w moich dżinsach i rozpiął je, zanim zorientowałam się o co chodzi. Położył rękę na moim pośladku.

Pragnęłam, by tam pozostała, by mnie pieścił.

Czułam się jak w niebie.

W następnej chwili podciągnął mi sweter i zajął się rozpinaniem stanika. Sweter i stanik znalazły się od razu w górze pod pachami. Moje piersi, zupełnie teraz odkryte, czekały na niego.

Czułam, jak mnie pragnie, jak drży przy najmniejszym dotknięciu. Pieszczotą, czasem gwałtowną, czasem delikatną, ręce jego dawały znać, że sprawuje nade mną władzę. Wargi, które wędrowały po mojej skórze, opowiadały o pragnieniu posiadania mnie. Jego lędźwie napierały na moje biodra, dając znak, że dłużej już nie pozwoli się trzymać w ryzach.

Rozpięłam mu spinki przy koszuli, gubiąc je z niecierpliwości. Podciągnęłam podkoszulek przyciskając jego obnażoną pierś do swojej.

Oderwał usta od mojej szyi, jakby doznał wstrząsu od kontaktu z moją nagą skórą.

Wziął mnie na stole kuchennym, gdyż żadne z nas nie było w stanie czekać na znalezienie czegoś wygodniejszego. Nie myśleliśmy o zabezpieczeniu, o konsekwencjach, o tym, co jest dobre, a co złe.

Po pewnym czasie wspominałam z niedowierzaniem potęgę naszej namiętności, zastanawiając się, co mogliśmy wtedy myśleć. Ale tak naprawdę byliśmy pozbawionymi rozumu dzikimi ludźmi, dla których liczyło się tylko pożądanie, które nas obydwójce trawiło.

Po chwili już byłam na szczycie, a wreszcie zaczęłam się zsuwać z góry, unosząc się jednocześnie w przestworzach, unosząc się bez końca, krzyząc jego imię i łkając.

Podtrzymywały mnie jego ręce. Oprzytomniałam. Poczułam teraz twarde, niewygodny stół, na którym nadal siedziałam, podpierana przez niego. Przytuliłam się do niego mocniej i słabo zaprotestowałam, gdy spróbował mnie stamtąd zabrać.

Pocałował mnie w ucho.

- To tylko parę kroków po schodach. Dasz radę, dzika kotko.

- Nie chcę. - Chciałam pozostać w jego ramionach z głową opartą o miękkie włosy na jego piersi i czuć go swymi udami. Chciałam słuchać bicia jego serca i dotykać czubkiem języka jego piersi. Chciałam mu szeptać do ucha różne rzeczy i słyszeć to samo od niego.



Roześmiał się. Jego zmysłowy śmiech niemal sprawił mi ból, tak wielka była moja radość z powodu jego szaleńczego uniesienia. Wziął mnie na ręce i wyniósł z kuchni, a potem mimo ciemności szybkim i pewnym krokiem przeszedł przez hol.

Na górze skręcił do sypialni i położył mnie na łóżku.

- Kobiety, które są za leniwe, żeby ściągnąć narzutę, muszą potem na niej spać. - Nocna lampka, którą zapalił, oświetliła oczy pełne ciepła i przekory.

Światło przyspieszyło powrót do rzeczywistości. Mógł mi teraz zadawać pytania, na które nie mogłam odpowiedzieć, lub mówić to, o czym nie chciałam słyszeć.

- Nie mogę tu zostać. - Moje ciało ospale próbowało się podnieść, ale Jason przewrócił mnie z powrotem. Cóż to był za widok: na tym wielkim człowieku na wpół podarte ubranie, które włożył na bal.

Ale gdy się rozejrzałam, okazało się, że moje własne ubranie znajdowało się w podobnym nieładzie.

- Nie mogę tu zostać - wymamrotałam, ale już z mniejszą pewnością.

- Ależ możesz. - Udało mu się zdjąć muszkę. Odrzucił ją na bok, zanim zabrał się do zdejmowania koszuli. - Jeżeli tylko chcesz.

Nie było to pytanie, nie było to też polecenie. Było to zwykłe stwierdzenie, które mówiło, że sama decydowałam o swoim życiu i że jeżeli postanowiłam zostać, nie było żadnego powodu, dla którego bym zostać nie mogła. Zostałam.

Kochaliśmy się znowu. Tym razem jak należy. Byliśmy nadzy, długo i nie spiesząc się poznawaliśmy swoje ciała. Potem leżałam z nim pod kołdrą, wtulona w niego, rozkoszując się jego ciepłem i zapachem, który, zlewając się z wonią naszej miłości, zniszczył niemal doszczętnie perfumy o zapachu gardenii.

Musiałam go o to zapytać.

- Czy robiłeś z nią dziś to samo?

- Co? - Zapadał w sen. - Kto?

- Mówię o tej rudej dziewczynie, którą przyprowadziłeś. Czy robiłeś z nią to samo?

- Mówisz o Crystal? - W jego głosie krył się uśmiech, może też i trochę dawnego zadowolenia z siebie. - Głupie pytanie. Czy wyobrażasz sobie, że mógłbym to wszystko robić z tobą, gdybym dopiero przed chwilą skończył z nią? Za kogo ty mnie masz?

- Ona myślała, że spędzisz tę noc razem z nią.

- I nie myliłaby się, gdyby to było trzy miesiące temu. Ale przecież potem spotkałem ciebie.

- A czy...

Uciszył moje głupie, pełne zazdrości pytania pocałunkiem, po którym zabrakło mi tchu. Kiedy już udaremnił mi dalszą rozmowę na ten temat, odezwał się znowu:

- Teraz ja.

- Ty? Co? - Ja teraz na odmianę byłam senna i zadowolona. Jak dobrze by było pozostać tu, w jego łóżku, na zawsze i czuć, że mnie pragnie co noc i co rano.

- Ja zadam pytanie. Ty już pytałaś. Teraz moja kolej.

Ucichłłam.

- Pytaj. - Co ja mu powiem? Jak mu wytłumaczę swoją obecność w tym domu?

- Czy rzeczywiście tak myślisz? Mówię o tym, co powiedziałaś, kiedy kochaliśmy się dzisiaj. - Szeptał mi do ucha nieprawdopodobnie zmysłowym głosem. Ledwie jego palce dotknęły moich piersi, a już czułam, jak nabrzmiewają nowym pożądaniem.

- Nie wiem. Nie pamiętam, co mówiłam. A czy ty pamiętasz, co mówiłeś? - Odczułam ulgę, że nie nadszedł jeszcze czas na nieuchronne pytania.

- Oczywiście. Pamiętam wszystko, co mówiłem. -Uśmiech w jego głosie rozgrzał moje serce. - Ale teraz pytam o ciebie.

Wymówiłaś moje imię... czy to pamiętasz?

- Chyba tak. - Bardziej interesował mnie teraz on sam niż jego pytania. Pod moimi palcami jego ciało zaczęło dawać te same znaki co moje.

- Wymówiłaś moje imię, a potem powiedziałaś: kocham cię, kocham cię, bez względu na wszystko.

Ciszę, która potem nastąpiła, słyszeć pewnie było nawet w Atlancie, tak była głośna.

Nie przypomiinałam sobie wypowiedziania tych właśnie słów. Gdy byłam w ekstazie, krzyczałam coś, zapewne właśnie to, co powtórzył Jason.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Chwilę się wahałam, a potem rzekłam:

- Skoro tak powiedziałam, pewnie to właśnie miałam na myśli.

- Tak też myślałem. - Był wyraźnie zadowolony. Delikatnie dotykał moich piersi. - Powiedziałaś to samo za drugim razem.

- No to pewnie musiałam tak myśleć. - Odwróciłam się do niego przodem. Leżeliśmy teraz zwróceni twarzami do siebie, a ciała nasze stykały się od brody do stóp. - Może byśmy się upewnili, próbując trzeci raz?

- Cudowna z ciebie dziewczyna - wyszeptał i skończyło się to tym razem podobnie jak poprzednio.

Przynajmniej tak mi powiedział. Sama nie wiem, jak to było. Nie mam zielonego pojęcia, co wtedy mówiłam.

W takich chwilach nie sposób panować nad sobą.

Zaczął do mnie docierać uporczywy dźwięk telefonu. Jedyne to mi zakłócało spokojną drzemkę.

Półprzytomna otworzyłam jedno oko, by dostrzec nad sobą nieznamy sufit.

Czułam się cudownie, nawet jeszcze zanim zupełnie się obudziłam i zrozumiałam, gdzie jestem i z kim. Łóżko poruszyło się i Jason wysliznął się, by odebrać telefon, a wraz z nim zniknęło jego ciepło.

Po kilku zdaniach to, co mówił Jason, dotarło do mojej wyspy szczęśliwości. Ktoś dzwonił w sprawie jego cholernego byka.

- Chodzi o Lochinvara - potwierdził odkładając słuchawkę. Włosy rozsypały mu się i wyglądał jak mały chłopiec z wąsami.

- Dzwonił Dave Waters, zarządca naszej farmy. Mówił, że Lochinvar wymknął się w nocy z obory i złamał po drodze dwa płoty, żeby dostać się do krowy Steve'a McGilliama po drugiej stronie drogi. A teraz się zgubił w tej przeklętej mgle. Czy ten skurczybyk ma w ogóle pojęcie, gdzie pracuje? Ta krowa urodzi teraz cielę, które otrzyma nagrodę, a my nie dostaniemy nawet grosza za pokrycie.

Zrozumiałam, że ma pretensje do Lochinvara, a nie do Dave'a Watersa, zaczęłam więc głośno mu współczuć.

- Fatalnie. Czy będziesz musiał iść i sprawdzić, co się z nim dzieje?

- Myślę, że tak. To głupie zwierzę może równie dobrze wybiec przed samochód.

Rozbudziłam się już na tyle, że zaczęłam czuć wyrzuty sumienia.

A mój zdrowy rozsądek, uspiiony, lecz niepokonany, zaczął się budzić z odrętwienia, do którego doprowadziła go namiętność.

A więc zakochałam się w tym wspaniałym, strasznym, cudownym mężczyźnie. Spędziłam z nim noc, a moje ciało wyjaśniło mu dokładnie, co do niego czułam.

A on nie wiedział, kim jestem.

Ani nie zapytał, co robiłam w jego domu w środku nocy. Co myślał? Dlaczego nie pytał mnie o nic? Czy wiedział, że była ze mną Simone?

Biedna Simone. Nie pomyślałam o niej ani razu od chwili, gdy usłyszałam trzaśnięcie drzwiami i zrozumiałam, że uciekła. Z zamyślenia wytrącił mnie Jason. Swą wielką dłonią rysował mi na szyi wzorki.

Aż trudno sobie sobie wyobrazić, że bałam się tej ręki, podczas gdy ona dawała tylko przyjemność. Ogień rozpalał moje ciało, gdy tylko mnie dotykała. Teraz bardzo chciałam, by nigdy się to nie skończyło.

Jakby odpowiadając na moje myśli, opuścił rękę na moją pierś i zaczął ją głaskać, a potem, jakby pokusa była zbyt silna, pochylił głowę i zaczął drażnić ją językiem. Chwytałam z trudem oddech, gdy wyciągnęłam rękę, by dotknąć jego piersi. Zapomniałam o Simone.

Zapomniałam o zadowoleniu Jasona. Zapomniałam o własnej przewrotności.

Myślałam tylko o tym, by chwila ta trwała wiecznie.

- Czy wiesz, że jeszcze nigdy nie spotkałem tak cudownej kobiety jak ty? - Powiedział to po tym, gdy jego usta znalazły znów drogę do moich.

Pożądanie, które się we mnie budziło, zniknęło bez śladu. Jego słowa przepełniły mnie bezbrzeżną radością, ale co będzie, gdy odkryje prawdę?

- Jace... Jace. - Odepchnęłam go lekko. - Co powie o nas twoja matka?

- Ależ mama wszystko przewidziała.

- Przewidziała, że co?

- Że będziemy w końcu razem. Popatrzyłam na niego.

- Skąd ona to wiedziała? Nawet cię wtedy nie lubiłam. Przytulił mnie do siebie.

- Oczywiście, że mnie lubiłaś. Świata poza mną nie widziałaś. Nie wiedziałaś tylko o tym. A ja, ja wiedziałem od razu. Mama też. Kiedy poskarżyłem się, jak mi kazałaś wycierać nogi, powiedziała do mnie: „Jace, jeśli ona potrafi cię tak krótko trzymać, łap ją, bo to pierwsza kobieta, która umie to zrobić”. Letycja nie jest głupia.

- Niemożliwe, nie powiedziała tego!

- Ależ tak. Pamiętaj, że ja nie byłem początkowo tego pewny.

Ale potem, gdy uporczywie na mnie leciałaś...

- Nigdy...

- I po wczorajszym wieczorze. - Wyciągnął rękę i położył ją na moim brzuchu. Zastygłam w oczekiwaniu. - Najpierw przychodzisz na zabawę, robisz furorę w swojej pięknej, czerwonej sukni i sprawiasz, że czuję się jak nieokrzesany prostak. A potem, kiedy przez cały wieczór chodzę za tobą i zastanawiam się, co zrobić, żebyś mnie polubiła, zastaję cię tutaj, w tych okropnych, obcisłych dżinsach.

Tym razem ja mu przerwałam, całując go pospiesznie, aby nie mógł dalej mówić.

- Musisz teraz wyjść za mnie za męża - powiedział, gdy tylko złapał oddech. - Zepsułaś mi opinię.

- Nic takiego nie zrobiłam. A kiedy tu przychodziłam, wcale nie myślałam, że coś podobnego się stanie... - Po niewczasie ugryzłam się w język i zobaczyłam, że się uśmiechnął.

Nie zapytał ani razu, co robiłam w jego domu w środku nocy. Zajęta bardziej pilnymi potrzebami naszych ciał, sama o tym zapomniałam.

- Jason - zaczęłam i urwałam. Nie mogłam mu podać żadnego powodu swojej obecności w tym domu ubiegłej nocy, ale mogłam go o coś zapytać i uczyniłam to.

- Jason, powiedz, czy zabiłeś Alana McKenzie? Moje pytanie zawisło w powietrzu jak zimny płatek śniegu, który spada powoli na ziemię, by zaraz tam stopnieć.

- W nocy powiedziałaś, że mnie kochasz bez względu na wszystko - zauważył spokojnie. Zdjął rękę z mojego brzucha. - Dlaczego o to pytasz?



Popatrzyłam na wzorek zdobiący kołdrę, którą byliśmy przykryci. Zobaczyłam siniaki, jakie mi się zrobiły na rękach, tam, gdzie mnie schwycił wczoraj pod drzwiami.

- Chcę po prostu wiedzieć. Muszę to wiedzieć.

- No dobrze - powiedział gładząc moje ramiona. Choć rękę miał szorstką, robił to w zdumiewająco delikatny sposób. Przesunął palce w kierunku siniaków i obrysował je lekko. - Szkoda, że nie wiedziałem wczoraj, że to ty. - Widać było, że jest mu przykro. - Nigdy w życiu bym cię nie skrzywdził. Nie zabiłem Alana McKenzie. Czy to ci wystarczy, ty dzika kotko?

Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że znowu się uśmiecha, tym razem jednak z nieznaną dotąd apatią w swych złocisto-brązowych oczach. Z apatią, której nie rozumiałam.

- Jace, czy wiesz, kto go zabił?

Jeśli moje podejrzenia były słuszne, wiedział z pewnością. Rozpaczliwie pragnęłam, by mi naprawdę zaufał i się zwierzył.

Teraz on z kolei odwrócił wzrok.

- Anno, pozwól, że cię zapytam. Czy jest coś, o czym powinnaś mi powiedzieć? Jeśli mamy być zupełnie szczerzy? - Spojrzał na mnie znowu. Oczy mu pociemniały, zrobiły się niezgłębione. - Na przykład, dlaczego tak bardzo interesujesz się Alanem McKenzie?

Chciałam już powiedzieć mu całą prawdę. Miałam ją na końcu języka. Nie mogłam jednak zrobić tego teraz. Znajdę później odpowiednią chwilę, by mu wszystko wyjaśnić, najpierw jednak muszę wszystko przemyśleć.

Ale nie teraz. Nie wtedy, gdy nadzy leżeliśmy tak blisko siebie, nie w chwili, gdy czułam, że zaczyna być mną oczarowany.

- Nie - szepnęłam. - Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Na pewno nie? - Nie uśmiechał się już. Zaczerwieniłam się bezwiednie, ale patrzyłam śmiało w jego czujne oczy i milczałam. Cóż mogłam powiedzieć?

- Ja odpowiedziałem na twoje pytanie - zwrócił mi uwagę ze swoim zwykłym, choć bladym uśmiechem. Dalej milczałam. Nachylił się wtedy nade mną i delikatnie pocałował w usta. - Nie mam teraz czasu, żeby zrobić to, na co mam ochotę, ale kiedy wrócę...

Miałam tak ściśnięte gardło, że trudno mi było mówić.

- Muszę pójść do domu i się przebrać.

- Zaczekaj tu. - Wyszedł z łóżka i zaczął się ubierać. - Zaraz będę z powrotem. Zrobimy śniadanie i położymy się znowu. A potem zabiorę cię do domu i weźmiesz ubranie.

- Nigdy nie ukrywasz, czego pragniesz. - Patrzyłam, jak zapina pasek i wiedziałam dobrze, że zrobię to, czego będzie chciał.

- Tego jednego się nauczyłem.

Podszedł sprężystym krokiem i usiadł przy mnie. Pochłaniał mnie wzrokiem, zapamiętując każdy szczegół mojej twarzy. W jego oczach krył się wielki, pełen miłości zachwyt. Czułam, jak lecę gdzieś i zanurzam się w przepastnej otchłani jego oczu.

- Kiedy pragnę kobiety, mówię jej o tym. Pragnę cię, Anno. Parę już razy dałem się oszukać, ale zawsze wiedziałem, że spotkam kiedyś kogoś, komu będę mógł zaufać...

- Jace, nie ponagljaj mnie. - Odsunęłam się od niego bez tchu.

- Dobrze. - Powiedział to takim samym głosem jak zwykle, ale z odcieniem ufności. Mówiła ona wyraźnie, że wiedział, jak się to wszystko zakończy, choć ja jeszcze nic nie chciałam mówić, - Ale będziesz się musiała zdecydować, zanim Letycja wróci.

- Letycja? - zmieszałam się.

- Ona będzie przeciwna temu, że mieszkamy razem, jeśli nie zdecydujemy się na małżeństwo. - Pochylił się nade mną, ale nie pocałował mnie. Przesunął za to delikatnie palcami po moim policzku. Objął mnie ręką za brodę, jakby czekał, że coś mu powiem.

- Za bardzo się spieszysz, Jace - szepnęłam niepewnie. Nie zmienił mu się wyraz twarzy, ale wydawało mi się, że oczy mu lekko pociemniały. Oczekiwał, że powiem coś innego.

Przysunął twarz do mojej twarzy.

- Ale mnie kochasz?

- Tak - szepnęłam.

Oczy mu znów zabłyśły. Dał mi prztyczka w policzek i wstał.

- Wrócę jak najszybciej - rzucił przez ramię. - Jeśli cię tu nie będzie, pójdę cię szukać.

- Zarozumialec - mruknęłam do siebie, gdy wyszedł, ale powiedziałam to bez żadnej złości.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że ani razu nie powiedział mi, że mnie kocha.

Nie mogłam już zasnąć. Fizycznie byłam odprężona i zadowolona, po raz pierwszy od lat, ale mój umysł był zupełnie skołowany.

Nie wierzyłam, że Jason zabił mojego brata. Niewykluczone, że tak naprawdę nigdy w to nie wierzyłam, ale dopiero teraz byłam tego zupełnie pewna. Okazało się, że cała ta historia o rewolwerze, którą opowiedziała mi Simone, okazała się nieprawdziwa. Szukałyśmy przecież i niczego nie znalazłyśmy.

Mówiłam sobie, żeby się nie spieszyć, że wszystko rozgrywa się za szybko, że zbyt wielu rzeczy jeszcze nie wiem.

Nic to nie pomagało. Ogarnął mnie spokój, jakiego nie doświadczałam już od dłuższego czasu, a był on wynikiem namiętności, o jakiej aż do tej pory nie miałam pojęcia.

Zawładnęły mną całkowicie wspomnienia ubiegłej nocy. Przeżywałam na nowo dotyk jego ręki na moim ciele. Przypomniałam sobie bicie jego serca tuż koło mojego ucha. Wszystko to było zbyt podniecające i bez reszty mnie pochłaniało.

Wszelkie próby lekceważenia tego, jak oddziaływał na mnie Jason, pozbawione były sensu. Byłam w nim gorąco, szaleńczo i beznadziejnie zakochana i nie chciałam, by było inaczej. Nigdy jeszcze nie żywiłam podobnych uczuć względem żadnego mężczyzny, ale przecież nie mogłabym czuć tego, co czułam do Jasona, gdyby był mordercą.

Ale czy na pewno?

Oczywiście, że tak.

Wzięłam prysznic i włożyłam flanelowy szlafrok, który pachniał tak jak Jason. Podeszłam potem do okna i odsunęłam zasłony. Pogoda zmieniła się w ciągu nocy. Trochę padało i nadciągnęła mgła. Było

szaro i ponuro. Nie widać było nawet wąwozu. Mgła wiła się jak dym, zasłaniając skały i żleby.

Wycierając włosy odwróciłam się od okna, żeby ta straszliwa pogoda nie zepsuła mi nastroju. Ale pokój wydał mi się teraz ponury, a cały dom nienaturalnie spokojny. Nie było Jasona, który by pomógł mi rozproszyć ten nastrój i znowu wyraźnie czułam ową niepokojącą obecność obok siebie. Nie były to złe duchy mieszkające w wąwozie, lecz niecierpliwy duch, który mnie nękał i napełniał niepokojem.

Obejrzałam się szybko za siebie, ale pokój był pusty.

- Alan? - wyszeptałam. A potem z prawdziwym bólem dodałam:  
- Alan, dlaczego mi nic nie powiedziałeś? Wiem przecież, że to nie Jason.

Oczywiście, nie było odpowiedzi. Znowu byłam niemądra. Inteligentna, rozsądna Annabelle, która się dała złapać jak pierwsza lepsza, niemądra i usychająca z miłości kobieta.

To musiał być Brent.

Dlaczego go nie zapytałam o Brenta?

Rzuciłam się na łóżko i ukryłam twarz w poduszce. Bezgłośnie szlochałam.

Bo bałam się, że odkryje, kim jestem. Lub dlatego, że się bałam, kropka. Co Jason będzie czuł, gdy się dowie, kim jestem? Czy zrozumie, dlaczego to przed nim ukrywałam?

Być może już o tym wie.

Cisza panująca w domu sprawiała, że cierpła mi skóra ze strachu. Lampy przy łóżku nie rozpraszały mroku ołowianego nieba.

Tak bardzo bym chciała, żeby Jason wrócił. Byłam gotowa wyznać mu wszystko i zdać się na jego łaskę.

Ubierając się zobaczyłam sińce na rękach, w tym miejscu, w którym Jason mnie złapał. Uśmiechnęłam się. Przepęłniła mnie i zalała wielka czułość. Pamiętałam najdrobniejsze szczegóły wydarzeń tej niezwykłej nocy i zastanawiałam się, czy i on je pamięta tak dokładnie.

Na dole było podobnie cicho i ponuro. Nic nie zakłócało martwej ciszy. Kiedy nacisnęłam kontakt, lampa kuchenna rzuciła światło równie przygnębiające jak półmrok, który powstał za sprawą chmur.

Maślnica stała znowu przy wyjściu, a stół, jak gdyby nigdy nic, tkwił na swoim miejscu. Nic nie zdradzało, do jakich celów został użyty, choć bacznie mu się przyglądałam.

Nalałam sobie szklanekę soku pomarańczowego i wypiałam go, zastanawiając się na odmianę, co powiem Simone, gdy ją zobaczę. Postanowiłam być dla niej miła, lecz stanowcza. Nie znalazłyśmy nawet śladu kryjówki. Brent mógł mówić różne rzeczy pod wpływem alkoholu i lekarstw. Simone musi załatwić swoje sprawy z Jasonem w inny sposób.

Jak na zawołanie, cisza spowijająca dom przerwana została przez odgłos silnika nadjeżdżającego drogą. Zapiszczały hamulce. Samochód stanął obok garażu. Simone wyskoczyła z dzikim spojrzeniem w oczach i bez tchu wbiegła po schodach. Otworzyłam jej wtedy drzwi.

- Simone, co się dzieje?

- Szukałyśmy nie tam, gdzie trzeba! - powiedziała, odgarniając włosy z czoła. - Brent mówił o starym gabinecie, który został zamieniony na jadalnię. Tam powinnyśmy szukać rewolweru!

RS

I tak jak ostry wiatr niosący z sobą mgłę, rozwiewający jasne włosy Simone, gdy stała zdyszana w progu, tak powróciły do mnie, aby mnie dręczyć, wątpliwości dotyczące mojego uczucia.

Jeżeli rewolwer był schowany w tym domu, Jason coś przede mną ukrywał. Czy kłamał, gdy mówił mi, że to nie on zabił Alana? Wątpię, ale nie byłam teraz tego zupełnie pewna.

Miałam dług wdzięczności wobec Alana. Poza tym, że był moim bratem i że go kochałam, jemu przecież zawdzięczałam swoje obecne szczęście. Gdyby nie on, nigdy bym nie spotkała Jasona.

Jadalnię mogłybyśmy przeszukać po prostu dla mojej własnej satysfakcji. Gdybyśmy znalazły rewolwer, łatwo by to było logicznie wytłumaczyć. Nie byłoby już powodu dalej się tym zajmować. Bez względu na to, kto był w to wplątany.

Powtarzałam sobie te słowa i w tym czasie wierzyłam w to, gdyż poprzedniej nocy wszystkie moje uczucia wobec Jasona zlały się w jedno i przestałam już wątpić w jego miłość do mnie.

Jeśli Brent jest winny, jak podejrzewałam, Jace mógł się zachować dokładnie tak, jak to zrobił. Aby osłonić brata, musiał znosić plotki i insynuacje pod swoim adresem.

Ogarnęły mnie wątpliwości. Czy te rozdzierające, szaleńcze doznania były rzeczywiście miłością, czy była to tylko chemia?

Mógł to być najzwyczajniej w świecie jedynie seks. Spragniona byłam uczucia, zwłaszcza uczucia mężczyzny. Od ponad roku byłam



sama, nie dopuszczając do zainteresowania sobą i odrzucając wszelkie próby flirtu. I oto co z tego wyszło. Uległam jak pensjonarka pierwszemu natrętnemu mężczyźnie, który spojrzał na mnie pożądlivym wzrokiem.

Ale to nie była prawda.

Kochałam go. Całym sercem, całą duszą, całą sobą kochałam Jasona Forrestera.

Mimo że nie powiedział, że mnie kocha.

Mimo że mój rozum, mój zdrowy rozsądek szeptał, że się mylę, że serce jest złym doradcą.

Dlatego też popatrzyłam na Simone, gdy już się wygadała, i powiedziałam spokojnie:

- No to chodźmy zobaczyć. Simone rozplakała się z radości.

- Uciekłam - szlochała Simone. Żadna z nas nie zwróciła uwagi, że było to nie na temat. - Wypuściłam byka, żeby Jason musiał wyjść z domu. Wiedziałam, że to moja ostatnia szansa. Tak się bałam, że on cię źle do mnie nastawi.

- Nie bądź głupia, Simone.

Pomimo swej kruchości, miała dużo zimnej krwi. Może ją teraz traciła, ale była w stanie znieść więcej niż inni.

Jace nie był temu winien, powiedziałam sobie stanowczo. Wpadła w histerię z innych powodów. Wiedziała na przykład, że Brent był zakochany w Tiffany, podejrzewała, że brał udział w zabójstwie Alana.

Simone może i nie była oddaną żoną, ale jeśli wiedziała, co Brent zrobił, nie mogła się nigdy zgodzić, by życie jej męża było w rękach Jasona.

Nie mogłam zapomnieć wyrazu stałego niepokoju kryjącego się w oczach Brenta. Jeżeli zabił człowieka, nawet niechcący, był zbyt wrażliwy, by nie zostawiło to w jego psychice śladu. Letycja mówiła, że wszystkim się przejmował i że razem z Jasonem próbowali go chronić. Wszystko się zgadzało. Być może dlatego, że tak rozpaczliwie tego pragnęłam.

Nienawiść Simone do Jasona mogła wypływać z jej obaw przed zdemaskowaniem Brenta. Jason gardził nią i mógł być zadowolony, że ma ją w rękach.

A może sztydził z niej z innego powodu?

Ależ nie, tego w ogóle nie przyjmowałam do wiadomości.

Simone wzięła mnie pod rękę.

- Anno, naprawdę nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. -

Wdzięczność jej była szczera, a dziecięca wiara patetyczna.

Poszłyśmy prosto do jadalni.

Kominek był tu mniejszy niż w gabinecie, ale także został zbudowany z kamieni, a przy nim wbudowane były szafki.

Zaczęłam poszukiwania po jednej stronie, a Simone po drugiej.

Zabudowa po obydwu stronach kominka zajmowała dwie trzecie wysokości ściany. Na półkach wyżej stała porcelana, którą pomagałam zdejmować w Dniu Dziękczynienia. Pod półkami znajdowały się szafki. W drzwiczkach były szklane witraże, których obramowanie harmonizowało z poręczami krzesel w całym pokoju.

Otworzyłam jedną z nich i zajrzałam do środka, przyglądając się powierzchni, która przytykała do cegieł komina. Nie zauważyłam niczego szczególnego. Wnętrze szafki zrobione było z tego samego drewna, co część zewnętrzna. Deski były dobrze umocowane i nic nie zwróciło mojej uwagi.

- Nic tu nie ma - zawołała Simone z rozpaczą. - Ale wiem, że to tu. Na pewno.

- Zamieńmy się - zaproponowałam.

Z nową energią sprawdziłam najpierw półki, a potem szafki po lewej stronie komina, ale nic nie znalazłam.

Podobnie jak we wnętrzu szafki po prawej stronie, tak i tu deski były dobrze umocowane i dopasowane. Z gładkiej powierzchni wystawał tylko mały gwoździak. Nie zauważyłabym go, gdyby nie to, że zraniłam sobie o niego palec. Wyciekła maleńka kropelka krwi. Wysysając ją, oglądałam miejsce kryjówki.

Pomiędzy drzwiczkami szafki a kominem była maskująca listwa o szerokości dobrych kilkunastu centymetrów. Użyłam swej dłoni jako linijki i okazało się, że oczy mnie nie myliły. W tym samym miejscu, po prawej stronie, zmierzyłam dłonią szerokość listwy, a pozostało jeszcze dobre trzy centymetry.

Jeszcze raz zmierzyłam szerokość listwy po lewej stronie - była równa długości mojej dłoni.

- Czy znalazłaś coś? - Simone wyczekująco przysiadła na piętach.

Uklęknęłam ssąc palec. Patrzyłam i zastanawiałam się.

Czy można ukryć rewolwer w skrytce o szerokości paru centymetrów?

Nie znałam się zupełnie na broni, wiedziałam jednak, że będę miała spokój dopiero wtedy, gdy wyjmę tę listwę.

Usunęłam ostrożnie porcelanowe miseczki i spodeczki Letycji i znalazłam gwoździak, który mnie przedtem zranił. Niczego więcej nie potrzebowałam.

Listwa odpadła z cichym trzaskiem.

Simone była zachwycona.

- No i znalazłaś!

Otwór był słabo widoczny. Robił wrażenie wgłębienia, które powstało na skutek wypadnięcia kamienia. Światło tam nie dochodziło. W ciemności moje palce napotkały szorstki kamień, po chwili dopiero natrafiły na opór.

Wyciągnęłam woreczek z miękkiej skóry. W środku było coś twardego i ciężkiego.

- Czy to rewolwer? - spytała Simone, zaglądając mi przez ramię.

Ciągle klęcząc pociągałam za sznurek, by otworzyć woreczek i zajrzeć do środka.

Nie byłam w stanie odróżnić jednego rewolweru od drugiego, ale byłam niezbitnie przekonana, że tą właśnie bronią zabito mojego brata.

I tę właśnie broń znalazłam ukrytą w domu mojego kochanka.

Wszystkie moje dowodzenia i mądre teorie przestały się liczyć wobec bólu i niepokoju, jaki odczuwałam w tej chwili.

- Mówiłam ci -- powiedziała Simone triumfalnie. - Nareszcie będę wolna, a Jason zostanie ukarany. Daj mi ten rewolwer.

Wstałam, kolana uginały się pode mną. Patrzyłam na dowód zbrodni, który był tu, tak jak twierdziła Simone.

Nigdy jej nie wierzyłam. Nie wierzyłam jej nawet wtedy, gdy podsłuchałam, jak Jason szydził z niej mówiąc, że będzie trzymał rewolwer w ukryciu, dopóki będzie potrzeba.

Dopiero w chwili, gdy zaglądałam do woreczka i wiedziałam, że jest tam broń, której szukano przez tyle miesięcy od śmierci Alana, dotarło do mnie, że Jason mógł być zamieszany w zabójstwo mojego brata.

Simone wzięła mnie za rękę.

- Anno, daj mi...

- Annabelle!

Odwróciłam się i zobaczyłam Jasona w drzwiach. Palce zacisnęły mi się mocniej na sakiewce. Simone zamarła.

Nie wiem, jak długo już tu był. Miał zaciśnięte usta, jego oczy nie były już złocisto-brązowe. Były czarne jak smoła.

Na widok tych zimnych oczu moja nadzieja, że potrafię jakoś to wszystko wytłumaczyć, uleciała bez śladu. Co więcej, nazwał mnie Annabelle.

- Annabelle, daj mi ten rewolwer. - Jason mówił z naciskiem w głosie. Miał napiętą skórę na twarzy. Nadawało to jego rysom zimny wyraz, którego tak nie znosiłam.

- Czy tym rewolwerem został zastrzelony Alan McKenzie?

Musiałam o to zapytać. Chciałam, by mi powiedział, dlaczego rewolwer był u niego w domu.

- Daj mi go.

- Nie! - Simone rzuciła się do przodu, jakby chciała mi go wyrwać z ręki.

Był szybszy. Wpadł między nas, powstrzymując Simone.

- Ty suko! Widziałem, jak się skradasz i domyśliłem się, że coś knujesz! Powinienem cię zabić za to, że mieszasz do tego Annę!

Rzuciła się na niego z paznokciami. Uchylił się i popchnął ją gwałtownie. Runęła na palenisko i znieruchomiała.

Przerażona jego brutalnością, uciekłam na drugi koniec pokoju. Pobiegl za mną i zagroził mi drogę.

- Annabelle, daj mi rewolwer.

Jak mógł patrzeć na mnie tak spokojnie po ostatniej nocy?

I skąd zna moje imię?

Zaczęłam powoli porządkować rozbiegane myśli.

Jeżeli wie, że jestem siostrą Alana, nie wypuści mnie z tego domu z rewolwerem.

Nie będzie w stanie zrozumieć, że nie miałam zamiaru oddać go w ręce policji. Nigdy by nie uwierzył, gdybym mu powiedziała, że chciałam się dowiedzieć prawdy o Alanie tylko po to, by wyzwolić jego ducha.

Rozum powiedział mi dość szybko, co może się ze mną stać, skoro nie wiedział o tym i w dodatku nigdy by w to nie uwierzył.

Zastanawiałam się, czy będzie miał wyrzuty sumienia po mojej śmierci.

Obok kominka stało małe, drewniane krzesło. Uginały się pod moją nogą, bałam się, że zaraz upadnę, Trzęsącą ręką złapałam się za jego oparcie. Potrzebna mi była solidna podpora, która by mi pozwoliła stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, którego jak sądziłam znam. Z człowiekiem, którego, jak wydawało mi się, kocham.

Nieprawda. Nic mi się nie wydawało. Człowieka tego na pewno kochałam. Kimkolwiek był i cokolwiek by się ze mną stało. Resztki mojego rozumu walczyły być może o przetrwanie, ale ten człowiek mnie usidlił. Całkowicie i bez reszty. Wiedziałam, że nigdy już nie będę taka jak kiedyś.

- Kocham cię - powiedziałam. Dumna byłam słysząc swój głos. Nie był silny, ale też nie drżał.

- Wiem o tym. Ale daj mi teraz rewolwer. - Robił wrażenie zmęczonego, ale wyraz twarzy mu się nie zmienił. - Anno, musisz mi go dać. - W jego głosie brzmiała stanowczość.

- Nie dam. Nie mogę. - Głos mi się załamał przy drugim zdaniu.

- Anno... Annabelle, wiem, co sobie myślisz, ale nie masz racji. - W tym, co mówił, nie było gniewu ani złości, jedynie rozpaczliwy

smutek. Przerażało mnie to bardziej, niż gdyby okazał gniew właśnie lub złość. - Wszystko ci wytłumaczę, ale oddaj najpierw broń.

- Proszę, wytłumacz.

Przez cały czas zastanawiałam się, czy mnie zabije i jak to zrobi.

Te wielkie ręce, które pieściły mnie z taką czułością, mogą z łatwością skrócić mi kark. A może weźmie jeden z rewolwerów ze swojej kolekcji w gabinecie? Albo wyrwie mi rewolwer z ręki. Czy jest naładowany?

Zrobił krok w moją stronę.

Powoli przestawałam się bać, górę zaczynał brać mój udreńczony rozum.

- Nie podchodź, Jason. - Puściłam krzesło i zaczęłam otwierać woreczek. Jeżeli jest naładowany, może zmuszę Jasona do odejścia.

- Nie dotykaj! - powiedział ostrym głosem i nagłym ruchem wyciągnął rękę. - Annabelle, na litość boską. Połóż go gdzieś, jeśli nie chcesz mi go dać, ale nie dotykaj.

Mówił to tak rozkazującym tonem, że zawahałam się, i znowu wyciągnęłam rękę w kierunku krzesła, które dawało oparcie.

- Annabelle, proszę cię! - Wystające kości jego policzków ostro odcinały się w szarym świetle padającym z tyłu. - Daj mi rewolwer i pozwól sobie wszystko wytłumaczyć.

Dziwne, że nie zauważyłam jeszcze do tej pory, jak twarz jego potrafiła być okrutna. Była to twarz prawdziwego pirata, potrafili oni przecież zabijać bez litości i wyrzutów sumienia. Jasno widziałam to podobieństwo. Gdybym tylko zwróciła na nie przedtem uwagę!



Teraz było już za późno. Kochałam tę twarz i kochałam tego człowieka. Chciałam zrobić to, o co prosił i oddać mu rewolwer, ale sumienie nie pozwalało mi się poddać.

- Czy jest tu cokolwiek do tłumaczenia? - spytałam chcąc zyskać na czasie.

Simone poruszyła za nim nogą i jęknęła. Podniosła rękę do głowy.

- Sama wiesz, że tak. - Musiał coś dostrzec w mojej twarzy, bo stał dalej z mięśniami napiętymi, jakby gotowy do biegu. Głos mu złagodniał. - Anno, czy mi nie ufasz?

- Jak mogę ci ufać? Powiedziałeś, że nie zabiłeś Alana, ale trzymasz w domu ukryty rewolwer. To tego rewolweru szuka policja?

- Tak. - Jego oczy, z których nic nie mogłam wyczytać, utkwione były w mojej twarzy. - Anno, nie mogę ci powiedzieć, dlaczego ten rewolwer jest tutaj, w każdym razie nie teraz, ale... Annabelle, mówiłaś, że mnie kochasz. Jeśli to prawda, zaufaj mi. Proszę.

Zawahałam się. Najbardziej ze wszystkiego pragnęłam zrobić to, czego chciał. A jednak nie odważyłam się, myśląc o swym bezpieczeństwie.

- Jace, nie mogę - szepnęłam. Do oczu zaczęły mi napływać łzy.

- To wcale nie jest takie trudne. - Mówił przyciszonym głosem, który znałam tak dobrze. W jego oczach znów pojawiły się złoto i brąz, hipnotyzując mnie swoim czarem.

- Daj mi trochę czasu, Annabelle. - Wyciągnął rękę. - Chcę z tobą porozmawiać. Daj mi rewolwer.

- Dlaczego nazywasz mnie Annabelle?

- Nieważne. Teraz to zupełnie nieważne. Na razie daj mi ten rewolwer.

Zawahałam się. Ramię z własnej woli pochyliło się w jego stronę, jakbym mu już uległa. Łzy spływały mi strumieniami po twarzy, a każda cząstka mojego ciała lgnęła do niego, pragnąc, by sprawił, żeby znów wszystko było dobrze, chcąc znów znaleźć się w jego ramionach z poczuciem bezpieczeństwa.

Nie byłam jednak ryzykantką. Nigdy nie byłam ryzykantką. Należałam do kobiet, które stawiały czoło prawdzie, nawet gdyby była straszna, a potem robiły to, co trzeba. Oczarował mnie swoim ciałem, ale zdrowy rozsądek, który decydował u mnie zwykle o wszystkim, nareszcie otrząsnął się z jego uroku.

Zrobił krok w moją stronę. Marzyłam cała o tym, by rzucić mu się w ramiona. Cierpiałam wiedząc, że skoro chcę żyć, zrobić tego nie mogę.

Simone, która doszła już do siebie i widziała, co się dzieje, szlochała.

- Nie słuchaj go, Anno! Uciekaj! Uciekaj, zanim cię zabije!

Zwyciężył mój rozum, a wraz z nim instynkt przeżycia.

Cisnęłam małym krzesłem jak mogłam najsilniej.

Trafiło go w same kolana, zaplątało mu się pod nogami.

Uciekłam nie czekając. Przekleństwa, jakie dobiegły z tyłu, upewniły mnie, że za chwilę Jason znowu będzie na nogach. Kiedy pobiegnie za mną, Simone będzie mogła wezwać pomoc.

Marnując kilka cennych sekund, żeby przewrócić stolik i zatorować mu drogę, pobiegłam przez kuchnię do tylnych drzwi. Przez cały czas płakałam jak wariatka.

Drzwi od razu się otworzyły i tym razem uciekłam, a żadna czarna postać nie deptała mi po piętach. Gdy pomyślałam o ostatniej nocy, przez chwilę poczułam ból, ale uciekając zapomniałam o wszystkim.

Nie było czasu ani na żal, ani na smutek.

Ruszyłam ścieżką prowadzącą wzdłuż wąwozu w kierunku domu, mając zamiar wsiąść do samochodu i szukać pomocy. Mgła była gęstsza niż rano, gdy wyglądałam przez okno. Przedtem widziałam tylko gdzieś na górnej krawędzi pojedyncze pasma, teraz zaś cała ścieżka tonęła w szarych, gęstych oparach. Nie widziałam dalej niż na pół metra.

Biegając ścieżką, potknęłam się o korzeń i upadłam. Gdy próbowałam się podnieść, usłyszałam w oddali kroki. To Jason. Dogoni mnie, zanim dotrę do domu.

Serce niemal rozsadzało mi piersi. Dobiegałam już do skrzyżowania dróg, tam, gdzie boczna ścieżka spotykała się z głównym szlakiem.

Zeszłam bez namysłu z głównego szlaku. Chciałam się ukryć, dopóki Jason nie odejdzie, a potem chciałam pójść do Matta po pomoc.

Powoli zaczynałam znowu logicznie myśleć... Gdyby Jason starał się ratować Brenta, powiedziałby mi o tym, zanim uciekłam.

Jeżeli się myliłam i Jason zabił Alana, nie pozwoli, bym wyszła żywa z wąwozu.

Zeszłam ze ścieżki, wspięłam się trochę w górę i schowałam za dużym dębem.

Zbliżył się do rozwidlenia. Przywarłam do pnia. Szorstka kora wrzynała mi się w policzek. Odgłos jego kroków zlewał się z odgłosem uderzeń mojego serca.

Mgła skrywała wszystko, nie było widać nic poza drzewem. To dobrze, powiedziałam sobie. Jeżeli ja go nie widzę, to i on mnie nie dostrzeże.

Znowu poczułam ból, o którym do tej pory udawało mi się zapomnieć. Szloch wstrząsnął moim ciałem. Zagryzłam wargi, żeby go stłumić.

Kroki zbliżyły się, a potem ucichły. Szedł szybkim, ale niepewnym krokiem w stronę krawędzi. Był blisko, słyszałam dobrze jego przyspieszony oddech. Tuliłam się do drzewa jeszcze wtedy, gdy kroki zupełnie ucichły.

Pomimo mgły bałam się tych złocisto-brązowych oczu i tego, co mogłyby zobaczyć, gdybym zbyt wcześnie wyszła z ukrycia.

Gdy zapadła znowu cisza, zeszłam z powrotem na ścieżkę. Bojąc się biec, bo nie widziałam nic dokoła, ruszyłam najszybciej jak mogłam. Miałam nadzieję, że będę się w ten sposób poruszać na tyle szybko, by wyprzedzić Jasona, gdyby zawrócił.

Gdybym miała w rezerwie choć parę minut więcej, dotarłabym do Matta i mogła się poczuć bezpiecznie. W ręce nadal ściskałam

skórzany woreczek z rewolwerem. Z każdym krokiem stawał się cięższy.

Było mi zimno, mimo że po tym szaleńczym biegu spływałam potem.

Było mi zimno nie tylko dlatego, że Simone, jak się okazało, miała rację, lecz i dlatego, że Jason kłamał.

Przez cały czas, gdy kochał się ze mną, przez cały czas, gdy pieścił moje ciało, gdy doprowadzał mnie do uniesień i rozkoszy, jakich nigdy jeszcze nie doświadczałam, wiedział, że jest odpowiedzialny za śmierć Alana, a kazał mi wierzyć, że jest niewinny. Przez cały czas kłamał.

Przymocowałam ciężki woreczek do paska od dzinsów. Zwiisał mi teraz na biodrze.

Broń, która zabiła Alana.

Jason okłamał mnie. Łzy zalewały mi twarz, gdy przedzierałam się przez dolną ścieżkę.

Powinnam już zbliżać się do domu Matta. Ogarnęła mnie znowu trwoga. Ścieżka była trudniejsza niż ta, którą pamiętałam.

Stałam, by wytrzeć oczy. Myślałam, że będę lepiej widzieć, ale nic nie pomogło. Widziałam przed sobą nie więcej niż na metr.

Ruszyłam dalej, wolno i ostrożnie. Wszystko wyglądało inaczej niż pamiętałam. Mgła tańczyła wokół, unosila się do góry jak spódniczka baletnicy to zwodząc mnie, to odsłaniając drogę, raz w tę, raz w tamtą stronę. A gdy czasem pozwalała mi spojrzeć na parę metrów przed siebie, wszystko było obce, niczego nie poznawałam.

A jednak wszystko to było w jakiś sposób znajome. Wystające skały, dusząca mnie mgła, strach...

Ogarnął mnie paniczny lęk, zwałający z nóg i chwytający za serce.

Wkroczyłam w świat moich sennych koszmarów.

Nie mogłam złapać tchu. Zmusiłam się, by przystanąć.

- To tylko sen - powiedziałam głośno. - To tylko sen.

Zbierając resztki odwagi, ruszyłam przed siebie.

Tak bardzo chciałam, by był to tylko sen. Boże mój, jak bardzo tego chciałam.

Potknęłam się o wykrzywiony pniak i omal się nie przewróciłam. Coś było nie tak. Droga, która prowadziła do Matta, nigdy nie była taka stroma. A co to za skalna ściana zagraża mi drogę?

- Nie - wyrwał mi się krzyk rozpacz, zanim mogłam go powstrzymać. Zabrzmiał niesamowicie pośród otulającej mnie zewsząd białej mgły.

Przez mgłę właśnie zmyliłam drogę. Nie poszłam odgałęzieniem prowadzącym do Matta, drogą, która zabierała zaledwie dziesięć minut. Poszłam zamiast tego ścieżką prowadzącą do domu Simone. Skała przede mną wyznaczała jakże zdradliwy, wąski odcinek, którym szłam z Mattem i Lewisem. Po jednej stronie było ostre wzniesienie, po drugiej gwałtowny spadek, który kończył się skałami na dole.

Znajdowałam się na ścieżce, na której groziło mi śmiertelne niebezpieczeństwo. Z powodu mgły z trudem widziałam drogę przed sobą.

Nie wiedziałam, co robić. Jeżeli zawrócę, może mnie dogonić Jason. Jeżeli pójdę dalej, ryzykuję spotkanie z Brentem. Simone z pewnością wezwała pomoc. Nie wiadomo, czy została u Jasona, czy wróciła do domu.

Zagryzłam wargi. Mordercą był Jason albo Brent. Jeżeli miałam już spotkać któregoś z nich, wołałam, by był to Brent. Nigdy nie będę umiała spotkać się z Jasonem.

Potrafię tędy przejść, powiedziałam sobie. Jeżeli tylko będę uważać.

Ścieżka była wystarczająco szeroka dla jednej osoby. Poprzednio szłam nią bokiem, plecami do skały. Matt kazał mi używać liny bezpieczeństwa, złapałam się też po drodze młodego drzewka, ale przebyłam całą drogę bez szwanku, i to samo udało się Mattowi i Lewisowi, w dodatku bez lin.

Zobaczyłam drzewko. Ogołoczone z liści wyglądało ponuro.

Wyciągnęłam z kieszeni pomietą chusteczkę i energicznie wytarłam nos. Nie spadnę, jeśli będę uważać. Dam sobie radę bez liny. Mattowi i Lewisowi udało się przecież.

Ustawiłam się tyłem do skały i wysunęłam prawą stopę na ścieżkę.

Dom Simone był już niedaleko. Co zrobię, gdy tam przyjdę, będzie zależało od tego, co tam zastanę. Jeżeli Brent był w domu, mógł zacząć mnie szukać, gdyż Jason na pewno go ostrzegł. Jeżeli będzie Simone, pomoże mi z pewnością.

Przysunęłam lewą stopę do prawej.

Jason, mój wspaniały kochanek o złocisto-brązowych oczach.

Prawa stopa, a za nią lewa.

Pośrodku wąskiej ścieżki oczy znowu napełniły mi się łzami.

Prawa stopa, stąpająca dotąd tak pewnie, natrafiła na obluzowany kamień i straciłam równowagę. Drzewko pochyliło się i wysliznęło mi się z ręki.

Zaczęłam spadać w dół. Trwało to i trwało.

Ogarnęła mnie rozpacz i potworny strach.

Jak oszalała szukałam punktu zaczepienia na skalistej ścianie wąwozu. Chwytałam po drodze krzaki, aż wreszcie udało mi się złapać jakąś gałąź.

Przywarłam do niej trzymając się podrapanymi i krwawiącymi rękami, szukając rozpaczliwie oparcia dla nóg. Kopałam nogami w skałę, aż wreszcie znalazłam szczelinę, w którą udało im się wśliznąć. Strużki potu ściekały mi po czole, tam, gdzie zraniła mnie wystająca skała.

Wisząc tak, patrzyłam w dół ogarnięta straszliwym, śmiertelnym strachem. Pod nogami widziałam jedynie mgłę. Zastanawiałam się, co było lepsze: czy patrzeć w dół i widzieć skały, wiele metrów stąd, czy też widzieć jedynie mgłę, zdając sobie przy tym doskonale sprawę, co się pod nią znajduje.

Nie było dla mnie ratunku. Wiem, kto mógłby przyjść i co by to dla mnie mogło oznaczać.

Nie mogłam tu zostać. Musiałam wspiąć się z powrotem na górę.

Ale nie mogłam się ruszyć.



- Belle. - Wydawało mi się, że słyszę głos brata. - Mama zawsze nam mówiła, że umiemy się wspinać, że nie powinniśmy się tego bać, ale chyba nie myślała nigdy, że weźmiesz ją za słowo.

Zbyt się bałam, aby móc krzyknąć.

- Do diabła, Alan - wyrwało mi się spomiędzy zaciśniętych zębów. - Miałeś podobno uważać na mnie!

Zaświstał za mną wiatr, przypominało to cichy śmiech.

- Wiem, co teraz powiesz - szepnęłam. - Powiesz, żebym zrobiła to sama.

Słyszałam, jak kończy swoje ulubione powiedzonko: bo nikt za ciebie tego nie zrobi. Łza spłynęła mi po policzku.

- Rusz się, Belle. Nigdy mnie jeszcze nie zawiodłaś. Jak to będzie wyglądać, jeśli teraz zlecisz i się zabijesz. Ludzie powiedzą, że nie było jeszcze głupszej rodziny. Przyjechać specjalnie do Rahunty, żeby się zabić.

Odetchnęłam głęboko. Przeniknął mnie dreszcz i ogarnęła dziwna radość, jakby mój brat naprawdę powrócił do mnie.

- Alan, tak bardzo mi cię brakowało.

- Oj, ty głuptasie, jestem tu przez cały czas.

- Nie wiedziałam - szepnęłam.

- Ale już wiesz, więc ładuj się do góry.

Pod kolanem wyczułam szczelinę. Zbierając się na odwagę, wsunęłam do niej jedną stopę.

Wydawało się, że jest to dobre oparcie. Dodało mi to trochę odwagi, zaryzykowałam więc i zaczęłam macać skałę przed sobą.

- Spróbuj tutaj. - Kierował mną spokojny i jakby rozbawiony głos Alana.

Znalazłam kolejną szczelinę na drugą nogę i bez szwanku zrobiłam następny krok. Z tego miejsca mogłam już dosięgnąć krzaka znajdującego się wyżej. Złapałam się go, szukając znowu oparcia dla nóg.

Strach mnie nie opuścił, panowałam już jednak nad sobą. Słyszałam niemal śmiech Alana.

- Pomyśleć tylko, że nazywałem cię kiedyś moją roztropną siostrą!

Gdy udało mi się w końcu wciągnąć na krawędź wąwozu, położyłam się na zasypanej liśćmi ścieżce, w miejscu stosunkowo bezpiecznym i rozplakałam się. Całe moje ciało przenikał ból... Twarz, ręce, dłonie, nogi...

Alan nie pozwolił mi jednak odpoczywać.

- Spiesz się, Belle. Nie ma czasu.

Cała byłam poraniona. Siadając znalazłam chusteczkę i wytarłam twarz.

Ucisk na prawym biodrze przypominał mi o rewolwerze. Wstałam z trudem i sprawdziłam palcami, czy go nie zgubiłam.

- Spiesz się.

Ruszyłam naprzód w pośpiechu, którego potrzeby przedtem nie czułam.

Ścieżka stawała się równiejsza, im bliżej było domu Simone.

Powinłam była zawrócić. Doszłam do tego przekonania, gdy pokonywałam już ostatnie kilka metrów. Z Mattem byłabym bezpieczna.

Ale zanim bym tam dotarła, dogoniłby mnie Jason. A Alan kazał mi iść naprzód. Było już zresztą teraz za późno. Nie miałam wyboru. Doszłam do końca ścieżki.

Mgła zakręciła się i opadła na chwilę tak, że ujrzałam przed sobą dom Simone w całej okazałości.

Cofnęłam się z okrzykiem.

Z mgły wyłaniał się czarny zamek z moich najstraszniejszych snów, wysoki, mroczny i posępny. Bałam się do niego zbliżyć.

Nie bądź głupia, beształam samą siebie. Musisz tam wejść. Nie masz gdzie uciec.

Nikogo nie było widać. Mgła opadła i otuliła mnie, gdy wlokłam się do schodów prowadzących na ganek.

Wszędzie panowała grobowa cisza.

Przed szklanymi, rozsuwanymi drzwiami prowadzącymi na basen zawahałam się. Jason do tej pory pewnie się domyślił, dokąd uciekłam. I może jest tu już z Brentem.

Zajrzałam przez drzwi, starając się zrobić to jak najostrożniej. Byłam bliska wyczerpania. Moje emocjonalne starcie z Jasonem i fizyczny wysiłek pozbawiły mnie sił. Nie mogłabym uciekać dalej.

Na basenie nic się nie działo, w części mieszkalnej obok było pusto. Drzwi bez trudu dały się rozsunąć.

Wszystko we mnie krzyczało, aby zawrócić, aby próbować ratunku w spowitym mgłą wąwozie. Byłam zmęczona, ale instynkt mówił mi, że nie jest to bezpieczne schronienie. Podobnie jednak jak w snach, coś nieodparcie pchało mnie naprzód.

Uderzył mnie ostry zapach chloru. Przeszłam spokojnie koło basenu i otworzyłam wykutą w żelazie bramkę. Rośliny w cieplarni dawały dobrą kryjówkę.

Moja ostrożność nie była bezpodstawna. Z holu, który leżał po drugiej stronie salonu, za krzesłami i kanapą ustawionymi wokół kominka, dobiegały głosy.

- Wiem, że Jason nie złamie słowa. - Nigdy jeszcze nie słyszałam, by Brent był tak podniecony.

Zapadła cisza, a potem odezwał się szorstki głos, którego obawiałam się najbardziej.

- Czy nie rozumiesz, że nie mamy wyboru?

- Ale obiecałeś Brentowi!

Zabiło mi serce. To był głos Simone. Czy to Jason ją sprowadził? Czy była w stanie wezwać pomoc?

- Simone, na litość boską! - Po raz pierwszy głos Brenta zabrzmiał twardo. - Chwileczkę. Niech pomyślę. Jason, jeżeli ona go znalazła i poszła...

- Właśnie teraz może być w drodze na policję - przerwał mu Jason. - I zapewne tak jest. A jeżeli nie, to jest w wąwozie.

Simone zapłakała.

- Cicho, Simone - powiedział Brent, tym razem kojącym tonem.

- Wszystko będzie dobrze.

- Nie będę tego słuchać! Nie pozwolę ci tego słuchać! Jason wymyśla to wszystko, żeby cię przestraszyć!

- Simone, nie mów głupstw. Nie pozwolę, żeby Jace poszedł do więzienia.

Czułam, że powoli umieram.

- Wszystko mi jedno, co się stanie z Jasonem - szlochała Simone. - Cóż on nas może obchodzić?

- Simone... - Brent był najwyraźniej doprowadzony do rozpacz.

- Kochanie, zaufaj mi, proszę.

Jason prosił mnie właściwie o to samo; Tyle tylko, że ja nie umiałam mu zaufać.

Simone była także daleka od zaufania Brentowi.

- Jesteś bezwolny! Nigdy mu się nie przeciwstawiasz! Żałuję, że wyszłam za ciebie za mąż! Ile bym dała za to, żeby on nie żył!

- Simone! - Brent był wstrząśnięty. - Simone, wracaj!

- Niech idzie. Mamy teraz ważniejszy problem. Muszę znaleźć Annę. - Z głosu Jasona przebijała rozpacz. - Jeżeli ona tam jest...

Stałam jak wrośnięta w ziemię i spoglądałam poprzez liście bananowca na bladoróżowy punkt, który przechodził przez część mieszkalną domu.

Simone mnie nie zauważyła. Niosła Christophera opartego na biodrze.

Myślałam początkowo, że chciała się ogrzać przy ogniu, ale minęła kominek, nie rzuciwszy nawet na niego okiem.

Postawiła chłopczyka na ziemi, przyjrzała się broni na ścianie, a potem otworzyła gablotkę i wybrała rewolwer. Lufa była matowa. Z biurka przy drzwiach wyjęła pudełko, z którego wyciągnęła kilka naboju. Załadowała rewolwer sprawnie, jakby miała duże doświadczenie.

Wszystko to zajęło jej tylko chwilę.

Zawahała się, jakby jeszcze nie podjęła decyzji, a potem odwróciła głowę w stronę holu.

Przeszły mnie ciarki, gdy uświadomiłam sobie, że chce zabić Jasona. Zrozumiałam już, że nigdy nie pozwolę go skrzywdzić, bez względu na to, co zrobił z Alanem i co zamierza zrobić ze mną.

Poczułam ból w sercu.

- Simone - wyszeptałam.

Odwróciła się, otwierając szeroko oczy. Spojrzała szybko przez ramię, odłożyła rewolwer i podeszła powoli do mnie.

- Czy wiesz, że jest tutaj Jason?

- Tak. - Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będę potrafiła komuś zaufać, czy kiedykolwiek będę w stanie polegać na własnych uczuciach.

Wzięła mnie za rękę i pociągnęła z powrotem do metalowej barierki, gdzie wielkie palmy zasłaniały nas przed widokiem od strony holu. Rzuciłam nerwowe spojrzenie w kierunku werandy i upewniłam się, że jesteśmy same. Woda w basenie, krystalicznie czysta, odbijała się ponurym blaskiem pod ciemną kopułą. Na zewnątrz tańczyła i wirowała mgła.

- Idę jej dalej szukać. - Ponury głos Jasona odbił się echem pod kopułą. Skryłyśmy się głębiej pośród roślin.

- Pomyśl o tym, Brent. Jestem pewnie zmęczony, ale nie przypuszczałem, że będzie tak trudno.

Trudno mnie znaleźć? Czy trudno mnie zabić? Czyżby zaczął odczuwać wyrzuty sumienia? Zatrzęsłam się, ale nie z zimna.

- Jace, rób co trzeba. Nie chcę tego, ale jeśli nie ma innego wyjścia...

Słyszać było odgłosy ich kroków, gdy szli przez hol. Schowane za palmami nie słyszałyśmy słów. Byłam bardzo nieszczęśliwa, lecz Simone nie posiadała się z radości.

Włosy miała rozpuszczone. Okalały jej twarz, nadając jej wyraz niewinności... Gdyby nie duży siniec, który zaczął się pokazywać na skroni, wyglądałaby jak madonna.

- Nie bój się, Anno. Nie pozwolę mu cię skrzywdzić - powiedziała z naciskiem. - Nie pozwolę mu już nigdy skrzywdzić ani ciebie, ani mnie. Gdzie jest rewolwer?

Bezwolnie wyciągnęłam ciężki woreczek.

- Czy dzwoniłaś na policję?

- Nie, ale zaraz zadzwonimy. - Jej szeroko otwarte oczy zatrzymały się na woreczku. - Wrócił za wcześnie. Anno, wiedziałam, że można ci ufać!

Ona zaś była jedyną osobą, której ja mogłam zaufać.

Mojego brata zabił albo Brent, albo Jason, a ten drugi pomagał ukryć morderstwo. Simone starała się mnie ostrzec.

- Czy zadzwonisz do szeryfa? Nie odpowiedziała.

Nie przypuszczałam, by znała odpowiedź. Gdyby zadzwoniła, musiałaby się liczyć z tym, że może stracić Brenta. Jeżeli nie zadzwoni, będzie miała rewolwer, którym będzie trzymać w szachu Jasona. A tego właśnie pragnęła.

Było mi wszystko jedno. Alan nie żył i nic go już nie mogło wskrzesić.

Ja zaś byłam zakochana w jego mordercy. I nic nie mogło tego zmienić.

Mądra Annabelle. Zawsze taka rozsądna, zawsze starająca się podjąć słuszną decyzję, robiąca tylko to, co należy.



Odezwał się Christopher. Ktoś go musiał niedawno przebierać. Miał na sobie tylko pieluszkę i kaftanik z długimi rękawami. Wykorzystując okazję, pobiegł w kierunku roślin. Należały, jak przypuszczałam, do zakazanego obszaru.

Spytałam znowu:

- Simone, czy zadzwonisz?

Skórzany woreczek przestał ją interesować.

- Myślałam, że ci zabierze, ale mu nie pozwoliłaś. Taka jesteś odważna, Anno.

Wcale nie byłam odważna. Można było na mnie polegać. Byłam lojalna, roztropna, a czasem nawet inteligentna, ale nigdy w życiu nie byłam odważna. Nigdy nie było takiej potrzeby.

- Wiem, że jeśli zadzwonimy, Brent może także zostać wciągnięty do odpowiedzialności. - Miałam spierzchnięte wargi, ale nie mogłam ich zwilżyć. Miałam sucho w ustach. Znowu zaczęła mnie osaczać świadomość obecności czegoś złego. - Ale wydaje mi się, że powinniśmy zadzwonić. Zanim Jason wróci.

- Dobrze. - Zdumiałam się, jak szybko się na to zgodziła. - Daj mi rewolwer i zadzwoń.

Nie miałam ochoty go oddawać.

- Simone...

- Anno, daj mi go i zadzwoń na policję. - Niecierpliwie pokazała telefon. - A ja się zajmę rewolwerem. Obiecuję ci, że Jason już nigdy nie będzie nas dręczył.

Wyjęła woreczek z mojej ręki. Patrzyłam, jak wyciąga morderczą broń z pokrowca. Wydęła lekko swoje usteczka, gdy otworzyła bębenek. Usłyszałam jej szept:

- Tylko trzy naboje.

Rośliny okalały jej drobną sylwetkę. Światło odbite od szkła i wody rzucało na nią srebrzyste i szare cienie, czyniąc z niej nieziemską postać.

Oczy płonęły jej z podniecenia. Było w nich coś jeszcze.

Triumf.

Nie byłam w stanie dzielić jej uczuć. Byłam zbyt odrętwiała, by odczuwać cokolwiek.

Czułam tylko znajomą już wrogość. Zdawało mi się, że nigdy się nie uwolnię od tego złego ducha. Obecność jego kazała mi spojrzeć z niepokojem przez ramię, gdy zbliżałam się do telefonu. Zauważyłam tylko Christophera. Przeszedł już przez bramkę, którą otworzyłam, i szybko zbliżał się do basenu. Simone nie zauważyła go. Szła w stronę części mieszkalnej. W ręce trzymała rewolwer. Bębenek był nadal otwarty.

Zawróciłam, by zatrzymać dzieciaka, zanim dojdzie do wody. Nawet w tak dramatycznej sytuacji nie zapomniałam tego, czego nauczyły mnie lata spędzone na zajmowaniu się dziećmi.

Dzieci nie należy zostawiać bez opieki, było to najważniejsze przykazanie. A zwłaszcza nie mogą zostawać same koło basenów kąpielowych.

Złapałam go w chwili, gdy wdrapywał się na skałkę do nurkowania. Ważył sporo. Był bardzo niezadowolony, że go wzięłam na ręce. Krzyknął przeraźliwie i zaczął się wyrywać.

- Ciii... - Podrzuciłam go na biodrze z energią, jaka mi jeszcze pozostała. - Ciii... Chodź, wracamy. Wcale nie masz ochoty tam iść.

Miał świeżą cerę i wyraźne rysy twarzy, jak większość małych dzieci. Kiedy wykrzywił buzię, robił mu się dołek na brodzie. Nie zwracałam uwagi na jego popłakiwanie.

Stojąc w cieplarni dostrzegłam Simone przy biurku, pod gablotką z bronią. Grzebała w szufladzie. Gdy podniosła głowę, dostrzegła mnie i poruszyła się niecierpliwie.

- Anno, pospiesz się. Oni pewnie zaraz wrócą.

Gdy ruszyłam w stronę telefonu, znieruchomiała, jakby nadśluchiwała, czy idzie Brent i Jason.

Dziecko zaczęło w złości kopać nóżkami, gdy się zorientowało, że nie zamierzam go puścić.

Patrzyłam na maleńkie, miniaturowe stópki.

Pomiędzy paluszkami miał błonę.

Zupełnie jak ja, pomyślałam głupio.

Zupełnie jak ja. I jak mój wujek Joseph, i jak ojciec mojej matki, i jak jego babka.

Jeszcze nic do mnie nie docierało. Jason odkrył oczywiście prawdę w tej samej chwili, w której zobaczył moje stopy. Zrozumiał, w jaki sposób Simone sprawiła, by Brent odebrał przeznaczone mu w testamencie pieniądze, i dlaczego Alan zginął.

Ja jednak nadal niczego nie pojmowałam. Nawet mając przed sobą dowód.

- Simone - zaczęłam z oczami utkwionymi w te maleńkie, tyle mówiące stópki.

- Simone - zawtórował mi przerażony głos. Brent stał po drugiej stronie części mieszkalnej, skórzana kurtka zwisała mu luźno z ramion. Wyglądał, jakby spotkało go coś strasznego. Wpatrzony był w coś, co się znajdowało poza moimi plecami, a na jego twarzy malowało się przerażenie.

Odwróciłam się.

Simone trzymała w swych małych, lecz sprawnych rękach rewolwer. Świeżo załadowany bębenek zatrzaskał się. Lufa wymierzona była we mnie.

Nigdy bym nie przypuszczała, że maleńkie rączki Simone mogą być tak zręczne i groźne jak wtedy, gdy wymierzyła we mnie rewolwer. Była zupełnie spokojna i całkowicie panowała nad sytuacją.

- Simone? - zapytałam nieswoim głosem. Mąciło mi się w głowie, myśli biegały w niej jak oszalałe.

Christopher był dzieckiem Alana, a Simone trzymała wycelowany we mnie rewolwer.

- Przykro mi, Anno. - Simone była zupełnie opanowana. - Brent, nie wtrącaj się - powiedziała ostro, gdy ruszył w jej stronę. - Jeśli tylko się zbliżysz, zabiję ją.

Wrogość zionąca chęcią zemsty otaczała mnie, dusiła, napelniała strachem. Ale teraz już wiedziałam, skąd pochodzi.

Emanowała z Simone. Emanowała z niej już od tygodni. Simone nienawidziła i bała się mnie, a teraz pragnęła, bym przestała żyć.

Słyszając groźbę, Brent zatrzymał się.

- Simone, co robisz... - Mówił głosem ochryłym ze strachu. - Simone, kochanie, proszę cię...

- Muszę to zrobić. Ona jest siostrą Alana.

- Siostrą Alana? - Patrzył teraz na mnie, równie zaskoczony tą wiadomością co widokiem swej żony mierzącej do mnie z rewolweru.

- O Boże! To o tym Jace mówił, kiedy... Simone, nie rób tego!

- Przyjechała tu, żeby pomścić jego śmierć.

- Ależ nie! - krzyknęłam. - Tylko po to, żeby zobaczyć, co się stało. Nigdy nie chciałam nikogo skrzywdzić!

Simone mówiła dalej.

- Ale mi pomogła. Wykorzystałam ją. Pomogła mi znaleźć ten przeklęty rewolwer, gdy Matt mi odmówił pomocy. Jason zamienił moje życie w piekło, ciągle mi groził. Ciągle nam groził. Ale to się już skończyło!

- To ty zabiłaś Alana - szepnęłam. Instynkt mnie nie zawiódł. Jason nigdy nie stanowił dla mnie niebezpieczeństwa. Niebezpieczeństwo niosła ze sobą zawsze Simone.

- To był wypadek! - W oczach Brenta krył się strach, ale zależało mu, bym zrozumiała. - Simone wpadła w depresję na początku ciąży. Wzięła rewolwer Jasona, żeby się zabić. Alan ją zauważył. Próbował jej przeszkodzić, ale rewolwer wypalił. Zobaczyłem, że idzie w stronę wąwozu i poszedłem za nią. Nadszedłem wtedy właśnie, kiedy Alan spadł w przepaść. To był straszny, potworny wypadek! To nigdy... - Głos mu się załamał, jakby samo wspomnienie było nie do zniesienia.

Pamiętałam karteczkę Alana. Umówione spotkanie na skrzyżowaniu. Spojrzałam na stopy Christophera i poznałam całą prawdę. Alan odkrył, że jest ojcem dziecka Simone i umówił się z nią, by o tym porozmawiać. Alan potrafił dotrzymać tajemnicy, ale Simone wolała nie ryzykować. Nie chciała, by Brent się o tym dowiedział.

Simone poszła na spotkanie z zamiarem zabicia mojego brata.

Oderwałam oczy od nóżek Christophera. Simone wpatrywała się we mnie z zaciśniętymi ponuro wargami, świadoma, że wiem wszystko. Otworzyłam usta.

- Cicho! - rzuciła gwałtownie.-Ani słowa.

- Simone, przecież nie możesz skrzywdzić Anny. -Brent, nie domyślając się, kto jest ojcem Christophera, troszczył się tylko o mnie i swoją żonę.

Simone nie zwracała na niego uwagi.

- Kiedy się okaże, że Anna została zabita tą samą bronią co Alan, obwinia o to Jasona - myślała głośno. - Broń jest zarejestrowana na Jasona, więc tym razem go zaaresztują!

- Simone, kochanie, proszę cię - daremnie błagał Brent.

Byłam na niego zła i zastanawiałam się, dlaczego kiedykolwiek uważałam, że jest miły. Głupiec tylko mógł myśleć, że Simone da się wzruszyć błaganiem. Należało przedsięwziąć jakieś radykalne kroki, albo Simone...

Nie chciałam dokończyć tej myśli.

Jeżeli Brent nie umie z nią rozmawiać, może mnie się uda.

- Simone, nigdy nie chciałam cię skrzywdzić - powiedziałam spokojnie. - Chciałam się tylko dowiedzieć prawdy o Alanie. Chciałam zrozumieć, dlaczego musiał umrzeć. Nigdy nie chciałam nikogo oskarżać o morderstwo.

- Alan! - Simone była wyraźnie poirytowana. - Alan był skończonym głupcem. Uważał, że powinnam powiedzieć... - Urwała patrząc na Brenta, i przebiegły uśmiech pojawił się na jej twarzy.

Osaczyła mnie. Jak widmo w moich koszmarach snach. Musiałam ulec jej woli, a duch Alana był wobec niej bezsilny.

I podobnie jak w snach, nie byłam w stanie się poruszyć. Wiedziałam, że zaraz wydarzy się coś strasznego, ale nie potrafiłam temu przeciwdziałać. Odcięłam się od rzeczywistości, by wkroczyć do innego świata.

- To dla naszego szczęścia, Brent. - Głos Simone zmienił barwę. Mówiła teraz uwodzicielskim tonem. - Tylko ciebie kocham. Nie możemy pozwolić, żeby Anna czy Jason stanęli na drodze naszego szczęścia.

Spróbowałam jeszcze raz.

- Simone, nigdy bym ci nie zrobiła krzywdy. Gdybyś mi tylko powiedziała.

- Milcz! - krzyknęła. Rewolwer zadrżał groźnie w jej ręce.

Zamilkłam.

Odrzuciła do tyłu swoje jasne włosy i ruszyła w moją stronę, jakby się zastanawiając, co robić. Twarz jej nie wyrażała nic, żadnych uczuć. Biła z niej tylko jasność, którą odczytałam jako oznakę obłąkania. Nigdy przedtem nie widziałam nikogo na pograniczu szaleństwa.

- Postaw Christophera.

Zachowywał się tak cicho, że zapomniałam, iż go ciągle trzymam. Nie ruszał się i nie odzywał, jakby rozumiał, że rozgrywa się wokół niego dramat.



- Simone, proszę cię. Jeżeli zrobisz coś Annie, Jason ci już nie pomoże. On dobrze wie, że to nie ja zabiłem Alana, że kłamałem tylko po to, żeby nam pomógł.

Prośby Brenta nie zrobiły na niej wrażenia.

- Nic nie szkodzi. Wszyscy będą myśleć, że Jason zabił i ją, i Alana. Niepotrzebna nam żadna pomoc. - Mówiła to wszystko melodyjnym głosem, zbliżając się do cieplarni. - Postaw Christophera, Anno.

Zrobiłam to, o co prosiła. Wiedziałam, że jestem teraz wystawiona na strzały, ale nie mogłam się przecież zasłaniać dzieckiem. Nie miałam żadnej pewności, że nie postrzeli i jego.

Brent poruszył się po drugiej stronie pokoju. Simone spojrzała w tamtym kierunku, nie było jednak mowy, bym mogła uciec. Stałam plecami do ściany. Byłam w pułapce, rewolwer był wymierzony we mnie.

- Simone. - Brent podniósł ze stołu przy kominku naładowaną strzelbę i wymierzył w żonę. Zarepetował, gdy na niego spojrzałam. - Simone, nie możesz skrzywdzić niewinnej osoby.

Rewolwer w ręce Simone nie drgnął.

- Nie strzelisz przecież do mnie - powiedziała z przekonaniem. - Nie masz dość odwagi, żeby pociągnąć za cyngiel. Kochasz mnie przecież. A ja kocham ciebie.

Brent jęknął. Strzelba drgnęła mu w dłoni.

- Boże mój, dlaczego wzięłaś wtedy ze sobą ten rewolwer. ...  
Dlaczego Alan wyszedł wtedy z domu.,.

Nie słuchała go.

- Czy nie rozumiesz? Będziemy bezpieczni tylko wtedy, kiedy wszyscy będą przekonani, że to Jason zabił Alana. A potem wyjedziemy. Ty i ja. Do Nowego Jorku albo Kalifornii. A może do Europy. Chciałabym wrócić do Francji, a ty?

Patrzyłam na nią jak zahipnotyzowana. Właściwie pragnęłam, by skończyła moją mękę, wstyd usunął bowiem w cień strach.

Cały czas chciałam ufać Jasonowi. Serce błagało mnie o to, a ja go nie słuchałam. Czy ja mu to kiedykolwiek wynagrodzę?

Gdybym choć mogła pożyc na tyle długo, by móc mu to wynagrodzić.

Rzuciłam spojrzenie na Brenta. Akurat wtedy, gdy opuszczał strzelbę.

- Tym razem nie pozwolę, żeby Jace wziął na siebie winę. Simone, na litość boską, nie rób tego.

Nie był w stanie strzelić do swej żony. Ani mnie uratować. Ani nawet uratować swojego brata.

Nie winiłam go za to. Jak mogłam mu mieć za złe, że chce uchronić własną żonę, skoro ja byłam gotowa kochać człowieka, który mógł być zabójcą mojego brata?

Gdybym słuchała głosu serca i zaufała Jasonowi, byłabym w tej chwili bezpieczna. Nie patrzyłabym teraz w wycelowany we mnie rewolwer, który trzymała w swej maleńkiej rączce Simone.

Byłam tylko wdzięczna losowi za to, że to nie Jason zabił Alana. Wiadomość ta teraz na nic mi już nie była potrzebna. Już mi nie była potrzebna. O, Jace, Jace! Czy przebaczy mi kiedykolwiek, że od niego

uciekłam? Powinnam była mieć do niego zaufanie. Ale miał tak przerażający wyraz twarzy. Patrzył na mnie tak obcym wzrokiem!

Simone uśmiechnęła się zwyczajnie i uniosła rewolwer, gdy tylko jej mąż opuścił strzelbę. Jej twarz pokryła bladość, policzki jedynie były lekko zaróżowione, a na skroni widniał ciemny siniec. Była piękna jak figurka z porcelany, niebezpieczna jak żywa kobra. Jej zimne spojrzenie padło na Brenta, który stał niezdecydowany. Pogarda, jaką dostrzegłam w jej spojrzeniu, pozwoliła mi zrozumieć jej zamiary.

Odezwałam się spokojnym głosem:

- Brent, ona i ciebie zabije. Zabije i ciebie, i mnie, a oskarży o to Jasona. I odziedziczy wszystko.

Brent jęknął znowu.

- Boże, ratuj, ja naprawdę nie mogę strzelić! Nie mogę zrobić jej krzywdy. - Rękami zakrył twarz.

Simone szykowała się do pociągnięcia za cyngiel, ja zaś czekałam na strzał. Nagle dobiegł mnie odgłos kroków. Pokojem wstrząsnął wystrzał.

- A ja, do diabła, mogę! - usłyszałam głos, ten ukochany głos, biegnący do mnie z drugiego końca pokoju.

Zamarłam oczekując bólu, rozerwanego kulą ciała, płynącej krwi.

Patrzyłam nic nie rozumiejąc, jak rewolwer, który Simone trzymała, upadł na podłogę, a potem ześliznął się do basenu. Delikatny, kruchy przegub jej ręki zalał się szkarłatem. Druga ręka

zbliżyła się, by osłonić tamtą, a Simone patrzyła na to wszystko nie wierząc własnym oczom.

Po chwili wszystko ucichło, a ja w cudowny sposób byłam cała i zdrowa.

Simone spojrzała w moją stronę, z jej gardła wyrwał się głośny krzyk, i cofnęła się.

Dziecko zaczęło przeraźliwie płakać. Bez namysłu nachyliłam się i podniosłam je, tuląc do siebie.

- Ty bękarcie - krzyknęła Simone, gdy Jason ruszył w jej kierunku. - Nie zbliżaj się do mnie.

- Wiem, że na rewolwerze są tylko twoje odciski palców. - Jason był nieubłagany. Zatrzymał się dopiero przy niej. - Wiem, że to ty zastrzeliłaś Alana McKenzie, a nie Brent. Przyznał się, że skłamał, żeby cię ratować.

- To był wypadek, ona nie chciała tego zrobić. - Brent, oszołomiony, przesłonił dłonią twarz, jakby nie chciał patrzeć na to, co się dzieje.

Płacz dziecka nie ustawał. Przytuliłam je mocno do siebie.

- Wypadek, tak? Ona chciała po prostu dobrać się do twojego depozytu. Kiedy nie mogła z tobą zająć w ciążę, spróbowała z kimś innym. McKenzie był niebieskookim blondynem, zupełnie jak ty. Uwiodła go przy pomocy swoich fantastycznych opowieści i pozując na chodzącą niewinność. Zaszła w ciążę i zdobyła twoje pieniądze. Które przepuściła.

Brent opuścił rękę i otworzył usta, jakby chciał zaprzeczyć.

- Christopher?

- Nie wierz mu! - krzyknęła Simone. Poruszyła ręką i jęknęła z bólu. - On kłamie. Zawsze mnie nienawidził!

Jason brnął dalej bez litości. Mówił podniesionym głosem, by przekrzyczeć dziecko.

- Tym razem powiemy całą prawdę, Simone. Może ci się uda przekonać ławę przysięgłych, że McKenzie poniósł śmierć przypadkiem, ale celowanie do Anny to było zwykłe usiłowanie zabójstwa.

- Niczego nie możesz dowieść. - Simone patrzyła wzrokiem człowieka obłąkanego. - To ty do mnie strzelałeś! To ty pójdziesz do więzienia.

- Na rewolwerze są odciski twoich palców - powiedział Jason. - Są także na nabojach, które ładowałaś. Brent może i nie potrafi wystrzelić, ale na ogół mówi prawdę. Po zeznaniach jego i Anny będziesz miała szczęście, jeśli uda ci się wyjść z więzienia, zanim osiwiejesz.

- Brent nie pozwoli ci mnie skrzywdzić! - krzyczała Simone patrząc na męża. - Brent! Brent!

Brent jednak, oszołomiony, wpatrywał się w dziecko łkające w moich ramionach i nie reagował na słowa Simone.

- To mój syn - powiedział.

- Brent - szepnęła Simone.

Powłócząc nogami, Brent podszedł do mnie i Christophera.

- To mój syn - powtórzył.

Pokręciłam głową, kołysząc przerażone dziecko w ramionach.

- To syn Alana. Mój bratanek.

- Brent! - krzyczała Simone. - On strzelił do mnie. Twój brat do mnie strzelił.

Jason zagrażał jej drogę, by nie mogła podbiec do Brenta, ten zaś wyciągnął rękę i dotknął włosów Christophera.

- Wszystko rozumiem, Simone. Przykro mi. Gdybyś mi tylko powiedziała... - Był zupełnie spokojny, a gdy odwrócił się do żony, na jego twarzy malowało się przebaczenie. - Nie bój się. To musiało wyjść na jaw, ale...

- Niech was wszystkich diabli porwą! Nie dam się zamknąć! - Odwróciła się nagle i pobiegła do bramki prowadzącej na basen.

- Simone, nie uciekaj! - Wołanie Brenta odbiło się echem w całym domu. Patrzyliśmy przerażeni, jak Simone znika za rozsuwanymi drzwiami.

- Simone - wołał Brent, biegnąc za żoną. Pocieszałam jak mogłam Christophera. Chłopczyk drżał, ale szlochał coraz ciszej. Strzał przeraził go. Przytulił się do mnie, jakbym była jego matką.

- Cicho, maleńki, cicho - powtarzałam w kółko. Ta krucha istotka tuląca się do mnie była wszystkim, co zostało mi po Alanie. Moje serce zalała czułość. - Cicho, maleńki, wszystko będzie dobrze.

- Annabelle, czy nic ci się nie stało? - zapytał Jason i dotknął mojej ręki. Twarz miał posępną i odpychającą.

- Nic. Wszystko w porządku. - Już raz nazwał mnie Annabelle, gdy stałam z rewolwerem w jego jadalni. A teraz odezwał się tak po raz drugi. - Skąd wiesz, że się tak nazywam?

Patrzył ponuro i wydał pogardliwie wargi.

- Annabelle McKenzie Levee? Twój adwokat mi to powiedział. Dowiedziałem się tego od adwokata, nie od ciebie. - Na sekundę jego czarne oczy spotkały się z moimi. - Mimo że dałem ci szansę. - Patrzył na mnie surowym wzrokiem przez długą chwilę, a potem prychnął z oburzeniem i odwrócił się.

- Jace - przemówiłam do jego pleców.

- Zatelefonuj po szeryfa - rzucił przez ramię. - Powiedz im tylko, że Simone próbowała cię zabić, ale że nie wiesz dlaczego. - Odwrócił się przy drzwiach. - Tylko na litość boską, nie ruszaj rewolweru! Tam są wszędzie jej odciski palców. Będą to badać... Powiedz, że szukamy jej z Brentem, i że potrzebujemy pomocy, żeby przeszukać cały wąwóz. Możesz im powiedzieć, że i ja strzelałem, żeby cię ratować, ale nie mów nic więcej.

- Jace, proszę cię... - Uspokajałam dziecko, choć twarz miałam zalaną łzami. Ostrożna, przezorna Annabelle, która nigdy nie płacze. Tego dnia wyczerpałam chyba limit łez do końca życia. - Jace, kocham cię! - zawołałam, gdy otwierał drzwi.

- Do diabła ciężkiego, dlaczego mi nie...? O mój Boże! - Zawrócił i podbiegł do mnie. Chwycił mnie za ramiona, spoglądając na mnie z góry ponad główką dziecka. - Ty niemądra, głupia, zwariowana... kobieto! - Zacisnął na chwilę zęby. - Co ty sobie, u licha, myślisz! Mogłaś tam przecież zginąć! Dlaczego, u diabła, uciekłaś ode mnie?

- Bałam się. - Ledwie mi te słowa przeszły przez zaciśnięte gardło.

Trzymał mnie mniej kurczowo, rysy twarzy mu złagodniały.

- Mnie się bałaś? Kiwnęłam głową.

- Panicznie. Tak na mnie patrzyłeś. W taki jakiś bezwzględny sposób.

- Do diabła, ja też się porządnie bałem! Ten rewolwer był przecież nabity! Tak się nieostrożnie z nim obchodziłaś. .. Mogłaś się postrzelić.

Christopher dostał czkawki i cichutko popłakiwał. Nie zwracaliśmy na niego uwagi.

- Przepraszam. - Nie wiedziałam, co jeszcze mogę dodać.

- A dlaczego nie powiedziałaś mi, kim jesteś? - Jason wyraźnie się uspokoił.

- Bałam się, bałam się, że...

- Jak na kogoś, kto się tak wszystkiego boi, doskonale sobie dajesz radę, wążąc się na takie numery jak spacery we mgle po wąwozie. Co by było, gdybyś spadła?

- Kocham cię, Jace - wyszeptałam. Zapomniałam o dumie, uczepiłam się szansy odzyskania go. - Nawet wtedy, kiedy myślałam, że zabiłeś Alana, kochałam cię.

- Anno, odkąd tu przyjechałaś, wytrącasz mnie stale z równowagi. Co ja mam zrobić?

- Mam nadzieję, że potrafisz mnie nadal kochać - powiedziałam, ofiarowując mu swoje serce.

Łaskawie przyjął moją ofiarę.

- Annabelle McKenzie Levee, chyba pani już wie, że panią kocham. - Nachylił się, żeby mnie pocałować ponad głową mojego



bratanka. Usta miał gorące, obiecywały tak wiele. Pogłaskał mój policzek, jego ręka pachniała prochem.

A potem zniknął we mgle w pogoni za bratem i Simone.

RS

Jason nie był mordercą i nadal mnie kochał.

Zostałam w domu Brenta i obejmowałam płaczące dziecko. Myśli kłębiły mi się w głowie. Myślałam o wyznaniu Simone, dziecku Alana i szoku, jakiego doznał Brent, ale przede wszystkim o Jasonie i blasku jego oczu, przeznaczonym tylko dla mnie.

Ogarniały mnie jednocześnie radość i strach. Jason był w wąwozie, więc bałam się strasznie o niego, ale nie posiadałam się też z radości, bo mnie kochał.

Kocha mnie, nadal mnie kocha, śpiewało bez przerwy moje serce.

Wiedział, kim jestem i co zrobiłam, i nadal mnie kochał.

A teraz był w wąwozie szukając morderczyni.

Roztrzęsione dziecko przywarło do mojej szyi, utrudniając mi rozmowę przez telefon, gdy wzywałam pomoc.

Udało mi się w końcu przedstawić sprawę, i wkrótce nadjechał radiowóz. Zapomniałam, jak muszę wyglądać po swoim upadku do wąwozu. Dopiero w czasie rozmowy z przesłuchującym mnie policjantem, gdy zobaczyłam jego zdumione spojrzenie, zdałam sobie sprawę, że jestem brudna i w postrzępionym ubraniu.

- Nie wiem - mówiłam pamiętając polecenia Jasona.

- Upadłam na ścieżce w wąwozie. Przyszłam tu i Simone... ona jest szalona!

- Co się stało?

- Gdyby Jason nie przyszedł, zastrzeliłaby Brenta i mnie. -  
Opowiedziałam, jak Jason stawiał jej czoło. - Potem uciekła, a Brent i Jason pobiegli za nią. Musicie ich znaleźć. - W moim głosie była rozpaczliwa prośba.

Wkrótce spowite mgłą lasy wypełniły się ludźmi. Nadeszła policjantka i próbowała wydobyć ze mnie więcej szczegółów. Nie powiedziałam nic ponad to, co zeznałam przed chwilą. Nie mogłam nic więcej dodać, zanim nie otrzymam następnych instrukcji od Jasona.

Policjantka była szorstka, ale kompetentna. Ona właśnie znalazła numer telefonu Jenny i namówiła mnie, bym zadzwoniła do niej, prosząc o pomoc w opiece nad Christopherem. Ona też, wkrótce po przyjsciu Jenny, powiedziała nam, że Simone spadła do przepaści i że ratownicy, opóźnieni przez mgłę, próbują się do niej dostać.

Piękny, zdradziecki wąwóz. Nie okazywał litości i zabierał, co do niego należało, z nieustępliwą bezwzględnością.

- Treva, czy wiesz, w którym miejscu ona spadła? - spytała Jenny policjantkę. Znała ją, więc pytała bez najmniejszych oporów. - Czy tam, gdzie jest tak wąsko?

Policjantka, pulchna kobieta o cynicznej twarzy, chętnie jej odpowiedziała.

- Nie, to się stało na górze, tam, gdzie ta ścieżka łączy się z głównym szlakiem, tuż przed domem Letycji Forrester.

W tym właśnie miejscu spadł Alan. Właściwie zupełnie mnie to nie zdziwiło.

Czy był to czysty przypadek, że i Simone spadła w tym miejscu, czy też jeden z wielu dziwnych zbiegów okoliczności?

Przeżyłam raz jeszcze we wspomnieniach chwilę, gdy noga osunęła mi się na ścieżce, a potem, gdy spadałam ogarnięta rozpaczą, zanim moja ręka trafiła na krzak. Czy Simone czuła podobną rozpacz?

Zadrzałam.

Po pewnym czasie do domu podeszło dwóch mężczyzn, żeby porozmawiać z Trevą. Treva przyszła potem do pokoju, w którym siedziałyśmy z Jenny, patrząc, jak Christopher się bawi.

- Jenny, czy nie wiesz, jak się można porozumieć z Letycją Forrester?

- Dlaczego pytasz?

- Ale Jasonowi nic się nie stało? - zadałam pytanie równocześnie z Jenny. Obydwie kobiety spojrzały na mnie, ale było mi wszystko jedno.

- Jasonowi nie. Brentowi. - Twarz policjantki złagodniała, gdy poklepała mnie po ręce. - Simone spadła i zatrzymała się na wystającej skale. Jason i Brent znaleźli ją pierwsi i Jason wrócił po sprzęt do wspinaczki. Brent nie chciał czekać i...

- O mój Boże. - Przewrzenie, jakie się odmalowało na twarzy Jenny, było pierwszym ludzkim odczuciem, jakie u niej zauważyłam.

- Spadł z grani. Ratownicy znaleźli go na dole.

- Martwego? - spytała Jenny. Policjantka kiwnęła głową.

Przymknęłam oczy. Jakie to niesprawiedliwe. Brent był tak troskliwy, tak przyzwoity, taki miły. Jedyłą jego zbrodnią była miłość do żony.

A Jason, który tak się opiekował Letycją i Brentem. Jak on to odbierze? Boże mój, żeby już był ze mną. Żeby nic mu się nie stało.

- Sue wraca razem z Letycją - powiedziała Jenny po telefonie do Palm Beach. - Letycja jest twarda. Nie podda się tak łatwo.

Mogłam tylko przytaknąć, pamiętając ból mojej własnej matki po stracie syna.

Gdy zapadł wieczór, Christopher poszedł spać, a ja krążyłam po pokoju. Nieco później Jenny przygotowała lekką kolację. Gdy jadłyśmy, przyszedł jeden z policjantów, trzęsąc się z zimna.

- Jasonowi i nowemu lekarzowi udało się zejść w dół do Simone. - Z wdzięcznością przyjął od nas filiżankę kawy. - Wciągnęli ją na górę. Helikopter zabiera ją do szpitala w Chattanoodze. Jest w bardzo złym stanie.

Wkrótce potem Treva pozbierała swoje rzeczy i wyszła mówiąc, że dostaniemy wezwanie do złożenia zeznań. Zostałyśmy z Jenny same i mogłyśmy teraz tylko patrzeć jedna na drugą.

Bałam się, co Simone będzie opowiadać. Już sobie wyobrażałam najbliższe miesiące, cały ten rozgłos i nowe plotki o Jasonie. Letycja weźmie to sobie bardzo do serca.

- Sama sobie winna - powiedziała Jenny, tłumacząc moje milczenie jako żal po Simone. Wydarzenia dnia sprawiły, że stała się rozmowna. Musiała wyjść z rodzinnego przyjęcia, ale wyglądało na to, że się z tym pogodziła. - Zawsze mi się wydawało, że coś podobnego musi się stać. Ona była naprawdę niezrównowazona.

Wesoła jednego dnia, ponura następnego. Jace mnie o tym uprzedzał, kiedy przyszłam tu do pracy.

- Jace cię zatrudnił?

- Tak. Byłam pielęgniarką w Nashville, dopóki moja matka nie zachorowała. Wróciłam wtedy do domu, żeby się nią zająć. Kiedy umarła, Jace poprosił, żebym tu trochę pobyła i zajęła się Christopherem i nią. - Mówiła to z jawną pogardą w głosie.

- Uważał, że Simone potrzebuje pomocy? - Próbowałam nadal znaleźć przyczyny tragedii. Alan ją wywołał. Musiałam to przyznać bez względu na to, jak go kochałam. Jego słabość do kobiet spowodowała śmierć na niego, a także na Brenta i może Simone.

Ale to nie była prawda. Winna była Simone. Jej chciwość spowodowała nieszczęście na ludzi, których kochałam.

- Jace uważał, że trzeba jej pilnować - powiedziała Jenny jak zwykle rzeczowym tonem. - Lubiła za bardzo mężczyzn, a Brent był w pewnym sensie prostoduszny i naiwny. Jason za nic w świecie nie chciał, żeby Brent się do niej rozczarował. Kazał mi więc mieć oczy otwarte. Gdyby przebrała miarę, położyłby temu kres.

Rozumiałam teraz, dlaczego Jenny zawsze była w pobliżu.

- Widziałam ją z Mattem.

Jenny pokiwała głową z ubolewaniem.

- On jest podobny do Brenta. Tak samo łatwowierny.

- Nie przejmowała się specjalnie Christopherem. - Pamiętałam, z jaką obojętnością o nim mówiła.

- To prawda. Musiała go urodzić, żeby dostać pieniądze.

Któregoś dnia omal się przy niej nie utopił i Brent kazał mi potem zawsze czekać, dopóki nie wróci do domu. Myślał, że ona nie umie

się dzieckiem zająć, a jej po prostu nigdy nie zależało na nikim ani na niczym. - Jenny nie miała litości dla Simone.

- Trudno jest zrozumieć kogoś takiego. - Pomimo tego, co zrobiła, nie czułam do Simone nienawiści. Znajdowałam się w stanie odrętwienia, które stepiło najwyraźniej wszystko poza moimi uczuciami wobec Jasona. Tych byłam pewna, lecz wszystko inne...

Jenny westchnęła.

- Wielu jest takich ludzi. Niektórzy lepiej potrafią to ukryć, inni gorzej. Mało kto jednak posuwa się aż tak daleko, żeby postawić na swoim.

Rozsądne słowa rozsądnej kobiety. Powinny były mnie uspokoić, ale tak się nie stało. Przeżyłam mój senny koszmar i dopiero zaczynało docierać do mnie, że nadszedł jego koniec. Gdybym tylko wiedziała, że Jasonowi nic się nie stało, wszystko byłoby dobrze.

Wrócił około ósmej trzydzieści. Gdy usłyszałam ciężarówkę, wybiegłam, rzuciłam mu się w ramiona i ukryłam twarz w jego brudnej, żółtej kurtce. Pierwszy raz, od kiedy zaczęły się moje koszmary senne, poczułam się bezpieczna.

- Tak mi przykro, tak mi strasznie przykro z powodu Brenta - szepnęłam.

Wziął moją twarz w dłonie i spojrzał na mnie.

- Wiem. Dobrze, że tu jesteś. - Pocałował mnie delikatnie, a potem przytulił do siebie, chowając twarz w moje włosy.

- Zaparzę kawy - powiedziała dyplomatycznie Jenny, która wyszła mu na spotkanie.

- A jak Christopher? - zapytał Jason.

- Dobrze. - Głos mi się załamał. - A ty?

- Ja też.

Spojrzałam na niego i uznałam, że mówi prawdę. Widać było na jego twarzy żal po stracie brata, ale panował nad sobą. Będzie musiał później jakoś się z tym uporać, ale na razie radził sobie na swój sposób. Bolała mnie świadomość, że on i jego brat byli podobnie jak Alan ofiarami Simone.

Pociągnęłam go na kanapę.

- A co z Simone?

- Nie żyje. Zmarła w drodze do szpitala.

Nie byłam w stanie opłakiwać jej. Nie mogłam też wyobrazić sobie tej zwiewnej postaci księżniczki z bajki, zimnej i cichej po śmierci.

Jason zrzucił kurtkę.

- To dziwne - powiedział. - Odzyskała przytomność, zanim zaczęliśmy ją ładować do helikoptera, wpadła w histerię i powiedziała, że ją zepchnięto.

- Zepchnięto! - Do końca próbowała oczerniać Jasona. Czy kiedykolwiek uda się nam od niej uwolnić?

Jason wziął mnie za rękę. Mówił ważąc każde słowo.

- Powiedziała, że zepchnął ją Alan McKenzie.

- Alan!

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Trzymaliśmy się za ręce. Uspokoiliłam się i zdobyłam na wyznanie:

- Jace, on przyszedł także do mnie. Spadłam tam, gdzie jest to wąskie miejsce pomiędzy tym domem a domem Letycji. Alan



rozmawiał ze mną, zawstydził mnie, że się poddaję, zmusił, żebym się wspięła z powrotem na ścieżkę.

- Spadłaś? - Jason popatrzył na mnie ze zdziwieniem. - Tam, gdzie ścieżka zwęża się na skalnej ścianie? Tam spadłaś? - Niemal krzyczał.

Skinęłam głową.

- Myślę, że wisiałabym tam przez jakiś czas, a potem runęła w przepaść, gdyby Alan nie przyszedł.

- Anno, musiało ci się coś pomylić. Stamtąd nie ma się jak wydostać. - Jason patrzył na mnie z przerażeniem. - Tam jest po prostu naga ściana skalna. Nie ma się czego trzymać. Gdybyś tam spadła...

- Alan był ze mną - powiedziałam stanowczo. - Pomógł mi się wydostać.

Nadeszła Jenny z kawą i kanapkami, i to zakończyło nasz spór. Jason opowiedział jej o Simone. Jenny obiecała zostać na noc z Christopherem.

Gdy Jason już zjadł i zostaliśmy sami, powiedział z ociąganiem:

- Kiedy stąd wyszedłem, nie miałem pojęcia, dokąd idę.

Wiedziałem tylko, że muszę cię znaleźć. Zanim jeszcze doszedłem do głównej drogi, coś mi kazało zawrócić. - Zawahał się. - Przysięgłbym, że ktoś mi powiedział: Wracaj. Słyszałem to tak wyraźnie, jakby ten ktoś stał tuż przy mnie. Dlatego wróciłem.

Wcale mnie to nie zdziwiło.

- To był Alan. To musiał być Alan. Wysłał cię do mnie na pomoc.

Jason westchnął głęboko.

- Anno, nie wierzę w duchy. Ale może powinienem. Jedno jest pewne: Alan nie przyszedł na pomoc Simone.

- Może to i dobrze - mruknęłam zastanawiając się, co musiała czuć Simone widząc koło siebie Alana, czując, jak spycha ją w przepaść.

- Myślę, że tak - powiedział Jason. Miał na sobie tę samą co rano flanelową koszulę i džinsy, zabłocone i wy-brudzone po pobycie w wąwozie. Wokół ust i oczu rysowało się zmęczenie, mówił jednak jak zwykle stanowczo.

- Rozmawiałem z szeryfem. Powiedziałem mu, że jesteś siostrą Alana McKenzie. On uważa, że Simone zabiła twojego brata i że potem chciała zabić ciebie. - Spojrzał na mnie. - Jeżeli chcesz, możesz mu podać wszystkie szczegóły.

Zdaje się, że postanowił zostawiać mi zawsze wybór. Zdawał sobie jednak sprawę, jak podejrzewałam, że postąpię tak, jak tego chciał. Że wreszcie spełnię jego oczekiwania. Pocałowałam go w usta.

- Będą cię chcieli zapytać o różne rzeczy, ale nie dzisiaj - powiedział. - Zawiozę cię do domu, jeżeli jesteś gotowa.

- Może bym została z Christopherem? Przecież to mój bratanek...

- Na pewno będzie się lepiej czuł z Jenny. Przyzwyczał się do niej przecież. Będiesz jeszcze miała wiele czasu, żeby się z nim poznać.

W samochodzie zastanawiałam się, co mam zeznawać. Przyszłam do domu Brenta i z przerażeniem zobaczyłam, że Simone mierzy do mnie z rewolweru. Jason nadszedł w samą porę, aby jej

przeszkodzić. Nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego mnie chciała zabić.

- Tego się trzymaj - radził Jason. - Wiedzą, że tym rewolwerem został zabity twój brat. Myślą, że Simone odkryła, kim jesteś, i była przekonana, że chcesz jej udowodnić zabójstwo Alana. Postanowiła się ciebie pozbyć.

- Dobrze. - Tyle było pytań, które chciałam mu zadać.

- Jason, co się wydarzyło tej nocy, której zginął Alan?

Potaął ręką twarz. Nigdy jeszcze nie widziałam go tak wyczerpanego.

- To było... Wszyscy w pewnym sensie potraciliśmy głowy. Brent chciał ratować Simone. Wymyślił historię o tym, jak to chciała się zabić. Mówił, że odebrał jej broń wtedy, kiedy nadszedł twój brat. Rewolwer miał wtedy wypalić i trafić Alana. Błagał mnie, żebym mu pomógł wszystko zatuszować,

- Simone miała zamiar zabić Alana. - Nie ukrywałam odrazy i rozgoryczenia. - Znalazłam jego rozkład dnia. Miał się z nią tam spotkać. Ona to zaplanowała.

- Powinienem był wcześniej domyśleć się wszystkiego o Christopherze. Gdybym tylko... No nic, już na to za późno. Brent był w każdym razie tak przybity, że zgodziłem się pomóc mu w ukryciu prawdy. Nie miałyby to znaczenia, gdybyś się nie pojawiła.

Wyciągnęłam rękę, by pogłaskać go w policzek. Chwycił moje palce.

- Twój brat nie cierpiał, Anno. Kiedy tylko Brent do mnie przybiegł, wzięliśmy mojego pick-upa i pojechaliśmy na dno wąwozu.

Nie mogło to zająć więcej niż piętnaście minut, ale już nie żył. Musiał umrzeć wcześniej.

Przygryzłam wargę.

- Dziękuję, że mi o tym mówisz. Ciągle o tym myślałam. Nie mogłam znieść myśli, że... - Nie dokończyłam uświadamiając sobie, że po śmierci Brenta i on będzie przeżywał podobne koszmary.

- A do tego wszystkiego - mówił dalej Jason, udając, że nie widzi, jak ukradkiem wycieram oczy - tego samego dnia odkryłem, że Tiffany jest zakochana w Alanie.

- To musiało być straszne.

- O, lubiłem Tiffany, ale tak naprawdę to tego związku chciały nasze rodziny. - Wzruszył ramionami. - Wiedziałem jednak, co ludzie powiedzą, jeżeli pozwolę Brentowi

wziąć na siebie winę. Powiedzieliby, że to ja zabiłem Alana, a Brent mnie kryje. Pomyślałem sobie, że jeżeli zabierzemy portfel i kosztowności, będzie to wyglądało na napad rabunkowy i może... W każdym razie, Brent ukrył rzeczy Alana, a ja schowałem rewolwer. Za dzień czy dwa odzyskałem rozum, przemyślałem wszystko i stwierdziłem, że Brent kryje Simone, ale nie chce się do tego przyznać. A potem odkryłem, że Simone sprzedała jakieś rzeczy Alana, żeby kupić ten cholerny pierścionek.

A więc to Simone musiała być w lombardzie. Oczami wyobraźni widziałam, jak wymyka się Brentowi, gdy zabrał ją na zakupy w Chattanoodze, wkłada rudą perukę i wchodzi do sklepu z monetą zaciśniętą w dłoni.

Pamiętam złość Jasona. Był wściekły, bo wiedział, skąd wzięła pieniądze na pierścionek.

- Powiedziałem jej, że to głupota, że może to zwrócić na nas uwagę. Ale nie zrobiło to na niej wrażenia. Interesowały ją tylko pieniądze. Pieniądze i mężczyźni. Próbowала mnie uwieść w tydzień po tym, jak ją poznałem. Miło, nie? Biedny Brent. Nie miał nigdy najmniejszej szansy.

Mówił to z tłumioną goryczą, jakby zabrakło mu już sił, by ją nienawidzić.

- Wziąłem resztę rzeczy twojego brata i wyrzuciłem je, żeby i ich nie zastawiła w lombardzie. A ty musiałaś je znaleźć!

Bez słowa uścisnęłam jego ramię. Położył dłoń na mojej ręce.

- Myślałem, że razem coś z tym zrobimy. Kiedy zobaczyłem twoje stopy, musiałem wyjaśnić różne rzeczy. Cały czas się łudziłem, że sama mi o wszystkim opowiesz. Czekałem przez pewien czas, chciałem z tobą o tym porozmawiać... A potem, kiedy zobaczyłem, jak Simone cię przekonała, zachowałem się jak potwór. Powiedziałem Brentowi, że dłużej nie potrafię kłamać.

Aż mnie coś ścisnęło w środku, gdy sobie pomyślałam, jak go traktowałam.

- Jason, przepraszam. Naprawdę chciałam wierzyć, że to nie ty zabiłeś Alana. Chciałam ci powiedzieć, że jestem jego siostrą, ale się bałam. Patrzyłeś na mnie takim wzrokiem... Wszystko to wydarzyło się tak nagle, że nie wiedziałam, co o tym myśleć, komu wierzyć.

Teraz dopiero sobie uświadomiłam, że miłość jest ważniejsza od zemsty, ważniejsza może nawet od prawdy. Może bym i odkryła

tajemnicę śmierci Alana, ale niemalże straciłam przy tym Jasona. Gdybym jeszcze raz przeżyć mogła tę straszną chwilę, w której prosił mnie, bym mu zaufała, postąpiłabym inaczej. Gdybym była naprawdę mądra, słuchałabym głosu serca i oddałabym mu rewolwer. I wszystko to nigdy by się nie wydarzyło, Brent żyłby nadal.

- Kochałam cię nawet wtedy, gdy uciekałam. - Zwiesiłam głowę.

- I tylko to się naprawdę liczy.

Jego palce trzymały niedbale kierownicę. Kontrolował ją tak, jakby prowadzenie samochodu było jego drugą naturą.

Wyciągnął rękę, wziął moją i przycisnął ją do ust. Przeniknęło mnie gorąco, wszystkie moje winy poszły w niepamięć.

- Tego dnia, kiedy wpadłam do jeziora... Czy to Simone?

- Tak sędzę. Musiała założyć tłumik. Strzelała pewnie ze ścieżki, mając nadzieję, że podejrzenie padnie na mnie. Nauczyła się strzelać od wujka w Kanadzie.

- Chciała mnie zabić, bo wiedziała, że jestem siostrą Alana. - Pamiętam wyraz jej twarzy, gdy zobaczyła moje palce tego dnia, gdy robiliśmy zakupy w Helen.

- Pewnie tak. Kiedy nic z tego nie wyszło, postanowiła cię wykorzystać w inny sposób. Trzymałam ją w szachu, grożąc oddaniem rewolweru policji. Były na nim jej odciski. Miała zamiar znaleźć go i oskarżyć mnie o chęć zabicia ciebie.

- I pozbyć się nas obojga. I Brenta. - Zadrżałam i chwyciłam mocno obydwoma rękami jego dłoń. Jeszcze nie mówiłam tego Jasonowi. - Nie powinnam była jej słuchać.

- Ooo, potrafiła być bardzo przekonująca.

Tylko warkot silnika przerywał ciszę na krętej drodze, wiodącej w stronę krawędzi wąwozu. Kiedy dojechaliśmy do mojego domku, Jason wszedł ze mną do środka. Nie chciałam, by wracał do siebie, ale nie wiedziałam, co odpowie, gdy poproszę go, by został. Zrezygnowałam z wymyślania czegoś niezwykłego i wykorzystałam stary i dobry sposób.

- Napijesz się kawy?

- Wypiłem już dwie. Nie będę teraz spał całą noc. -Wziął mnie w ramiona. Nie opierałam się. - Pragnę jedynie ciebie.

Przywarliśmy do siebie.

- Jestem tylko tak strasznie zmęczony - powiedział. Czułam jego kłujące włosy na policzku. - Kochanie, a może byś wzięła jakieś ubranie i pojechała ze mną? Rano będę zupełnie wypoczęty, a potem zrobię ci śniadanie. Robię świetnie jajka na bekonie.

Tak bardzo mi się podobał sposób, w jaki wymówił słowo „kochanie”. Uśmiechnęłam się do siebie, widząc, jak próbuje mnie nęcić.

- Nie chcę się teraz z tobą rozstawać - dodał. - Za bardzo cię teraz pragnę.

- Więc zostań.

- Nie mogę tu przecież zostać! - Wydawał się oburzony moją propozycją.

- Możesz, jeżeli tylko chcesz. - Spojrzałam na niego, ofiarowując mu wszystko i posługując się jego własnym argumentem.

Wahał się całe pięć sekund.

- Mam nadzieję, że zmieścimy się w twoim łóżku.